

WIOSNA  
CIEPŁO  
CZAJKA

Alen Baxton

ISKRY



Tajemniczy  
medalion



Cztery lata temu przyszedł bardzo zdenerwowany. Coś chował pod szafą. Kiedy usnął, zajrzałam pod szafę. W paczuszce zawiniętej w papier znalazłam medalion z łańcuszkiem, chyba złoty. Położyłam go z powrotem w to samo miejsce, ale z niepokojem nie mogłam spać przez całą noc. Myślałam, że może wdał się w złe towarzystwo i coś przeskrobał.

Z rana chciałam go wysondować. W końcu zapytałam wprost, skąd ma ten klejnot. Wtedy on się zdenerwował. „Na pewno nie ukradłem” – powiedział. Oświadczył, że ponieważ mu nie ufam, więc się wyprowadza. Był ambitny! No i pełnoletni, nie mogłam trzymać go siłą. Poszedł i więcej się nie odezwał.

Cena zł 28.-

ISBN 83-207-0079-5



Alen Baxton  
Tajemniczy medalion



ISKRY-WARSZAWA-1979

Okładkę projektował

MIECZYŚLAW KOWALCZYK

Redaktor

ZOFIA SKORUPIŃSKA

Redaktor techniczny

ANNA ŻOŁĄDKIEWICZ

Korektor

ZENAIDA SOCEWICZ-PYSZKA

Copyright by Państwowe Wydawnictwo Iskry,

Warszawa 1979

ISBN 83-207-0079-5

PRINTED IN POLAND

Państwowe Wydawnictwo „Iskry”,

Warszawa 1979 r.

Wydanie I.

Nakład 100 000+300 egz.

Ark, wyd. 8, 4. Ark, druk. 11.

Papier offset, mat, ki. VII, 60 g, rola 93 cm.

Druk ukończono w lipcu 1979 r.

Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego”

Zam, nr 320/79 S-90

Cena zł 28.-

## *Rozdział 1*

Kapitan Ryszard Skarbek wrócił z niedzielnej wycieczki za miasto. Po tygodniu wyętej pracy dzień spędzony w Puszczy Kampinoskiej odprężył go znakomicie. Zrobiłem chyba ze trzydzieści kilometrów piechotą - pomyślał z zadowoleniem. Należało teraz rozprostować kości pod prysznicem. Nie lubił zimnej kąpeli. Mimo to, a może właśnie dlatego, codziennie od wielu lat brał przed snem zimny tusz, ćwicząc w ten sposób wolę i hartując ciało.

Właśnie stał, dygocząc pod strugą lodowatej wody, gdy usłyszał dzwonek.

- Chwileczkę! - krzyknął, zakręcając kurek prysznica.

Owinął się szlafrokiem kąpielowym, wsunął na mokre stopy pantofle i pobiegł otworzyć. Do mieszkania wszedł „Zasada” - tak nazywali kierownicę komendy, Janka Rataja.

- Do licha! O tej porze?! Przecież już prawie północ?! - mruknął Skarbek na powitanie.

- Oficer dyżurny przysłał po pana, kapitanie. Powiedział że

jest robota, jaką pan lubi. Gdybym pana nie zastał, miałem pojechać po porucznika Zawadę. Jeżeli pan jest zmęczony, pojedą po Zawadę. Powiem, że nie było pana w domu.

- Daj pokój - odparł Skarbek. - Jadę. W lodówce jest coca-cola, napij się. Za chwilę będę gotów.

Ubierał się szybko, jak podczas alarmu, mimo to „Zasada” zdążył wypić dwie butelki coli. Był to jego ulubiony napój. Skarbek wiedział o tym.

- Dobrze, że jesteś, stary - ucieszył się na widok kapitana oficer dyżurny, Stefan Bartkiewicz. - Czeka tu pewien obywatel z wiadomościami, które powinny cię zainteresować. Chodzi o jakieś romantyczne samobójstwo. Trzeba znaleźć motyw. Wydaje mi się, że to jest to, co lubisz.

Skarbek uśmiechnął się, ale nie odpowiedział. Pomyślał, że nie wszyscy właściwie rozumieją jego pasję grzebania się w naturze ludzkiej, dociekania psychologicznych motywacji ludzkich uczynków.

- Wydałeś już jakieś polecenia? - zapytał.

- Tak - potwierdził Bartkiewicz. - Kazałem wezwać na miejsce lekarza, wysłałem dwóch ludzi radiowozem, aby zabezpieczyli miejsce zdarzenia, to znaczy mieszkanie, i nie pozwolili niczego ruszać do twojego lub Zawady przyjazdu.

- Dobre i to - mruknął Skarbek. - Gdzie jest ten obywatel?

- W poczekalni. Nazywa się Wiktor Kościanko.

- Zaraz z nim pomówię.

Skarbek wszedł do swojego gabinetu, włączył mikrofon i po chwili z głośnika rozległ się głos:

- Pan Wiktor Kościanko proszony jest do pokoju numer 219.

Do gabinetu wszedł wysoki, przystojny, pięćdziesięcioletni mężczyzna, ubrany w nienagannie skrojony tweedowy garnitur. W ciemnych włosach srebrzyły się siwe nitki. Jego twarz, postawa tchnęły jakimś dostojeństwem, a mimo to Skarbek

dopatrzył się w nim podobieństwa do posągu Satyra z parku Łazienkowskiego.

- Nazywam się Wiktor Kościanko - oświadczył. - Czy to pan mnie wzywał?

- Tak, ja pana prosiłem - poprawił go Skarbek. - Prosiłem, nie wzywałem - podkreślił. - Pan sam zgłosił się do nas. Czy mogę wiedzieć, co pana sprowadza o tak późnej porze?

Kościanko uniósł lekko brwi, jakby ze zdziwieniem.

- Sądziłem, że poinformował pana dyżurny.

- Dyżurny powiedział mi tylko, żebym pana przyjął. Nie miał czasu na wprowadzenie mnie w temat. Myślę, że pan sam zrobi to najlepiej. Proszę - gestem wskazał przybyłemu krzesło.

Kościanko wyjął złotą papierośnicę i podsunął kapitanowi.

- Dziękuję, nie palę.

- To bardzo rozsądne - pochwalił Kościanko. - Niestety ja nie mogę się odzwyczaić, chociaż lekarze usilnie mi to zalecają.

- Wyjął długiego papierosa ze złotym ustnikiem i zapalił. - Przystąpmy do rzeczy. Jak już panu wiadomo, nazywam się Wiktor Kościanko. Mieszkam razem z rodziną we własnym domu w Młocinach. Jeden z pokoi zajmowała aktorka Irmina Adamska. Mieszkała u nas od dwóch lat. Mówię: mieszkała. Przed dwiema godzinami stwierdziliśmy, że popełniła samobójstwo. Zastrzeliła się z karabinka sportowego. Był jej własnością. Uprawiała strzelectwo. Broń posiadała legalnie.

- Czy ma pan w domu telefon? - przerwał Skarbek.

Kościanko popatrzył uważnie na kapitana.

- Oczywiście. Ale linia napowietrzna często się psuje. Kiedy stwierdziłem, że Irmina popełniła samobójstwo, próbowałem dzwonić na posterunek milicji, ale telefon znów nie funkcjonował. Wsiadłem więc w samochód i przyjechałem. Po drodze zgąsł mi silnik. Nie jestem wprawnym mechanikiem i dlatego

droga do panów zamiast dziesięciu, piętnastu, minut zajęła mi ponad godzinę.

- Cóż, chyba na razie przerwiemy tę rozmowę i pojedziemy na miejsce - zdecydował Skarbek.

- Myślę, że tak będzie najlepiej - Kościanko podniósł się z krzesła. — Możemy jechać moim samochodem - zaproponował.

- Dobrze - zgodził się Skarbek. - Proszę zaczekać chwilę, zaraz będę gotów.

Wszedł do dyżurnego.

- Wyślij za mną samochód z technikiem i fotografem, jadę z Kościanką jego samochodem.

Zeszli na plac przed komendą. Kościanko otworzył drzwi srebrzystego porsche'a. „Zasada” byłby szczęśliwy, gdyby miał taki wóz - pomyślał Skarbek o Janku Rataju, oglądając luksusowe wnętrze sportowego samochodu. Tablica przyrządów zajaśniała barwami zielonkawych, niebieskich i czerwonych lampek.

Samochód ruszył bezszelestnie i od razu nabrał szybkości. Nie rozmawiali. Kościanko pochłonięty był prowadzeniem wozu. Skarbek nie przerywał milczenia, obserwując spokojne, skoncentrowane i skupione zachowanie się prowadzącego. W momencie odjazdu dyskretnie spojrzął na zegarek. Mijała właśnie 14 minuta, kiedy porsche zahamował przed bramą stojącej na uboczu willi.

Kościanko dotknął guzika przy tablicy rozdzielczej i brama otworzyła się sama.

- To taki elektroniczny zamek. Nie muszę wysiadać z wozu, żeby otworzyć lub zamknąć bramę.

Wjechali na dziedziniec.

Skarbek rozejrział się. Dwie latarnie oświetlały dużą willę. W odległości kilkudziesięciu metrów od niej stał mały góralski domek. W głębi ogród. Nieoświetlony, nie można więc było dostrzec jak duży. Do wysiadających podbiegły powarkujące dwa duże owczarki niemieckie.



- Leżeć! - krzyknął Kościanko.

Psy położyły się posłusznie.

W tym momencie Skarbek dostrzegł zaparkowany obok małego domku radiowóz, ten wysłany wcześniej przez dyżurnego. Jednocześnie oświetliły ich światła samochodu podejżającego do bramy.

- To moi ludzie - powiedział.

Kościanko ponownie uruchomił elektryczny zamek i na podwórze wjechał milicyjny samochód z technikiem i fotografem, a tuż za nim karetka pogotowia ratunkowego.

- Czy zawsze działacie tak błyskawicznie? - nie bez ironii zapytał Skarbek lekarza.

- Zepsuł się nam samochód, kierowca musiał go po drodze naprawiać i trochę się zeszło.

Czarna seria motoryzacji - pomyślał Skarbek, po czym zwrócił się do Kościanki:

- Proszę prowadzić.

## *Rozdział 2*

Weszli do dużego hallu. Na ścianach wisiało kilka starych obrazów. Olbrzymi dywan zakrywał podłogę. Pod sufitem stary oryginalny żyrandol. Dwa podobne kinkiety na ścianach. Rzeźbiony, dębowy okrągły stół. Dwa fotele i kanapa kryte skórą. Dębowe boazerie uzupełniały wystrój tego wnętrza. Z hallu kilka wejść. Z prawej strony dwoje drzwi, z lewej tylko jedno. Na przeciwko drzwi wejściowych jeszcze jedno wejście osłonięte ciężką kotarą.

Właśnie tamtędy Kościanko poprowadził przybyłych do dużego przedpokoju. Tu także obrazy na ścianach, dywan na podłodze i boazeria. Tyle że wszystko w jaśniejszej tonacji niż w hallu głównym. I znów drzwi do dalszych trzech pomieszczeń. Po prawej stronie piękne, rzeźbione dębowe schody na

galerię ciągnącą się wzdłuż dłuższej ściany przedpokoju. Z galerii kolejne trzy wejścia do pomieszczeń. Na ścianach między drzwiami obrazy i stylowe kinkiety.

Kościanko otworzył środkowe drzwi.

Na prawo od wejścia stał tapczan. Na nim kobieta. Piękna kobieta o złocistych włosach, w nocnej bieliźnie. Kołdra odrzucona pod ścianę. Lewa dłoń zwinięta w pięść. Z prawej strony, wzdłuż ciała, lufą w kierunku głowy leżał sportowy karabinek. Prawa ręka, także z zaciśniętą dłonią, lekko zgięta w łokciu, dłoń oparta na tułowiu. Gdyby nie strużka zakrzepłej krwi na dekolcie można by pomyśleć, że ta młoda, dwudziestokilkuletnia kobieta śpi.

- Proszę zbadać - Skarbek zwrócił się do lekarza.

Ten dotknął twarzy leżącej. Obejrzał ranę. Odchylił powieki.

- Nie żyje - oświadczył.

- Dopilnujcie, aby każdy z domowników pozostał w oddzielnym pomieszczeniu do czasu, dopóki nie skończę rozmawiać z nimi - powiedział Skarbek do jednego z funkcjonariuszy i obrócił się do stojącego z tyłu fotografa. - Możesz już robić zdjęcia. A ty - polecił technikowi śledczemu - zabezpieczysz ślady linii papilarnych, potem sporządzisz szczegółowy szkic i protokół oględzin. Pana, doktorze, chciałem prosić, żeby po skończonych oględzinach przewiózł pan zwłoki do Zakładu Medycyny Sądowej na Oczki. Pojedzie z panem sierżant Kłowski.

Wydawszy dyspozycje, kapitan zaczął lustrować pokój. Po prawej stronie drzwi łączące pokój z sąsiednim pomieszczeniem. Na wprost drzwi wyjściowe na taras. Na lewo duża stylowa szafa, obok niej mały sekretarzyk. Dwa foteliki, mały stolik, przy tapczanie stolik z radioodbiornikiem. Nie było żyrandola. Nad wezglowiem tapczanu i nad sekretarzykiem wisiały kinkiety. Stojąca lampa uzupełniała oświetlenie. Przy, radioodbiorniku trzyramienny lichtarz z nadpalonymi świecami.

Skarbek wyszedł na taras, ciągnący się wzdłuż budynku. I stąd, podobnie jak z balkonu w przedpokoju, drzwi prowadziły do trzech pomieszczeń. W środkowym znajdowały się zwłoki.

- Kapitanie - zawołał technik - niech pan zobaczy - wskazywał na zwinętą dłoń kobiety.

Skarbek podszedł do tapczanu. W zaciśniętej piąstce zmarłej tkwił jakiś przedmiot. Ostrożnie rozchylił palce, wyjął mały złoty medalion. Wewnątrz była fotografia Wiktora Kościanki.

- Co z karabinkiem? - zapytał.

- Ciekawe. Nie ma na nim żadnych śladów linii papilarynych, nawet denatki - zdziwił się technik. - A przecież ona jest bez rękawiczek.

- Kończyć oględziny, niech już zabierają zwłoki na sekcję. Karabinek odesłać do pracowni broni. Gdzie jest pan Kościanko?

- Na dole, w hallu - odparł sierżant Kłosowski.

- Poproście go tu.

- W czym mogę być panu pomocny? - Kościanko stał już w drzwiach.

- Proszę o zaznajomienie z rozkładem pomieszczeń w domu.

- Bardzo proszę, kapitanie. Pokój, w którym się znajdujemy, zajmowała Irmina Adamska. W sąsiednim, połączonym drzwiami wewnętrznymi z pokojem Irminy, mieszka mój teść, Leon Cieślik. Drugi przyległy do pokoju Irminy, ale niemający wewnętrznego połączenia z tamtym, należy do mojej żony Anny. Ja zajmuję gabinet na parterze, w hallu pierwsze drzwi na prawo. Drugie drzwi z tegoż hallu to wejście do stołowego. Moja matka, Maria Kościanko, mieszka na parterze. Wchodzi się do niej drzwiami znajdującymi się na prostopadłość do wejścia z hallu do przedpokoju. Z przedpokoju wchodzi się także do kuchni i łazienki. Jeden pokój znajduje się w podziemiach. Połowę piwnicy pod budynkiem przebudowałem na pokój przyjęć,

urządzony w stylu starej winiarni - dodał wyjaśniająco. - Obok jest łazienka. Wejście do tej części jest także z hallu głównego. Drugą część piwnicy zajmuje garaż z wydzielonym miejscem dla psów. Do budynku prowadzą dwa wejścia. Jednym wprowadziłem panów, drugie jest przez garaż.

W domku góralskim, w ogrodzie, mieszka nasz dozorca i ogrodnik w jednej osobie, Marcin Pustak, wraz z żoną Kaziemierą, zatrudnioną u nas jako gospodyni. Parter tego domku składa się z pokoju, kuchni i łazienki, na piętrze jest mały pokój. W głębi ogrodu znajduje się podpiwniczony budynek gospodarczy, w którym mieści się pralnia, kotłownia oraz pomieszczenie na narzędzia ogrodnicze i inne rupiecie. W piwnicy przechowujemy owoce i wina. Mamy duży ogród, częściowo drzewa owocowe, częściowo park. Wielkość posesji 80 na 220 metrów.

Na posesję można dostać się przez bramę, którą wjechaliśmy, a także przez przylegającą do niej furtkę. Druga furtka jest w głębi ogrodu, od strony Wisły. Obie furtki i brama są zwykle zamknięte. To chyba wszystko. W dużym skrócie - dodał.

- Widzę tu dwa aparaty telefoniczne - zauważył Skarbek.

- Tak. Jeden z nich to przenośny telefon miejski. W każdym pokoju jest gniazdo wtykowe. Drugi to wewnętrzny domofon, umożliwiający prowadzenie rozmów między pokojami. Takie drobne ułatwienie. Jak pan sam widzi, do pokoju Irminy można wejść bezpośrednio z galerii, z pokoju zajmowanego przez teścia, a także z tarasu, na który wychodzą drzwi pokoi teścia i żony.

- Bardzo panu dziękuję - powiedział Skarbek. - Czy woli pan wrócić do swego pokoju i pozostać tam do mojego przyścia, czy też woli pan towarzyszyć nam przy pracy?

- Pójdę do siebie - Kościanko skłonił się lekko.

Po jego wyjściu Skarbek skinął na technika:

- Zabezpiecz listy, zapiski, dokumenty, opisz gdzie się znajdują. Aha, jeszcze jedno: odłącz domofony na czas naszej roboty. Ja tymczasem zacznę rozmowy od Anny Kościanko.

Wyszedł na taras. Podeszedł do drzwi prowadzących do pokoju żony Wiktora Kościanki. Zajrzał przez okno. Paliło się małe światło. Na dużym tapczanie, do połowy przykryta kołdrą leżała kobieta. Czytała książkę. Delikatnie zapukał do drzwi.

Kobiela podniosła głowę znad książki.

- Proszę.

Nacisnęła klamkę. Drzwi były otwarte. Wszedł. Kobieta od-rzuciła kołdrę i usiadła. Była w przezroczystym peniuarze, rozpiętym z przodu. Usiadła swobodnie, odsłaniając prowokująco nieco przywidłe wdzięki. Uśmiechnęła się do Skarbka.

- Proszę, niech pan usiądzie - powiedziała, wskazując miejsce obok siebie na tapczanie. Nie zapytała ani kim jest, ani czego chce. Po prostu wskazała mu miejsce obok siebie. Leniwy gest ręki i pełen wyczekiwania uśmiech przyzwał na pu-fałość.

Kościanko musiał ją zdradzać, to naturalne - pomyślał Skarbek z uczuciem niesmaku.

- Jestem z milicji. Chciałem porozmawiać z panią o Irminie Adamskiej. Proszę zatem włożyć coś na siebie.

- Ach wy, mężczyźni... - powiedziała zalotnie pani Anna, niespeszona stanowczym tonem Skarbka.

Narzuciła na siebie szlafrok, ale go nie zapięła. Usiadła na krześle przed toaletką i patrząc w lustro zaczęła czesać włosy.

- Słucham, o czym chciał pan ze mną rozmawiać?

- Jest pani żoną Wiktora Kościanki?

- Tak, jego drugą żoną. Jesteśmy małżeństwem od dwunastu lat. Przyjaźniliśmy się jeszcze przed ślubem, kiedy żoną Wiktora była Jadwiga. Teraz nazywa się Maniewicz. Wiktor

oszałał dla mnie. Rozwiódł się z Jadwigą i ożenił ze mną. Podobno umiem dać rozkosz, doprowadzającą mężczyzn do szaleństwa. Ale sam pan rozumie, żyjemy z sobą już prawie 16 lat, jeśli wliczyć znajomość sprzed małżeństwa. Nic nie trwa wiecznie. Więc i Wiktor ochłódl. Znalazł sobie Irminę. Nie lubię jej... ale nie miałam o nią pretensji. Oboje jesteśmy tolerancyjni wobec siebie. Irmina zamieszkała u nas dwa lata temu. Jestem kobietą nowoczesną i ten układ mi nie przeszkadzał. Akceptowałam go od początku. Wiktor ma prawo do życia i przyjemności. On mnie też nie krępuje i nie jest zazdrosny. Niepotrzebnie więc ma pan obiekcje - znów obdarzyła kapitana uśmiechem. Zwracając się w jego stronę, jakby niechcący, odsłoniła piersi.

- Nie chodzi o moje obiekcje, ale o to, co tu się stało - zauważył Skarbek poirytowany zachowaniem Anny.

- O tym niewiele mogę panu powiedzieć. Byłam już w łóżku, kiedy wszedł do mnie ojciec z wiadomością, że Irmina nie żyje. „To nie moja sprawa - odparłam - niech Wiktor się tym zajmie”. Nie wychodziłam z pokoju aż do chwili, kiedy pan tu się zjawił. - Znów popatrzyła na Skarbka kusząco, odsłaniając tym razem nogi.

- Czy przed przyjściem ojca słyszała pani jakieś odgłosy za ścianą, w pokoju Irminy?

- Nie! Nic nie słyszałam, zresztą grało u mnie dość głośno radio.

- O której godzinie przyszedł ojciec z wiadomością o śmierci Irminy?

- Dokładnie nie pamiętam. Jakies trzy godziny temu.

- Proszę przypomnieć sobie dokładnie, co pani powiedział.

- Mówiłam już. Powiedział, że Irmina nie żyje. Nic ponadto. Wszedł, kiedy oświadczyłam, że to nie moja sprawa.

### *Rozdział 3*

Skarbek widywał w życiu już różne rzeczy. Nie dziwiły go najbardziej nieoczekiwane sytuacje ani ludzkie dziwactwa, ale wychodząc z pokoju pani Anny odetchnął z ulgą. Będę musiał wezwać ją na rozmowę do komendy, chyba tu przyjdzie bardziej odziana. W tej atmosferze sypialni nie sposób skłonić jej do myślenia o czymkolwiek innym niż seks! - pomyślał z niechęcią. - To prawda, że w starym piecu diabeł pali - skonstatował na koniec.

Przeszedł przez taras i zatrzymał się przy drzwiach pokoju mającego wewnętrzne połączenie z pokojem Irminy Adamskiej. Zajrzał najpierw przez okno. Starszy mężczyzna ubrany w jasny garnitur, siedział w fotelu z uchem przytkniętym do drzwi łączących jego pokój z pokojem, w którym znajdowały się zwłoki. Skarbek kaszlnął głośno, mężczyzna odsunął się gwałtownie od drzwi. Skarbek zapukał.

- Proszę. - Mężczyzna podniósł się z fotela na przywitanie wchodzącego.

Kapitan rozejrzał się. Mała biblioteka, tapczan, barek, stolik, dwa foteliki oraz jeden fotel podwójny z poręczą wygiętą w kształcie litery „S” w taki sposób, że korzystające z niego osoby siedzą twarzami w przeciwnych kierunkach i bokiem do siebie. Typowo sypialniany sprzęt - ocenił. Szafa ubraniowa, dywan, na ścianach obrazy - akty, dyskretnie rozmieszczone światła i chińskie zasłony w oknach.

- Jestem z milicji - przedstawił się. - Pan jest ojcem pani Anny?

- Tak. Nazywam się Leon Cieślik - głos mu lekko zadrział. To straszne - dodał. - Lubilem Irminę, chociaż stanęła na drodze mojej córki. Pogodziłem się z istniejącą sytuacją. Wiktorowi nie można było się sprzeciwić, nie dałoby to żadnego efektu. Zawsze robił, co chciał.

Skarbek słuchał z zainteresowaniem tych zwierzeń, a Leon Cieślik mówił dalej.

- Wiktor był już żonaty, kiedy poznał Annę. Początkowo protestowałem przeciw tej znajomości. Nie chciałem, aby moja córka związała się z żonatym mężczyzną. Szybko jednak zorientowałem się, że to bezcelowe. Zaborczość i siła oddziaływania Wiktora sprawiły, że Anna znalazła się całkowicie pod jego wpływem. Po trzech latach Wiktor rozwiódł się z Jadwigą i ożenił z Anną. Przed dwoma laty poznał Irminę. Powiedział mi, że jest córką jego znajomych, że nie ma mieszkania. Zamieszkała więc u nas. Kiedy zobaczyłem, w jaki sposób ona patrzy na Wiktora, wszystko stało się dla mnie jasne. Zrozumiałem, że Annę spotkało to samo, co przed laty Jadwigę. Początkowo buntowałem się. Ale Irmina miała w sobie tyle uroku i dobroci, a Anna nie była zazdrosna o Wiktora, obecność Irminy jej nie przeszkadzała, chociaż okazywała dziewczynie obojętność i lekceważenie. Anna miała już wówczas własne życie. Wiktora traktowała jako domownika, ale nie męża. Miałem wrażenie, że związek z Irminą był jej na rękę. Tym samym Wiktor stracił prawo do ingerowania w sprawy żony. W zasadzie wszyscy domownicy uznali tę sytuację za normalną. I nagle dziś... Byłem w ogrodzie na spacerze. Po powrocie wyszedłem na taras. Chodząc po tarasie zaglądałem przez okna do pokojów. Anna jeszcze nie spała. Leżała w łóżku i czytała książkę. Kiedy zajrzałem do pokoju Irminy, zobaczyłem, że leży odkryta. Sądziłem, że śpi. Chciałem narzucić na nią kołdrę. Polubiłem ją. Ranki są chłodne, mogła się przeziębć. Dopiero gdy wszedłem do pokoju, zauważyłem, że obok niej leży karabinek.

Irmina pasjonowała się strzelectwem. Była członkiem sekcji strzeleckiej w jakimś klubie sportowym. Zbliżyłem się więc, aby zabrać karabinek i okryć ją kołdrą. I wtedy - głos Cieślika załamał się - zobaczyłem stróżkę krwi. Wybiegłem z pokoju,



wezwał Wiktora. Wiktor przyszedł, dotknął czoła, ręki Irminy, po czym polecił aby niczego nie dotykać. Próbował telefonicznie połączyć się z milicją i pogotowiem, ale telefon nie działał. Mamy linię napowietrzną, często się psuje. Wówczas Wiktor wziął samochód i pojechał. Wrócił z panami.

Skarbek postanowił na razie poprzestać na tych informacjach Cieślika, pozostawiając szczegółową indagację na później, po przeprowadzeniu rozmów z resztą domowników.

- Dziękuję panu - powiedział. - Proszę, niech pan zostanie nadal w swoim pokoju.

Skarbek wrócił do pokoju Irminy.

- Długo jeszcze? - zapytał dokonujących oględzin funkcjonariuszy. Jednocześnie dotknął palcem ust, wskazując oczyma drzwi do pokoju Cieślika.

- Można już zabrać zwłoki - odparł technik.

- Doktorze - Skarbek zwrócił się do lekarza. - Proszę, żeby zechciał pan odwieźć zwłoki do Zakładu Medycyny Sądowej. Sierzancie - obrócił się ku Kłosowskiemu - pojedziecie z doktorem i przekażecie zwłoki na sądówkę na Oczki. Potem jesteście wolni.

- Tak jest, panie kapitanie - Kłosowski wyprężył się służbiście.

- Jeszcze jedno, doktorze. Świadczenie zgonu.

- Już gotowe, proszę.

Skarbek rzucił okiem na wypełniony druk.

- Czy mógłby pan umieścić tu jeszcze przypuszczalną godzinę zgonu? Podał pan tylko godzinę oględzin zwłok.

Młody, świeżo upieczony lekarz zarumienił się lekko.

- Dobrze - odpowiedział. - Ale tylko w przybliżeniu. Według mnie śmierć nastąpiła na około półtorej do trzech godzin przed moim przybyciem.

- To już coś - pochwalił go Skarbek.

Gdy wynoszono zwłoki do samochodu, kapitan wyszedł na

podwórze. Wydało mu się, że w oknie małego domku poruszyła się firanka. Z nimi pomówię na końcu - pomyślał, po czym zawrócił do willi. Zapukał do pokoju, który według informacji Wiktora Kościanko zajmowała jego matka.

- Proszę - usłyszał.

Wszedł. W fotelu na biegunach siedziała starsza kobieta, ubrana w czarną spódnicę i takiż sweter. Obok fotela stał mały stoliczek barek. Na nim chyba pół apteki, głównie leki uspokajające i nasercowe. Kobieta trzymała w ręku szklaneczkę, widać zażywała jakieś lekarstwo.

Pokój był duży, umeblowany podobnie jak inne: dywan, kilka obrazów, szafa, duże łóżko, telewizor, radio, mała biblioteczka, kilka krzeseł, okrągły stół, staroświecka serwantka, nocna szafka z lampką, na suficie duży ciężki żyrandol. Słuchawka domofonu odłożona obok aparatu, łóżko nakryte welnianą narzutą, nieprzygotowane jeszcze do snu.

- Dobry wieczór pani. Jestem kapitanem milicji. Nazywam się Ryszard Skarbek. Pani Maria Kościanko, czy tak? Przepraszam, że nachodzę panią o tak późnej porze, ale usprawiedliwia mnie szczególna sytuacja. Myślę, że wybaczy mi pani, iż ją niepokoję.

Starsza pani spojrzała na Skarbka z uznaniem.

- Nie sądziłam, że wśród oficerów milicji są ludzie dobrze wychowani. Oczywiście rozumiem, że wykonuje pan swoje obowiązki i nie może pan trzymać się sztywno konwenansów. Miło mi jednak stwierdzić, że jest pan dżentelmenem. Nie gniewam się za tę późną wizytę, w tych okolicznościach oczywista, a mimo to, w elegancki sposób przez pana wytłumaczoną. Proszę, niech pan usiądzie - wskazała mu ręką krzesło. Wstała z fotela i podeszła do serwantki. Wyjęła z niej kryształową karafkę i taką szklaneczkę. Nalała do niej złocistego płynu i podała Skarbkowi. - Proszę, to panu dobrze zrobi. - Z

tej samej karafki naląła do swojej szklaneczki.

Skarbek objął szklaneczkę dłonią, podniósł i powąchał. Potem spróbował odrobinę. Lubił rozpoznawać odmiany alkoholu po smaku i zapachu.

- Szkocka whisky, jeśli się nie mylę, chyba „Johnnie Walker”?

Pani Maria Kościanko była wyraźnie zadowolona.

- Rzeczywiście, to „Johnnie Walker”. Trzeba mieć nos i podniebienie, aby to poznać. - Widząc, że Skarbek zerknął na trzymaną przez nią szklaneczkę, dodała wyjaśniając: - Ten trunek jest najlepszym lekarstwem na serce. Te świństwa - wskazała ręką na stoliczek z lekami - nie pomagają, a nadto są niesmaczne. Lekarz zapisuje mi je stale, więc żeby nie drażnić syna, trzymam na widoku. Wolę jednak trochę dobrej whisky. Mam nadzieję, że nie zdradzi mnie pan przed domownikami.

- Obiecuje dyskrecję. Moim zadaniem jest walka z przestępczością, a nie ujawnianie cudzych tajemnic - zρέcznie zmienił temat, naprowadzając na cel swojej wizyty.

- Zapomniałam, że pan pracuje, a ja zabieram panu czas drobiazgami. A więc do rzeczy. Postaram się opowiedzieć panu wszystko, co dotyczy Wiktora i Irminy.

Nie wspomniała o innych domownikach - pomyślał Skarbek, ale zdecydował nie przerywać i pozwolić „wypowiedzieć się starszej pani.

- Wiktor, jak panu już chyba wiadomo, jest doktorem praw. Od dawna nie wykonuje zawodu. Przez kilka lat po wojnie zajmował eksponowane stanowisko w Urzędzie Repatriacyjnym. Posiada wiele odznaczeń. W czasie służbowych zajęć został ranny, stał się inwalidą. Przyznano mu wysoką rentę. Renta w połączeniu z zasobami moimi i jego, a także częściowo Anny, pozwala nam na dostatnie życie. Przed wojną miałam

majątek ziemski na Wołyniu. Jako rekompensatę otrzymałam od państwa ten dom z ogrodem. Wiktor studiował na Sorbonie. Był bardzo zdolny, ale trochę wywrotowiec. Po wojnie okazało się, że wyszło mu to na dobre. Otrzymał odpowiedzialne stanowisko. Wstąpił w związek małżeński z Jadwigą Wołkonicką, także repatriantką z Wołynia. Po jakimś czasie poznał Annę. Nie umiał panować nad swoimi uczuciami. Rozwiódł się z Jadwigą i ożenił z Anną. Odżył znów w pełni, kiedy poznał Irminę. Powstał problem: kolejny rozwód czy zaakceptowanie trójkąta. Anna, mimo że pełna temperamentu, wystygła już w uczuciach do Wiktora. Zaakceptowała obecność Irminy w domu. Sama miewała przygody. Irmina stała się dla niej usprawiedliwieniem. Nie byłam zachwycona tą sytuacją, ale kocham Wiktora. To mój jedyny syn. Skoro Irmina dała mi szczęście, a Anna spokój, pogodziłam się z istniejącym stanem. Nowego układu nie akceptował ojciec Anny, Leon Cieślik, chociaż nie okazywał tego. Myślę, że w głębi duszy rozumiał i Wiktora i Annę, nawet Irminę. W młodości, jak mi wiadomo, też szumiał. - Pani Maria Kościanko zamyśliła się na chwilę.

Skarbek przerwał ten wspominkowy nastrój.

- A dziś? Co zdarzyło się dziś? - zapytał.

- Prawda. Dziś - Maria Kościanko ocknęła się. - Przecież pana, kapitanie, interesuje najbardziej to, co zdarzyło się dziś. Chwileczkę. Niech sobie przypomnę wszystko po kolei.

Starsza pani lepiej pamięta przeszłość niż dzień dzisiejszy. W jej wieku to naturalne - pomyślał Skarbek.

Po napełnieniu swojej szklaneczki - Skarbek podziękował za „dolewkę” - matka Wiktora Kościanko mówiła dalej.

- Wstałam rano około godziny ósmej. Wiktor w tym czasie jadł śniadanie, szykował się do Warszawy. Miał załatwić jakieś swoje sprawy. Irminę spotkałam parę minut później. Była uśmiechnięta. Powiedziała, że zabierze się z Wiktorem, gdyż

musi wpaść do teatru. Anna z Leonem byli w tym czasie w ogrodzie, tak jak i nasz dozorca, Marcin Pustak. Jego żona, Kazimiera, też miała jechać z Wiktorem. Wybierała się do Warszawy po zakupy. Po śniadaniu wyszłam do ogrodu. Wróciłam około godziny jedenastej przed południem. Ale zaraz, która jest teraz godzina?

- Druga dziesięć w nocy - odpowiedział Skarbek.

- A więc to było wczoraj, a nie dziś. Złapałam pana na nieścisłym pytaniu - stwierdziła triumfująco.

- Rzeczywiście wczoraj, chyłę czoło przed pani precyzją - Skarbek skłonił pokornie głowę.

- No już dobrze. - Pani Maria, wyraźnie zadowolona, ciągnęła dalej:

- Około jedenastej zrobiło się gorąco. Wróciłam do pokoju, położyłam się i zasnęłam. Nie pamiętam, jak długo spałam, ale kiedy się obudziłam, zobaczyłam przez okno wóz Wiktora, a więc już wrócił. Obiad zjedliśmy we trójkę: ja, Wiktor i Leon. Anna prosiła Kazimierę, żeby obiad zaniósła jej do pokoju. Irminy jeszcze nie było. Po południu graliśmy w brydża w ogrodzie: ja, Wiktor, Anna i Leon. Około godziny osiemnastej, może dziewiętnastej, nie potrafię dokładnie określić, Wiktor powiedział, że musi popracować. Pisał książkę, którą stale przerabiał. Anna poszła do siebie poczytać. Dostała jakąś wspaniałą powieść „nabrzmiałą miłością”, tak ją określiła. Leon udał się na spacer, ja wróciłam do siebie. Kazimiera przywiozła mi buteleczkę whisky. Napiałam się więc odrobinę, a że po alkoholu zawsze jestem senna, położyłam się więc i zasnęłam. Obudził mnie Wiktor. Nie wiem, która mogła być godzina, ale na dworze już się ściemniło. Poleciał, żebym pod żadnym pozorem nie opuszczała pokoju, że to bardzo ważne. Oświadczył, że jedzie po lekarza, bo coś się stało z Irmimą. Wymógł na mnie obietnicę, że pozostanę u siebie aż do jego powrotu. Po jego odjeździe dręczyła mnie ciekawość. Przez

domofon połączyłam się z pokojem Irminy. Chciałam usłyszeć od niej, co się stało. Słuchawkę podniósł Leon. „Irmina nie żyje. Zastrzeliła się” - oświadczył. Zrozumiałam wówczas sens polecenia Wiktora. Nie wychodziłam stąd ani na chwilę. To wszystko.

- Dziękuję pani za miłą rozmowę i świetną whisky. Bardzo mi pani pomogła.

Skarbek skłonił się, zerkając raz jeszcze na łóżko. Było nie-  
tknięte. To bardzo interesujące - pomyślał opuszczając pokój.

## *Rozdział 4*

Skarbek postanowił porozmawiać teraz z Wiktorem Kościanko. Kiedy wszedł do jego pokoju, gospodarz podniósł się z fotela:

- Proszę. Niech pan siada, kapitanie.

Skarbek zagłębił się w fotelu. Dwie ściany i część trzeciej zajmowały szafy biblioteczne szczelnie wypełnione książkami. W pobliżu okna stało piękne duże biurko. Na nim stylowa lampa. Na środku niski stolik i cztery fotele, a w przeciwnym końcu pokoju niezwykle oryginalny tapczan. Na podłodze olbrzymia skóra niedźwiedzia. Prócz tego na piętrowej półce stał telewizor, radio, magnetofon i adapter. Aparat telefoniczny i domofon ustawiono na małym stoliczku tuż przy oknie. Oświetlenie tylko boczne, ze stylowych kinkietów. Na ścianie jeden obraz - portret młodego chłopca.

- Napije się pan? - spytał gospodarz, podchodząc do barku ukrytego w ścianie.

- Odrobinę whisky, jeśli można - Skarbek chciał przeprowadzić tę rozmowę w towarzyskim nastroju.

Kościanko napełnił kryształowe szklaneczki.

- Lód, soda? - zapytał.

- Jedno i drugie - poprosił.

W barku ściennym wmontowany był także mały zamrażalnik.

Kościanko wrzucił do szklaneczek po dwie kostki lodu, dolał trochę wody sodowej. Podał szklaneczkę Skarbkowi, po czym rozsiadł się w fotelu.

- Czekałem długo na swoją kolejkę. Sądzę, że zdążył pan, kapitanie, poznać historię moich małżeństw i romansów, co pozwoli mi na skracanie się - urwał.

- Jest pan prawnikiem, chciałbym więc, aby powiedział mi pan to wszystko, co pana zdaniem winien wiedzieć oficer milicji, mający wyjaśnić przyczyny i okoliczności śmierci. W tym przypadku śmierci Irminy Adamskiej. Proszę informować mnie tak, jak gdyby pan był moim pierwszym rozmówcą - Skarbak powiedział to uprzejmie, ale tonem kategorycznym, wykluczającym wszelką dyskusję.

- Dobrze. Urodziłem się na Wołyniu. Rodzice mieli tam majątek ziemski. Byli obszarnikami, jak to się dzisiaj mówi. Miałem kilka lat, kiedy straciłem ojca. Zginął na polowaniu. Zaatakował go z tyłu ranny odyniec. Nie znano wówczas antybiotyków. Nim udzielono mu pomocy, wdała się gangrena, a może i tężec, było za późno na ratunek. Matka wyszła powtórnie za mąż. Za wdowca, także obszarnika. Pozostała jednak przy nazwisku pierwszego męża.

Szkołę średnią skończyłem we Lwowie. Podjąłem studia prawnicze. Zrazu w Krakowie, później na Sorbonie. Zajmowałem się trochę publicystyką polityczną. Moje poglądy, niezgodne z programem ówczesnego rządu i tradycjami rodzinnymi, szokowały nasze środowisko. Nie byłem komunistą, nie byłem nawet socjalistą. Dostrzegałem jednak potrzebę reform społecznych i politycznych. Ludzie z mojej sfery uważali mnie za wywrotowca, anarchistę. Mówiono, że zostanę bolszewikiem. W rodzinie traktowano mnie jak czarną owcę. Dlatego chyba wysłano mnie na studia za granicę. Wojna zastała mnie w Ameryce Południowej. Chile, potem Brazylia. Na drugiej półkuli spędziłem lata wojny. W maju 1945 roku wróciłem do

kraju. Do Warszawy. Matka tam mieszkała. Ojczym zginął podczas wojny. W Warszawie, wkrótce po powrocie, spotkałem przypadkiem kolegę ze studiów. Zajmował wysokie stanowisko. Był członkiem partii. Przypomnił sobie moje studenckie światoburcze publikacje. „Trzeba nam takich” - oświadczył. Tak dostałem nominację na odpowiedzialne stanowisko w Urzędzie Repatriacyjnym. Wówczas też poznałem Jadwigę Wołkonicką. Była Wołynianką. Załatwiałem jej jakieś sprawy repatriacyjne. Ożeniłem się z nią. Matka zdołała ocalić sporo kosztowności. Ja także miałem znaczne oszczędności w bankach zagranicznych. W 1948 roku, podczas służbowego wyjazdu w okolice Szczecina zostaliśmy napadnięci przez jakąś bandę. Otrzymałem postrzał w płuco i kręgosłup. Leczenie i kuracja trwały ponad dwa lata. Stałem się inwalidą. W uznaniu moich zasług, przyznano mi specjalną rentę, wysokie odznaczenia. W czasie pobytu w sanatorium poznałem Annę. Po trzech latach tej znajomości przeprowadziłem rozwód i ożeniłem się z nią. Próbowałem zabrać się do pracy naukowej, ale współczesne teorie prawne były diametralnie różne od tych, które znałem. Nie potrafiłem się przestawić, zrezygnowałem. Od tej pory zajmuję się pisaniem. Żadnej z moich kilku książek dotąd nie wydano, ale może kiedyś... Przed dwoma laty poznałem Irminę. Jadąc do Warszawy, w pobliżu strzelnicy przy Lasku Bielańskim, na szosie zatrzymała mnie dziewczyna z karabinkiem. Prosiła o podwiezienie. Od pierwszej chwili wiedziałem, że to będzie moja wielka miłość. Tak się też stało. Była młodą aktorką i amatorką sportów strzeleckich. Zarabiała niewiele. Mieszkała w jakimś obskurnym sublokatorskim pokoju. Mogłem wynająć jej wygodne mieszkanie, ale chciałem mieć ją przy sobie. Początkowo nie zgadzała się. Ale później, kiedy i ona zapragnęła być ze mną, zdecydowała się. W tym czasie oboje z Anną byliśmy już sobą znużeni. Ojciec Anny i



moja matka zaakceptowali istniejący układ. Uważali zapewne, że to przelotna historia.

Irmina była urocza. Potrafiła zjednać sobie ludzi. Wszyscy ją polubili. Jeśli nawet zachowywano wobec niej dystans i powściągliwość, to, moim zdaniem, raczej z przekory niż z autentycznej potrzeby. Irmina była naprawdę miła, nawet dla Anny. Myślę, że i Anna, która usiłowała manifestować obojętność i lekceważenie wobec Irminy, w gruncie rzeczy żywiła do niej jakąś sympatię. Tak więc chociaż teoretycznie sytuacja wydawała się skomplikowana, to faktycznie nikt do nikogo nie żywił nienawiści. Panowała atmosfera tolerancji.

Przed trzema tygodniami, pomiędzy mną a Irminą doszło do drobnej sprzeczki. Nie ukrywam, byłem o nią zazdrosny. Nie chciałem jej utracić. Spotkałem ją w Warszawie w towarzystwie młodego, przystojnego mężczyzny. Sposób, w jaki na nią patrzył, uświadomił mi, że jest nią co najmniej zainteresowany. Wydawało mi się, że Irmina także traktowała go z nadmierną życzliwością. Wieczorem w domu, a w zasadzie w łóżku, powiedziałem jej o swoich spostrzeżeniach. Była ambitna i trochę porywczą. Oburzyła się, że jej nie ufam. Chciała natychmiast opuścić mój dom. Wiedziałem, że nie ma dokąd pójść, bałem się, że jeżeli nie przeszkodzę jej w realizacji tego zamiaru, utracę ją na zawsze. Oświadczyłem, że to ja się przeniosę. I wtedy właśnie przeprowadziłem się do tego gabinetu.

- Czy przedtem mieszkał pan razem z nią w jej pokoju? - spytał Skarbek.

- Nie. Zajmowałem pokój przyległy do pokoju Irminy, ten, w którym obecnie mieszka mój teść, Leon Cieślik. Poprzednio on zajmował gabinet. Zgodził się na tę zamianę. O niego nie byłem zazdrosny. Był stary. Panie kapitanie, może to, co powiem, wyda się panu śmieszne, nawet groteskowe, zważywszy na mój wiek, ale ta dziewczyna zawładnęła mną całkowicie. Była w cudowny sposób zmysłowa: gwałtowna i delikatna

zarazem. Miała tyle wewnętrznego ciepła... O takiej dziewczynie marzy każdy mężczyzna.

Oczy Wiktora nabrały blasku, a w głosie zadrgała nutka podniecenia. Stracił na chwilę wyniosły spokój, natychmiast jednak opanował się.

- Niech mnie pan nie uważa za erotomana. Kochałem Irminę. Nadal ją kocham, chociaż już jej nie ma.

Po zmianie pokoju, w naszym wzajemnym zachowaniu się na pozór nic się nie zmieniło. Rozmawialiśmy z sobą tak samo. Razem siadaliśmy do stołu. Odwoziłem ją często do Warszawy. Miałem jednak wrażenie, że Irmina chce mnie ukarać za moją podejrzliwość, gdyż zrećcznie unikała okazji do wyjaśnienia sytuacji, prób powrotu do poprzedniego stanu. Wczoraj około godziny ósmej rano wybierałem się do Warszawy. Irmina pojechała ze mną, a właściwie tylko ją podwoziłem, miała coś załatwić w teatrze. Razem z nami pojechała nasza gosposia. Po zakupy. Kazimiera wysiadła na Brackiej koło „Delikatesów”. Irminę zawiozłem na Litewską. Wróciłem do domu około godziny trzynastej. Obiad zjedliśmy bez Irminy. Widocznie sprawy zatrzymały ją dłużej w teatrze. Po południu graliśmy w brydża w ogrodzie. Chyba do dziewiętnastej. Potem poszedłem do gabinetu, chciałem trochę popracować. Matka też wróciła do siebie, Leon Cieślik spacerował po ogrodzie. Anna, zdaje się, siedziała w swoim pokoju. Marcin Pustak wziął wędkę i powiedział, że pójdzie nad Wisłę na ryby. Kazimiera poszła z mężem.

Nie wiem, o której wróciła Irmina. Brama wjazdowa ma zamek elektroniczny. Furtka jest zamykana na klucz. Każdy ma swój klucz. Miała go także Irmina.

Zdrzemnąłem się w fotelu. Obudziło mnie szarpnięcie za ramię. Przy mnie stał Leon Cieślik i zdenerwowanym głosem ponaglał mnie, abym poszedł zaraz na górę, bo coś się stało z Irminą. Leżała tak, jak pan ją zastał. Wziąłem Irminę za rękę, dotknąłem czoła, podniosłem powiekę. Nie miałem wątpliwości:

była martwa. Karabinek i strużka krwi na piersi wyjaśniały wszystko. Zastrzeliła się. Próbowałem telefonicznie wezwać lekarza i milicję, ale jak na złość telefon znów nie działał. Powiedziałem więc teściowi, żeby nie pozwolił nikomu wchodzić do pokoju Irminy, zanim nie wrócę. Prosiłem matkę, aby pozostała u siebie. Powiedziałem jej chyba, że jadę po lekarza dla Irminy. Nie mówiłem, co się stało. Nie chciałem jej denerwować. Ma chore serce.

Wyprowadziłem wóz z garażu i pojechałem do komendy. Po drodze zgasł ino silnik. Okazało się, że to głupstwo, zsunął się kabel z akumulatora. Nie jestem fachowcem, więc zanim odkryłem przyczynę, upłynęło trochę czasu. Resztę pan zna. Dlaczego to zrobiła, dlaczego popełniła samobójstwo?! Nie wiem.

- Sądzi pan, że to samobójstwo?

- A czy pan, kapitanie, jest innego zdania?! W takim razie podejrzewa pan, że to zabójstwo. Ale nikt z nas nie miał powodu, żeby zabić Irminę.

- Ja nie podejrzewam, wyjaśniam przyczynę i okoliczności śmierci Irminy Adamskiej - głos Skarbka był spokojny. - Ze chce mi pan powiedzieć, gdzie był przechowywany karabinek.

- Początkowo w tym gabinecie, razem z moją bronią.

Kościanko odsunął zasłonę okienną. W ścianę tuż przy oknie wbudowano oszkloną szafę. Wisiały tu dubeltówka i sztucer.

- Ale kiedy Irmina zaczęła częściej jeździć na strzelnicę, nie chciała niepokoić teścia, który tu mieszkał, więc karabinek od kilku miesięcy wisiał w jej pokoju na ścianie. Obok drzwi prowadzących na taras.

- Czy ma pan jeszcze inną broń? - Skarbek wskazał na odsłoniętą szafę.

- Tak. Mam jeszcze broń krótką. Walter.

- Wybacz pan - zwrócił się Skarbek oficjalnym tonem. - Chciałbym zabrać tę broń do oględzin. Potem zwrócimy ją panu.

- Ależ oczywiście, kapitanie. To zrozumiałe. - Kościanko nie był zdziwiony tym żądaniem.

- A teraz, jeśli pan pozwoli, chciałbym obejrzeć pozostałe pomieszczenia.

- Bardzo proszę - Kościanko podniósł się z fotela.

Wyszli do hallu.

- Tu jest pokój stołowy - Kościanko otworzył sąsiednie drzwi.

Olbrzymi pokój. Stare gdańskie meble, duży żyrandol. Wokół długiego stołu 12 krzeseł. Duży, równie ciężki jak stół, dębowy, rzeźbiony kredens. Taką serwantka i pomocnik. Dwa barki na kółkach. Telewizor. Domofon. Kilka obrazów na ścianach i dywan zakrywający całą podłogę. Trzy sześcioramienne świeczniki. Z tym wnętrzem nie harmonizowały jedynie lodówka i zamrażarka w nowoczesnej obudowie. W oknach ciężkie zasłony. Pokój nie miał innego wejścia.

- Dziękuję, chodźmy dalej. - Skarbek wyszedł pierwszy.

Kościanko otworzył drzwi na przeciwległej ścianie hallu. Duże, pełne szaf pomieszczenie i schody na niższą kondygnację.

- To garderoba - informował Kościanko. - Schody prowadzą do winiarni i garażu.

Zeszli w dół. Mały korytarzyk wyłożony drewnianą boazerią. Kościanko otworzył drzwi po lewej stronie. Wnętrze urzekło Skarbka. Ściany i sufit w drzewie. Długi stół, drewniane ławy. Staroświeckie lampy naftowe, przerobione na elektryczne. Bufet i półki pełne butelek. Na stylowych kozłach beczulka z winem. Na innej ścianie znów półki, ale zastawione kieliskami, kufkami, naczyniami kamiennymi. W rogu pod sufitem drewniana kratownica osłaniająca wentylator.

- Można się tu nawet wygodnie przespać - powiedział Kościanko, naciskając jedną z klepek. Dolna część boazerii odchyliła się do pozycji poziomej, zamieniając się w wygodny tapczan.

- Piękne i oryginalne - mruknął Skarbek.

Wyszli na korytarz. Tym razem gospodarz otworzył drzwi z prawej strony. Znaleźli się w garażu. Ściany wyłożone kolorowymi kafelkami, kanał. Podręczny warsztacik i metalowa szafka z narzędziami. U góry na hakach zawieszona łódź motorowa. Obok drzwi wjazdowych - wydzielone i obudowane pomieszczenie dla psów. Skarbek obejrzał je. Miało dwa wejścia. Oba zamykane. Jedno wewnętrzne, drugie z podwórka.

- Wróćmy na górę - zaproponował kapitan.

Po obejrzeniu kuchni i łazienki Skarbek zauważył, że pod schodami prawdopodobnie jest jeszcze jakieś pomieszczenie, gdyż schody oddzielone były ścianką od przedpokoj.

- Co tam jest? - spytał.

- Schowek. - Kościanko odsunął część ściany.

W niewielkiej wnęce stał odkurzacz, froterka, wiadra, szczotki i dwa duże kufry.

Skarbek uniósł ich pokrywy. Zobaczył srebrną zastawę stołową pięknej roboty, z herbami.

- Nabyłem to podczas pracy w Urzędzie Repatriacyjnym - wyjaśnił Kościanko z akcentem zażenowania.

- Mówił mi pan, że przy winiarni jest także łazienka, nie widziałem jej dotąd.

- Rzeczywiście, zapomniałem o tym, chodźmy.

Zeszli znowu do winiarni. Kościanko przesunął jedną z kłapek i część ściennej boazerii otworzyła się. Mały przedsionek i dwoje drzwi. Na wprost do wc, na prawo - do łazienki. Ściany z kolorowego kamienia, wanna obudowana czerwonymi kafelkami, także czerwona umywalka, bidet, wieszak na ubranie i fotelik pokryty czerwoną materią. Małe okienko w górnej części ściany było otwarte.

- Dziękuję, to już chyba wszystko. Pozwoli pan, że teraz poproszę pana o powrót do gabinetu, a ja pójde pomówić z Pustakami.

- Uprzedzę ich, żeby się nie wystraszyli. - Kościanko podniósł

sluchawkę domofonu i nacisnął klawisz z numerem 9. Powtórzył ten zabieg kilkakrotnie. - Nie działa - stwierdził. - To dziwne, nigdy się nie psuł.

- To moja wina, po naszym odjeździe domofon będzie czynny - Skarbek uśmiechnął się przeproszająco.

- Rozumiem - Kościanko popatrzył uważnie na Skarbka.

- Zechce pan jeszcze zamknąć psy.

Kościanko wszedł do garażu i cicho gwizdnął. Owczarki posłusznie weszły do swojego pomieszczenia.

- Wyjdę tędy - Skarbek wskazał na drzwi wjazdowe do garażu.

## *Rozdział 5*

Po wyjściu z garażu Skarbek rozejrzał się. Obok stała dwukołowa przyczepka do samochodu - transporter łodzi. Spojrzał w kierunku małego domku. Wydało mu się, że w ciemnym oknie znów poruszyła się firanka. Noc zaczynała już powoli ustępować. Był przedświt. Kapitan skierował się w stronę ogrodu. Kiedy znalazł się w miejscu niewidocznym z okien, zawrócił w kierunku domku i zatrzymał się w pobliżu drzwi. Cekał. Po chwili zobaczył, że się uchylają. Podeszedł szybko i odciągnął je energicznie.

- Dzień dobry - powiedział.

Za drzwiami stało dwoje oniemiałych ludzi. Kobieta w wieku pięćdziesięciu kilku lat, tęga, gładko uczesana o rumianej twarzy, ubrana w kwiciastą suknię. Mężczyzna około sześćdziesiątki, prawie zupełnie łysy z lekko fioletowym nosem, świadczącym o skłonności do nadużywania trunków.

- Dzień dobry - powtórzył Skarbek. - Państwo Pustakowie?

- Tak - potwierdziła kobieta. - Czego pan tu szuka?

- Jestem z milicji. Pan Wiktor Kościanko przysłał mnie do

państwa. Nie uprzedził, bo domofon jest zepsuty.

Skarbek wszedł do wnętrza. Było urządzone w stylu góralskim.

Mężczyzna podniósł słuchawkę domofonu, próbując połączyć się z willą. Bezskutecznie. Westchnął i powiedział:

- Rzeczywiście zepsuty - odłożył słuchawkę.

Skarbek zauważył, że łóżko jest nietknięte. Nikt na nim nie spał tej nocy.

- Panie Marcinie - zwrócił się do mężczyzny - chodźmy do ogrodu. Chciałbym zobaczyć budynek gospodarczy. Do pani też mam prośbę, niech pani jeszcze nie wychodzi z mieszkania, dobrze?

- Dobrze, proszę pana - zgodziła się Pustakowa.

Skarbek ze starym wyszli do ogrodu. Teraz, w ustępującym mroku, można było dostrzec, jaki jest rozległy. Pustak oprowadził kapitana po budynku gospodarczym, składającym się z dwóch pomieszczeń: w jednym mieściła się pralnia, drugi służył jako skład narzędzi ogrodniczych. Piwnica pod budynkiem była podzielona na cztery oddzielne schowki. W jednym trzymano beczulki i butelki z winem, w drugim przechowywano owoce. Trzecie - skład koksu, było usytuowane tuż obok kotłowni.

- Ta kotłownia zimą ogrzewa wszystkie budynki na posesji. W lecie służy do ogrzewania wody w łazienkach i w pralni - Pustak powiedział to z dumą w głosie.

Było to jego gospodarstwo.

Wyszli na dwór.

- Usiądźmy na chwilę i pogadajmy - zaproponował Skarbek, sadowiac się na stojącej obok budynku ławce.

- Możemy - zgodził się Pustak. - A o czym to mamy pogadać?

- Nie wie pan, co się stało? - zdziwił się Skarbek.

- Nie wiem. Byliśmy ze starą na rybach. Nie powiem, nawet brały. Wróciliśmy do domu, kiedy już było ciemno. Żona

właśnie się zabrała do skrobania ryb, gdy usłyszałem warkot samochodu. Wyjrzałem i zobaczyłem, że nasz pan wyjeżdża. Zdziwiłem się, że o tej porze... po nocy... W parę minut później zadzwonił starszy pan, teść pana Wiktora. Miał zmieniony głos. Powiedział, żebyśmy nie wychodzili z mieszkania, dopóki nas nie wezwą. Pytałem, czy coś się stało. Powiedział, że panienka zabita. „Jak to zabita?” - zapytałem. Ale starszy pan nie chciał nic więcej mówić. Oboje z żoną całą noc przesiedzieliśmy przy oknie. W godzinę, a może i później, po pana odjeździe przyjechał radiowóz. Jak zobaczyłem, że milicja, otworzyłem bramę, nie wychodząc z domku. Tam jest taki elektryczny zamek, jak nacisnę guzik, to brama sama się otwiera, jak nacisnę drugi raz, zamyka się. Po jakimś czasie przyjechał nasz pan, później karetka pogotowia i jeszcze jakiś samochód. Widziałem, jak wynosili kogoś na noszach do karetki. Dziwne, że jak nieśli nosze, to psy skomlały. No i potem nic się już nie działo.

- Panie Marcinie - Skarbek starał się nadać poufały charakter rozmowie - panna Irmina nie żyje. Zastrzelona z karabinka. Nie wiem jeszcze, czy sama się zastrzeliła, czy zrobił to ktoś inny. Niech mi pan powie, uczciwie, jak to było w tym domu.

Pustak machnął ręką.

- Obraza boska! Nie mówię, że chłop musi być święty. Byłem w wojsku, dziewczuchy przychodziły pod koszary. Nieraz człowiek którąś przygniótł. Ale żeby do domu, do rodziny sprowadzać kochanicę, to Boga w sercu trza nie mieć. Prawda, panienka była piękna i dobra. Umiała uszanować człowieka. Tyle że wdała się w to lajdactwo z panem. Młoda i głupia. A właściwie wszystkiemu winna nasza pani. Ona pierwsza zaczęła się puszczać. Cztery lata temu pan pojechał do sanatorium, a tu przyjechał jakiś kuzyn. Wielkie chłopisko, czarne jak cygan. Roman mu było. Jakem zobaczył wieczorem w ogrodzie, jak się migdalili, pomyślałem, że on taki kuzyn jak ja wujek. Kiedy się



wprowadziła panienska Irmina, tośmy chcieli rzucić pracę. „Nie będziesz stróżem w burdelu” - mówiła żona. Ale potem zostaliśmy. Panienska była dla nas dobra, lepsza niż pani. A pan, nie powiem, i zapłaci, i mieszkanie daje darmo, a co stara ugotuje dla nich, to i myjemy. Jesteśmy już starzy. Niełatwo z miejsca się ruszyć.

- Czy w ostatnich czasach nic się nie zmieniło w stosunkach między panną Irminą a panem Kościanko? - zapytał Skarbek.

Pustak podrapał się w głowę.

- Coś tam było nie tak jak dawniej. Trzy tygodnie temu żona mi mówiła, że pan Wiktor z teściem zamienili się pokojami. Niby nic takiego, nie kłócili się, pan jak dawniej woził panienskę do Warszawy. No i masz, ni z tego, ni z owego panienska nie żyje. Jak to się stało? Czy pan kogo zamknie? - zaniepokoił się Pustak.

- Żeby zamknąć, to musi być za co, panie Marcinie. Na razie chcę ustalić, jak to się stało. Mądry z pana człowiek - Skarbek uściśnął rękę Pustaka. - Mam do pana prośbę, niech pan tu zostanie chwilę. Chciałbym pogadać z pana żoną. W cztery oczy.

- Niech pan idzie, ja tymczasem podleję kwiaty. - Pustak sięgnął po szlauch.

Skarbek zapukał i wszedł do środka. Pustakowa smażyła ryby.

- Gdzie Marcin?

- Podlewa kwiaty - odparł Skarbek. - Chciałem porozmawiać z panią, pani Kazimiero.

- Niech pan siada, zaraz ryba będzie gotowa. Spróbuje pan, czy dobra.

- Z przyjemnością. Pachnie tak apetycznie.

Pustakowa postawiła przed nim talerz i zsunęła z patelni dwa kawały skwierczącego jeszcze leszcza.

- Niech pan je, na zdrowie - dodała. - Zaraz zrobię herbaty. Skarbek uskubał widelcem spory kęs.

- Delicje - mruknął z pełnymi ustami. - Chciałbym być pani stołownikiem. I herbatę tak pani zaparzyła, że lepszej dawno nie piłem.

Pani Kazimiera rozpromieniła się.

- Pan Wiktor też tak mówi.

- Widać zna się na tym, co dobre - uśmiechnął się Skarbek.

- Czy zna się także na kobietach?

Pokiwała głową.

- A jakże. Ale czasem i najlepsze się przeje.

- A jemu się przejadło? - W głosie Skarbka ton powątpiewania.

- Jakby się żona nie przejadła, nie byłoby tu panienki. Ale i panienka pewnie się przejadła, skoro do swego pokoju wprowadził teścia, a sam się wyniósł.

- Niech pani mi opowie, jak to było. Pani wie najlepiej - pochlebiał jej Skarbek - jak to było z tymi paniami i panem Wiktorem. Niech mi pani opowie o tej rodzinie. Dawno tu pani pracuje?

- Byłam jeszcze dziewczyną, kiedy starsza pani wzięła mnie do kuchni. Moja matka była kucharką w pałacu. Kościankowie mieli piękny majątek na Wołyniu. Panicz Wiktor zawsze był taki trochę latawiec. Dziewuchom we wsi nie przepuścił. W trzydziestym dziewiątym panicz wyjechał do Ameryki. Potem przyszła wojna. Pan wie, jak było na kresach?! Na początku zabili męża starszej pani. Drugiego męża, bo ojca pana Wiktora zabił odyniec na polowaniu. Mojego brata i ojca zabrali też do wojska, zginęli obaj. Zostałam sama ze starszą panią. Marcin wrócił z wojny, wrzucił mundur do pieca no i jakoś ocalał. W czterdziestym na Nowy Rok pobraliśmy się. Udało nam się przetrwać tę wojnę.

Mieszkaliśmy we wsi, ale zanim nas wygonili z pałacu, zdążyliśmy uratować co nieco. Starsza pani włożyła kosztowności do żelaznej szkatuły. Obrazy, porcelanę, nawet trochę świeczników i stołowiźny ukryliśmy w ogrodowej piwnicy. Jak się Niemcy wycofali i z powrotem przyszli rusecy, pani zdecydowała,

że jedziemy do Warszawy. Marcin dogadał się z kim trzeba i dostaliśmy wszyscy papiery repatriacyjne, a pani jeszcze zaświadczenia i zezwolenie na wywóz rzeczy. Marcin wytrzasnął skądś wóz i konie. W kwietniu czterdziestego piątego ruszyliśmy w drogę. Panie kochany, cóż to była za podróż! Trwała chyba z pięć tygodni. Po drodze pełno wojska. Pokazywaliśmy im dokumenty i puszczali nas bez słowa. Dwa razy zatrzymali nas leśni. Pani wyjmowała wtedy swoje przedwojenne papiery i też nas puścili. Dotarliśmy wreszcie do Warszawy. Nic, tylko kupa gruzu. Jak tu żyć? W gruzach?! Zjawił się i pan Wiktor. Mówił, że przyjechał z Ameryki Południowej. Od tej pory wszystko poszło inaczej. On załatwił, że za to zaświadczenie dali starszej pani ten dom z ogrodem. Pan dostał stanowisko. Dobrze mu się wiodło. Zdobył w tym czasie dużo cennych rzeczy. Potem go postrzelili. Kurował się ze dwa lata. Wreszcie przeszedł na rentę inwalidzką. Wtedy się ożenił z hrabianką Jadwigą Wołkonicką. Jak się ożenił, przez pewien czas był z babami spokoj. Potem zaczęła tu przyjeżdżać Anna, jego obecna żona. Pani Jadwiga nieraz nawet do mnie użalała się, że tamta zabiera jej Wiktora. Po trzech latach rozwiódł się i ożenił z Anną. Ta była zupełnie inna. Stale tylko figle jej w głowie. Z pana to musi być dobry kogut, że przez parę lat radził sobie z Anną. Potem i jej miał już dosyć. Wszystko się w końcu przeje. To już ze sześć lat temu. Pani znalazła sobie kochanków. Trzy lata temu, jak pan wyjechał do sanatorium, jednego sprowadziła tu na cały miesiąc. Mówiła, że kuzyn. Ja jedna znałam prawdę, ale milczałam. Marcin dowiedział się dopiero wówczas, gdy ich nakrył.

Na Wielkanoc, dwa lata temu, pan Wiktor przywiózł pannę Irminę. Od razu wiedziałam, co w trawie piszczy. Panienka była piękna, a pan, wiadomo, żadnej nie przepuści. Jawnie zamieszkał w pokojach obok siebie. Żona i kochanka pod jednym dachem, przez ścianę. Przecież Bóg to musi pokarać!

Najpierw to chcieliśmy z Marcinem odejść. Ale gdzie na starość szukać chleba?! Potem polubiłam panienkę. Dobra była. Dała się panu omotać. Pani Annie było to na rękę, przestała się kryć, przyjmowała kochanków u siebie w pokoju, zostawali na noc.

Ze trzy tygodnie temu sprząając pokoje zauważyłam zmianę. W pokoju pana Wiktora zastałam jego teścia. Powiedział, że pan Wiktor przeniósł się na dół, do gabinetu. „A panienka?” - zapytałam. Cieślik popatrzył na mnie i mruknął: „Na razie zostaje”. Panienka nawet nie zmieniła się w stosunku do pana. Była jak zawsze grzeczna, uśmiechnięta, ale nie widziałam, aby go pocałowała czy pogłaskała, jak przedtem. Spytałam starszej pani, dlaczego pan się przeprowadził. Powiedziała: „Moja droga Kazimiero, stare już jesteśmy i nie bardzo rozumiemy, co dzieje się między młodymi”. Pomyślałam sobie, że pan Wiktor nie taki znów młodzieniaszek i więcej na ten temat się nie odzywałam. Aż do wczoraj. Wczoraj pan zabrał panienkę i mnie samochodem do Warszawy. Mnie podwiózł pod „Delikatesy”. Pytał panienkę, gdzie i o której ma po nią przyjechać. Oświadczyła, że wróci późno sama. „Chyba nie jesteś zazdrosny” - dodała. Więcej nie rozmawiali.

Wysiadłam, a oni pojechali dalej. Wróciłam koło pierwszej. Pan był już w domu. Po obiedzie poszłam z Marcinem nad Wisłę, na ryby. Wróciliśmy do domu po dziesiątej. Zabrałam się właśnie do skrobania ryb, gdy usłyszałam, że pan wyjeżdża. Parę minut przed jedenastą zadzwonił telefon. Odebrał Marcin. Dzwonił pan Cieślik i kazał nam nie opuszczać mieszkania. Mówił, że panienka zabita. No i przesiedzieliśmy noc przy oknie. Aha, zapomniałam powiedzieć, że kiedy wróciliśmy znad Wisły, na podwórku nie było psów. Siedziały zamknięte i dopiero ja je wypuściłam.

- Czy panienka miała powody, żeby odebrać sobie życie?
- Nie wierzę. Była stale wesoła, uśmiechnięta, nawet

wczoraj rano w samochodzie. Po co miałyby się zabijać?

- Komu mogło zależeć na jej śmierci?

- Nie wiem. Wszyscy ją polubili. Nie rozumiem tylko, dlaczego pan Cieślik nie pozwolił nam wyjść z domu. I dlaczego pan Wiktor wyprowadził się na dół?

Ze sposobu w jaki Pustakowa wyraziła te wątpliwości, Skarbek wywnioskował, że jeżeli kogoś podejrzewa, to któregoś z nich.

- Na mnie już czas. Dziękuję, pani Kazimiero, za poczęstunek i miłą pogawędkę.

Pożegnał się. Pocałował rozpromienioną Pustakową w rękę i wyszedł z domku. Na dworze rozwidniło się. Poszedł obejrzeć ogród.

## *Rozdział 6*

Ogród, dość duży, tworzył jak gdyby trzy części. Pierwsza, najmniejsza, urządzona została w stylu francuskim: klomby, trawniki, strzyżone żywopłoty. Druga dzika, na wzór angielskich parków krajobrazowych. Resztę stanowił sad i ogród warzywny. Tu właśnie stał budynek gospodarczy, który Skarbkowi pokazywał Pustak. Marcin z uwagą przyglądał się grządce.

- Czego pan tak wypatruje? - spytał kapitan.

- Psiekrwie! Podeptali sałatę.

Skarbek podszedł do Pustaka. Na wąskiej grządce, świeżo obsianej, widniały trzy ślady buta. Ktoś przechodził tędy na ukos, idąc od strony willi w kierunku Wisły.

- Niech pan nie usuwa tych śladów, panie Marcinie - poprosił. - Zaraz wrócę.

Z radiowozu zaparkowanego na podwórzu połączył się z komendą.

- Przyślij technika - zadysponował. - Niech weźmie graty do zabezpieczenia śladów stóp i psa z przewodnikiem. Nie marnuj. To pilne.

Zawrócił do willi. Wszedł na górę. Właśnie jeden z techników kończył drobiazgowo oględziny tarasu. Z balustrady zdjął jakąś niteczkę.

- Zrób jeszcze oględziny garażu. Chodzi mi o drzwi wejściowe i okienko z łazienki - polecił.

Sprawdził, co robią jego ludzie. Fotograf nie próżnował. Utrwalał na kliszy przedmioty wskazywane przez technika śledczego, w przerwach pisał pod jego dyktando protokół oględzin.

- Dobrze pracujecie, chłopaki - pochwalił ich. Wiedział, że po całonocnej wytężonej pracy należało się im uznanie.

- Kapitanie - rzucił technik w odpowiedzi - posiedzimy chyba do południa. Widzi pan, ile tego? - wskazał na stos kopert zawierających zabezpieczone przedmioty i ślady.

- Przejrzę w komendzie - zdecydował Skarbek.

Zaszedł jeszcze raz do Wiktora Kościanki. Zastał go drzemiącego w fotelu.

Na widok Skarbka Kościanko zerwał się.

- Sen mnie zmógł - powiedział przepaszająco.

- Zrozumiałe, nie spał pan przecież przez całą noc. Czy zna pan adres rodziny Irminy Adamskiej?

- Jej matka i siostra mieszkają w Miechowie, w Krakowskiem.

- Mam prośbę, niech je pan ściągnie do Warszawy. Będzie to dla nich mniejszy wstrząs, niż gdyby zrobiła to milicja. I proszę mnie zawiadomić, jak przyjadą. Tu są moje telefony. - Skarbek zapisał numery na kartce wyrwanej z notesu i położył na biurku. Następnie poszedł raz jeszcze do Kazimiery Pustakowej.

- Droga pani Kazimiero, mam do pani prośbę. Moi ludzie zasypiają ze zmęczenia, czy nie mogłaby pani zrobić im mocnej kawy?

- Zaraz zrobię - obiecała z uśmiechem. - Sama im zaniosę.

Poranną ciszę zmącił dźwięk klaksonu.

- Przyjechali moi ludzie - rzucił kobiecie w formie wyjaśnienia, naciskając przycisk.

Samochód wjechał na podwórze. Skarbek podszedł do wozu. Dwóch funkcjonariuszy - jeden z psem, drugi z walizką śledczą - zameldowało swoje przybycie.

- Chodźcie ze mną. - Skarbek poprowadził ich w głąb ogrodu. - Widzicie te odciski stóp na grządce? Trzeba spróbować, czy pies pójdzie tym tropem, no i zrobić gipsowe odlewy. Tylko nie zniszczcie śladów - zwrócił się do przewodnika psa.

Kapral z psem podszedł do wskazanego mu miejsca. Pies chwilę węszył, po czym pociągnął przewodnika w kierunku furtki na tyłach ogrodu, od strony Wisły. Po otwarciu furtki pies biegł dalej, nie odrywając nosa od ziemi. Dotarł do szosy i tu stracił ślad.

- Zróbcie zaraz protokół i szkic tej drogi - polecił przewodnikowi. - Czy pies potrafi iść pod prąd, w stronę, z której przyszedł ten człowiek? - spytał.

- Możemy spróbować, panie kapitanie.

Zawrócili do grządki. Technik robił właśnie odlew gipsowy jednego ze śladów.

- Próbujcie - polecił Skarbek.

Przewodnik naprowadził psa nosem na odcisk stopy. Pies dwukrotnie ruszał w tę samą stronę. Za każdym razem przewodnik zatrzymywał go słowem „wróć”. Dopiero za trzecim razem udało się. Pies ruszył w przeciwnym kierunku, doprowadził do drzwi garażu, jednak w środku znów stracił orientację. Dalsze próby nie dały rezultatu.

- Dziękuję wam - powiedział Skarbek. - Zróbcie protokół i szkic, potem możecie wracać do komendy. - Odwrócił się dostrzegłszy Pustakową dźwigającą dzbanek z kawą i jakieś kanapki. Ruszył przodem, otwierając przed nią drzwi do stołowego. - Niech pani tu Postawi - zaproponował - a ja poproszę moich chłopców. Serdecznie dziękuję w ich imieniu.

Technik i fotograf właśnie zeszli z góry, aby dokonać oględzin parteru.

- Przerwijcie na chwilę robotę - zarządził Skarbek. - Pani Kazimiera Pustakowa zrobiła gorącej kawy. Jest i coś na ząb.

- Matka nie byłaby lepsza - rozczulił się fotograf. Nie wiadomo, czy chodziło mu o troskliwość pani Kazimieri, czy o inicjatywę Skarbka.

Po zjedzeniu śniadania przygotowanego przez Pustakową w funkcjonariuszy wstąpiła świeża energia. Skarbek sprowadził ich na dół.

- Obejrzyjcie dokładnie łazienkę, a zwłaszcza okienko - powiedział i z powrotem wrócił na górę. Miał niejasne wrażenie, że coś mu jeszcze umknęło. Coś ważnego.

Wyszedł z domu i obchodząc go dokoła, oglądał dokładnie każdy centymetr ziemi. Na trawniku pod tarasem zatrzymał się. Wydało mu się, że coś błysnęło. Tak. Nie omylił się. Wezwał fotografa. Po zrobieniu zdjęcia Skarbek podniósł to „coś”. Dewizka czy breloczek, chyba złoty - zastanawiał się oglądając sześć dziesięciocentymetrowych łańcuszków spiętych poprzecznym zaciskiem.

- Wpiszcie do protokołu z uwzględnieniem miejsca i czasu - podał znaleziony przedmiot fotografowi.

Dalszy spacer nie przyniósł już żadnych rewelacji. Kapitan wrócił do willi. Funkcjonariusze schodzili się informując, że zakończyli pracę.

- Włącz domofon - Skarbek zwrócił się do technika. - Pójdę pożegnać się z gospodarzem i jedziemy. - Po chwili siedział już w samochodzie.

- Do domu czy do komendy? - zapytał kierowca.

- Do komendy.

W piętnaście minut później Skarbek wprowadził ludzi do swojego gabinetu.

- Zostawcie tę całą „zdobycz” u mnie w szafie i idźcie do domu.



Sam usiadł za biurkiem, napisał notatkę, pismo do prokuratury, pismo do Zakładu Kryminalistyki, do pracowni broni i do Zakładu Medycyny Sądowej. Zameldował się jeszcze u szeffa. Krótko zrelacjonował wstępne ustalenia.

- W porządku - pułkownik Walewicz zaakceptował decyzję Skarbka. - Jedź teraz do domu, wyśpij się.

Skorzystał skwapliwie z propozycji. Padał ze zmęczenia.

## *Rozdział 7*

**P**rzeciągly dzwonek obudził Skarbka.

- Słucham - rzucił w słuchawkę zaspanym głosem.

- Tu mówi Wiktor Kościanko - usłyszał. - Właśnie przed chwilą przyjechały matka i siostra Irminy. Są u mnie.

Skarbak natychmiast oprzytomniał.

- Proszę powiedzieć paniom, że zaraz przyślę po nie samochód.

- Ja sam mogę je odwieźć, proszę tylko powiedzieć dokąd.

- Do komendy. Będę czekał za pół godziny. - Skarbak wykręcił numer oficera dyżurnego. - Powiedz wartownikowi, że przyjadą dwie panie Adamskie, przywiezie je Wiktor Kościanko. Wpuścić je do poczekalni. Przyślij po mnie wóz...

Po dwudziestu minutach był już na miejscu. Kiedy wysiadał z radiowozu, przed komendę podjechał Wiktor Kościanko.

- Czy mam zaczekać na panie? - spytał Skarbka.

- Czy panie po rozmowie ze mną wracają z panem Kościanko? - zwrócił się do kobiet.

- Nie wiemy. Nie mamy się gdzie zatrzymać - oświadczyła starsza pani.

- Mogą panie przenocować u mnie, miejsca jest dosyć - zaproponował Kościanko.

Skarbek spojrział pytająco na obie kobiety.

- Chętnie skorzystamy z gościny, zwłaszcza że chciałam jeszcze pomówić z panem o Irminie - odpowiedziała starsza.

- W takim razie proszę, niech pan zaczeka - zdecydował Skarbek. - To potrwa z godzinę, może półtorej.

- Wobec tego przyjadę za półtorej godziny - Kościanko skłonił się i wsiadł do swego porsche'a.

Skarbek wprowadził obie kobiety do gabinetu. Starsza mogła mieć około czterdziestu pięciu lat. W młodości musiała być nie lada pięknoscią - pomyślał Skarbek. - Jeszcze teraz jest bardzo ładna. Młodsza, chyba siedemnastolatka, uderzająco podobna do Irminy, urzekła wdziękiem i urodą.

- Chciałbym pomówić z każdą z pań oddzielnie.

Zechce pani - zwrócił się do dziewczyny - poczekać chwilę w poczekalni.

Po wyjściu córki Adamska zasypała Skarbka pytaniami.

- Co się stało z Irminą? Otrzymałam od pana Kościanki depeszę z informacją, że Irmina nie żyje - na ostatnim słowie głos jej się załamał. - Obie z Małgosią natychmiast przyjechałyśmy, ale pan Kościanko nie chciał mi nic powiedzieć tłumacząc, że bez zgody panów nie ma prawa rozmawiać ze mną na ten temat. - Pani Adamska nie mogła opanować zdenerwowania.

Oparła się o poręcz fotela, sięgnęła do torebki po lekarstwo.

Skarbek był zły. Po to prosił Kościankę o zawiadomienie rodziny, by złagodzić wstrząs. Tymczasem ten playboy - jak wynikało ze słów Adamskiej - wykręcił się sianem. A może bał się, że go posądzimy o sugerowanie rodzinie jakichś wniosków? Nie ma rady - zdecydował - muszę sam jej powiedzieć. Tylko jak? Jak powiedzieć, że córka zginęła śmiercią gwałtowną?!

- Pani jest zmęczona - zaczął niezgrabnie - więc może zamówię kawę?

Nie czekając na odpowiedź wyszedł z gabinetu. Zajrzał do kolegi.

- Zrób trzy kawy - poprosił. Z ociąganiem wrócił do siebie. Nie można było dłużej odwlekać rozmowy.

Adamska popijała wodę ze szklanki stojącej przy karafce. Zapewne zażyła środek uspokajający - pomyślał.

- Wczoraj późnym wieczorem zostałem wezwany z domu do komendy - zaczął relację, opisując przebieg wydarzeń z dnia poprzedniego i nocy pod kątem podjętych przez niego działań.

Adamska, słuchając z napięciem jego opowiadania, nie zauważyła, że informację o znalezieniu zwłok Irminy zbył jednym zdaniem, że rozplynęła się ona w opisie innych okoliczności.

- Czy to znaczy, że Irmina została zamordowana? - spytała szeptem.

- Nie wiem. Jeszcze nie wiem. Chciałbym uzyskać od pani trochę informacji, pomogą mi do wyjaśnienia sprawy. Proszę mi powiedzieć wszystko, co pani wie o Irminie i jej znajomych. Potem zdecydujemy, co z tego może mieć znaczenie dla wyjaśnienia tej tragicznej śmierci.

Adamska skinęła głową.

- Mieszkaliśmy w Miechowie - zaczęła. - Mąż był lekarzem. Zmarł przed dziesięcioma laty. Zostałam sama z córkami. Irmina była zawsze bardzo żywa, wprost rozpierała ją energia i radość życia. Kłopotów z nią nie miałam, uczyła się dobrze. Po ojcu odziedziczyła wszechstronne uzdolnienia. Jeszcze w szkole prowadziła kółko dramatyczne, jednocześnie interesowała się sportem. Zwłaszcza pasjonowało ją strzelectwo. Po maturze zdała do szkoły teatralnej i po jej ukończeniu rozpoczęła pracę w warszawskim teatrze. Mieszkała w jakimś wynajętym pokoiku. Niewiele wówczas zarabiała, nie stać jej było na luksusy, a ja nie mogłam jej wydatnie pomóc. Dwa lata temu napisała, że zmieniła mieszkanie na komfortowe i że jest szczęśliwa. Dziwi

mnie tylko jedno. Zawsze była wobec mnie szczerą, niczego nie ukrywała. Jednak przez ostatnie dwa lata tak lawirowała, że ani razu nie byłam w jej nowym lokum. Dopiero dzisiaj. Po jej śmierci.

Kiedy przyjeżdżałam do Warszawy, tak mi organizowała czas, że nigdy nie zdążyłam pojechać do tego domu. Wiedziałam od niej, że jest zakochana w starszym mężczyźnie, że on jest żonaty, ale z żoną nie żyje. Nie wiedziałam, że zamieszkała właśnie u nich. Irmina była dorosła i samodzielna. Trudno mi było wnikać w jej sprawy osobiste i kontrolować ją. Sądziłam, że w sprawach serca potrafi być rozważna. Zawsze kręciło się koło niej wielu mężczyzn. Nie traktowała ich poważnie. Były to towarzyskie kontakty i koleżeńskie przyjaźnie. Wiele razy mówiła, że kocha swobodę i chce być wolna. Nie przypuszczałam, że potrafi żyć w takim układzie. Jak pan myśli, czy mogła ją zamordować żona tego mężczyzny? - spytała nieoczekiwanie.

- Nie mam podstaw do wysuwania takich wniosków - odparł Skarbek. - Niech mi pani zaufa, zrobię wszystko, żeby tę sprawę wyjaśnić.

- Wierzę panu - oświadczyła Adamska. - Znam się na ludziach. A co z pogrzebem? - spytała. - Kiedy będę mogła córkę pochować? Chciałabym przewieźć ją do Miechowa. Mamy tam rodzinny grobowiec.

- Za jakieś dwa dni. Musimy...

- Rozumiem. Sekcja zwłok. Jestem wdową po lekarzu. Wiem, że to konieczne.

- Mam do pani prośbę. - Skarbek szukał odpowiednich słów. - Będą panie nocowały w domu państwa Kościanków. Bardzo proszę o dyskrecję. Myślę, że mnie pani rozumie?

- Może pan być spokojny. W tej sytuacji niechętnie tam jadę. Jeśli dowiem się czegoś od nich, przekażę panu.

- Pozwoli pani, że pomówię jeszcze chwilę z Małgosią, postaram się, żeby to nie trwało długo.

Skarbek odprowadził do poczekalni matkę Irminy i poprosił do siebie Małgorzatę Adamską.

- Pani Małgosiu - zaczął - jest pani osobą dorosłą i może mi pani pomóc. Prowadzę śledztwo, żeby wyjaśnić przyczyny tragicznej śmierci pani siostry. Proszę mi powiedzieć, co wiedziała pani o Irminie i jej znajomych.

- Wiedziałam tyle, ile było w listach Irminy. Pół roku temu, będąc w Warszawie, poznałam pana Wiktora. Przedstawiła mi go Irmina. Byliśmy razem na obiedzie w „Bristolu”. Potem pojechaliśmy razem do Miechowa. Rozmawialiśmy na jego temat. Uważałam, że ten pan Wiktor jest dla niej za stary. Odpowiedziała, że jestem jeszcze dzieckiem i wielu rzeczy nie rozumiem. „Życzę ci - dodała - żeby i ciebie pokochał taki mężczyzna.” Przed tygodniem byłam w Warszawie, widziałam się z Irminą. Poszłyśmy do cukierni. Prosiłam, żeby mi wyjaśniła, co miała wtedy na myśli mówiąc, że jeszcze wielu rzeczy nie rozumiem. Nurtowało mnie to. Wie pan, taka dziewczęca ciekawość. Irmina wykręciła się od odpowiedzi. Miałam wrażenie, że chyba coś się między nimi popsulo. Nieoczekiwanie poprosiła, by nic nie mówić mamie. Nie wiem, o co jej chodziło. Wspominała o jakichś perypetiach w teatrze, ale tak jakoś mgliście. Niekonkretnie. Odprowadzając mnie na dworzec, dzwoniła z ulicznego automatu do jakiegoś pana Roberta, ale nie zastała go. Na dworcu pożegnała się ze mną bardzo serdecznie, czulej niż zwykle. Musiała mieć jakieś kłopoty. I nagle ta depesza. Czy sądzi pan, że Irmina popełniła samobójstwo? - spytała.

- Niestety, nie potrafię jeszcze na to odpowiedzieć. Dziękuję pani za rozmowę - wstał z fotela. - Pan Kościanko już od piętnastu minut czeka na panie.

Przed budynkiem stał zaparkowany porsche, a koło wozu przechadzał się Wiktor Kościanko.

- Sądzę, że pan zaopiekuje się gośćmi - zwrócił się do niego Skarbek.

- Naturalnie - Kościanko otworzył drzwiczki samochodu i zapraszającym gestem wskazał obu paniom miejsce na tylnym siedzeniu.

Skarbek zawrócił do gmachu po płaszcz.

- Daj mi samochód - zwrócił się do oficera dyżurnego - pojedę do domu. Na szczęście nie mam dziś już nic pilnego.

## *Rozdział 8*

**Z** rana Skarbek zabrał się do wertowania protokołu z oględzin pokoju Irminy. W zasadzie dokument ten powinien być sporządzony przy jego udziale, ale kiedy dostawał do pomocy technika śledczego Władysława Konopę i fotografa Ryszarda Grochowiaka, im powierzał to zadanie. Obaj oficerowie byli znakomicie wyszkoleni, bardzo dokładni w pracy, a ponadto mieli duże, wieloletnie doświadczenie. Ilekroć robili oględziny, nigdy niczego nie przeoczyli, każdy ślad był należycie zabezpieczony. Toteż ucieszył się, gdy mu ich obu przydzielono do sprawy Irminy Adamskiej. Dzięki temu on sam mógł spokojnie przeprowadzać rozmowy z mieszkańcami willi. Teraz zapoznawał się z wynikami ich pracy. Zdjęcia nie były jeszcze gotowe, ale obszerny protokół oględzin i precyzyjnie wykonane szkice na razie mu wystarczały.

Przeczytał szczegółowy opis powierzchni karabinka, podanej zabiegom daktyloskopijnym. Zdumiewające. Żadnych śladów linii papilarnych. Jeśli założyć, że Irmina popełniła samobójstwo, to musiała przecież zostawić odciski palców. Nie miała na rękach rękawiczek. Trudno sobie wyobrazić, by po oddaniu prawdopodobnie śmiertelnego strzału do siebie samej - wycierała te ślady. Ciekawe, z jakiej odległości padł strzał - pomyślał. W dyspozycjach dla Zakładu Medycyny Sadowej i pracowni broni polecił zbadać te okoliczności.

W protokole natrafił na informację o znalezieniu w kieszeni niebieskiej sportowej spódnicy Irminy kwitu wystawionego na jej nazwisko przez Biuro Ogłoszeń „Życia Warszawy”. Kwit był datowany sprzed czterech dni. Wyjaśnić, co to za ogłoszenie - zanotował na kartce.

Zabezpieczono także - jak wynikało z protokołu - listy od matki, siostry, kilka fotografii z teatru, dowód osobisty, pozwolenie na posiadanie broni, książeczkę oszczędnościową z wkładem dwóch tysięcy złotych, tysiąc dwieście czterdzieści trzy złote gotówką. Wśród skromnej raczej biżuterii, najcenniejszy wydawał się medalion z fotografią Wiktora Kościanki, znaleziony w zaciśniętej ręce denatki. Skarbek oglądał go dokładnie. Teraz sięgnął do koperty z breloczkiem-dewizką. Delikatnym zameczkiem połączył oba złote przedmioty. Jedno do drugiego pasowało. Na wystającej końcówce breloczka dostrzegł wyraźnie maleńką ryse, sięgającą górnej części medalionu. Breloczek i medalion stanowiły całość - nie miał wątpliwości. Ale jak to się stało, że medalion tkwił w dłoni zmarłej dziewczyny, a breloczek leżał na trawniku pod tarasem? Raz jeszcze obejrzał medalion. Otworzył go. Zdjęcie Wiktora Kościanki musiało być zrobione przed wieloma laty. Wyglądał na nim znacznie młodziej.

Z protokołu oględzin dowiedział się także, że na balustradzie tarasu znaleziono włókno jakiejś tkaniny. Na progu wejścia na taras zabezpieczono jakieś pyłki. W pokoju - niedopalki papierosów, zapalki, paczkę z papierosami, a na podstawie lichtarza, stojącego obok tapczanu, na którym leżały zwłoki, widniał zakrzepły stearynowy zaciek przedłużający się aż na stolik, ale odłamany w końcowej części. To by dowodziło, że obok lichtarza leżało coś jeszcze, na co spłynęła rozgrzana stearyna. Później to coś zostało usunięte i wtedy kawałek sopła został odłamany. Kiedy Irmina zapaliła tę świecę, kiedy powstał naciek?! Zanotował, że jest to okoliczność do wyjaśnienia.

Dziwne wydawało się, że w pokoju nie znaleziono kalendarzyka czy notatnika z telefonami. Trudno sobie wyobrazić, aby aktorka, obracająca się zapewne w dużym kręgu znajomych, nie miała u siebie spisu telefonów czy adresów. I kolejne zaskoczenie: wykaz garderoby. Otóż niezbyt zasobna w gotówkę kobieta posiadała bardzo kosztowną kolekcję strojów. Chyba wyposażył ją tak Kościanko - pomyślał Skarbek. - Te wszystkie fatalaszki to niezła fortunka. Zainteresował go także opis ołędzin okienka łazienki, znajdującej się przy winiarni w podziemiu. Na kamiennym parapecie okienka była widoczna gruba rysa, powstała jakby przez potarcie czymś miękkim, na przykład grubą czarną gumą. Rysę utrwalono na szkicu i zdjęciach, a ślad zeskrobano częściowo z podłożem. Pyły i okruszyny zabezpieczono w szklanym słoiku. Obejrzał jeszcze szkice, obrazujące rozkład willi, połączenia z pokojem Irminy. Znakomita robota - pochwalił w myśli swoich oficerów.

Odłożył protokół, wyciągnął czysty arkusik papieru i zaczął pisać. Lista zagadnień do wyjaśnienia, ekspertyzy, pytania dla oficera, który będzie dokonywał formalnych przesłuchań. Trzeba koniecznie pogrzebać trochę w życiorysach mieszkańców willi - pomyślał. Może ich przeszłość rzuci jakieś światło na sprawę, może wyjdą na jaw jakieś nowe okoliczności... Informacje zebrane w czasie nocnych rozmów w domu Kościanków jeszcze niczego nie wyjaśniały. Chaotyczne, powierzchowne, kto wie czy prawdziwe - mogły prowadzić do fałszywych wniosków. Skarbek postanowił zacząć od spenetrowania otoczenia Irminy w teatrze i w klubie sportowym. Przedtem jednak zameldował się u swego zwierzchnika.

Pułkownik Walewicz przyjął go natychmiast. Wiedział, że jeśli Skarbek zwraca się do niego, to widocznie potrzebuje pomocy w uzyskaniu informacji dotyczących osób z wyższych



szczebli. W innych przypadkach kapitan umiał radzić sobie sam.

- Mam już gotowy plan dalszych czynności w tej sprawie. Wersja, że to samobójstwo, wydaje się mocno wątpliwa.

- Za pół godziny muszę jechać na konferencję do ministerstwa. Wał szybko, o co ci chodzi. Ustalenia zreferujesz innym razem. - Zygmunt Walewicz sięgnął po kartkę czystego papieru.

- Potrzebuję informacji o przeszłości Wiktora Kościanki. Wiem już, że wojnę przeżył za granicą. Chyba w Ameryce Południowej. Po powrocie do kraju zajmował jakieś eksponowane stanowisko w Urzędzie Repatriacyjnym. W tym okresie był ranny. Dokonano na niego napadu. Obecnie jest na rencie, ale żyje na bardzo wysokiej stopie. Chciałbym dowiedzieć się o nim możliwie jak najwięcej, znać nazwiska jego znajomych, współpracowników z tamtych czasów, dotrzeć do nich.

Walewicz słuchał notując.

- Dobra. Za dzień, dwa przekażę ci te informacje. Na razie rób swoje.

## *Rozdział 9*

Skarbek polecił kierowcy zatrzymać się nie przed teatrem, a na sąsiedniej ulicy. Nie chciał tu podjeżdżać milicyjnym wozem. W drzwiach stał portier z sumiastym wąsem, w szamerowanej liberii ozdobionej złotymi guzikami.

- Ja do pani Irminy Adamskiej. - Był ciekaw, czy w teatrze wiedzą już o jej śmierci.

- Pani Adamskiej nie ma. Od kilku dni.

- Czy jest jeszcze ktoś z kierownictwa teatru?

- Są wszyscy. Teraz mamy próbę generalną. Z kim pan chce

rozmawiać? - w głosie portiera nutka ciekawości.

- Niech mi pan doradzi, z kim najlepiej pomówić w sprawie pani Irminy Adamskiej.

- Zależy, o czym pan chce rozmawiać i jaka to jest sprawa. Jest pan jej krewnym, przyjacielem? Pani Adamska nie występuje już od dawna. W nowym programie też nie została obsadzona.

- Nie rozumiem. Dlaczego? Przecież jest zaangażowana w tym teatrze...

- Kim pan właściwie jest? - Portier nie zamierzał podejmować dalszej rozmowy bez uzyskania tej informacji.

- Jestem z milicji.

- Czy coś się stało, panie pułkowniku? Irmina to takie dobre dziecko. Tyle że niektórzy podkładali jej świnie.

- Jestem kapitanem, a nie pułkownikiem - rzucił krótko. - Może mi pan wierzyć, ja także bardzo cenię panią Irminę.

- Nie ma pan papierosa? - Portier stał się przyjacielski.

Skarbek sam nie palił, ale nosił ze sobą papierosy, na takie właśnie okazje. Wyciągnął paczkę carmenów.

- To dłuższa sprawa - mruknął portier zapalając papierosa.

- Ale niech pan pamięta, dyrektor nie lubi, jak się coś wynosi poza teatr. Nie chciałbym, żeby wiedział o naszej rozmowie.

- Niech pan będzie spokojny, panie - Skarbek zawiesił głos.

- Nazywam się Kopytowicz, Wincenty Kopytowicz.

- A więc, panie Wincenty, obiecuję dochować tajemnicy.

- Powiem, co wiem. Panna Irmina przyszła do nas trzy lata temu. Reżyser mówił: „bomba!” Kręcił się koło niej, obsadzał w pierwszoplanowych rolach. Ona jeszcze nie wiedziała, że artystka musi najpierw zdać egzamin na kanapie, a dopiero

potem na scenie. Trzymała go na odległość. Nie zdołał jej omo-  
tać. Tak było przez dłuższy czas. Mniej więcej półtora roku  
temu Irminę zaczął przywozić do teatru limuzyną jakiś starszy  
facet. Często też bywał na przedstawieniach. Wtedy właśnie  
reżyser zmienił się. Przestał adorować Adamską, za to ciągle  
wyrządzał jej jakieś przykrości. Niedawno, chyba przed dwoma  
miesiącami, powiedział, że się na niej zawiódł. Odebrał jej rolę  
i dał jakiejś nowej. Ta rozumiała, którą prowadzi droga do  
kariery. Od tej pory Irmina nie występuje. Próbowала rozmawiać  
z dyrektorem, z niektórymi aktorami, ale nic nie wskóra-  
ła. Sam słyszałem, jak reżyser powiedział dyrektorowi: „Adamska  
albo ja”. Musimy kończyć - mruknął nieoczekiwanie -  
wychodzą z próby. Ten wysoki, łyśawy to dyrektor, a ten czar-  
ny w swetrze, reżyser - rzucił na odchodnym Kopytowicz.

Skarbek porozmawiał więc z obydwojma: z dyrektorem i re-  
żyserem. Z każdym oddzielnie. Żaden nie wiedział, że Irmina  
nie żyje. Dyrektor mówił o niej dobrze, pochlebnie. Podkreślał  
jednak, że w teatrze zespół musi być zgrany i w zgodzie z reży-  
serem. Reżyser ocenił, że Adamska się nie rozwija. Nie chciał z  
nią pracować, więc... - urwał - więc mając na względzie przede  
wszystkim dobro teatru, ustąpiłem reżyserowi.

Wiadomość o śmierci Irminy zrobiła na nim wstrząsające  
wrażenie.

- Była pełna uroku i radości życia. Nie sądziłem, że przez te  
perypetie u nas może popełnić samobójstwo. Gdybym mógł  
przewidzieć... To straszne!

Rozmowa z reżyserem przebiegała nieco inaczej. Spostrze-  
żenia portiera, Wincentego Kopytowicza, okazały się trafne.  
Ten niby obiektywny ton: „świetnie się zapowiadała jako ak-  
torka, później jednak zaczęła się zaniedbywać” - miał przesło-  
nić prawdę.

- Związała się z jakimś starszym człowiekiem i przestała

dbać o teatr. Bałem się, że nawali. Musiałem z niej zrezygnować.

Kiedy mówił o związku Irminy ze „starszym człowiekiem”, z jego słów przebijał mimo woli ton emocjonalny. Zazdrość, urażona ambicja? Wiadomość o śmierci Irminy spadła na reżysera jak grom. Poszarzał na twarzy, przez chwilę nie mógł z siebie wydusić słowa.

- Czy popełniła samobójstwo? - spytał.

- Niewykluczone - odparł Skarbek.

- To moja wina - głos mu się nagle załamał. - Nie dałem jej szansy. Ale czy mogłem przypuszczać...

Skarbek zostawił go w stanie kompletnego przygnębienia.

- Jedźmy do klubu - polecił kierowcy.

W klubie sportowym odszukał trenera sekcji strzeleckiej, młodego, przystojnego blondyna. Wygląda jak pozytywny bohater z westernu - pomyślał kapitan.

- Pan z milicji? - Trener nie był zdziwiony jego wizytą. - Czy macie już, panowie, jakieś informacje? Jak tak dalej, to niedługo wszystko nam rozkradną!

Było jasne, że trener łączy jego wizytę z dochodzeniem w sprawie kradzieży sprzętu: dwóch sztuk broni sportowej i amunicji.

- Ja nie w tej sprawie. Chciałem z panem pomówić o Irminie Adamskiej.

- O Irminie? - zdziwił się trener. - Nie wiem, co się z nią dzieje. Opuściła już trzy treningi. Dlaczego interesuje się nią milicja? Czyżby coś przeszkobiła? To do niej nie pasuje. A może w związku z takim starszym panem. Prowadzała się z nim. Musiał być niezłe nadziany, przywoził ją na trening porosechem. Mógłby być jej ojcem. Dziwiłem się, bo ta babka może mieć każdego, którego zechce.

- Kiedy była po raz ostatni w klubie? - zapytał.

- Z tydzień temu. Czy coś się stało? - zapytał z wyraźnym niepokojem w głosie.

- Czy widywał ją pan poza klubem?

Trener pokręcił głową przecząco:

- Niestety, nie. Chociaż, przyznaję, nie miałbym nic przeciwko temu. Dziewczyna klasa!

- Czy zna pan kogoś z kręgu jej znajomych?

- Nie. Nikogo tu nie przyprowadza, ani mi się zwierza. Po prostu przychodzi postrzelać. Panie kapitanie, czyżby coś się stało?

- Irmina Adamska nie przyjdzie już więcej na trening.

Trener był zdumiony:

- Ale dlaczego?

- Nie żyje. - Skarbek obserwował jego twarz.

- Co pan powiedział? Irmina nie żyje? To niemożliwe! -

Trener wstał i z powrotem opadł ciężko na krzesło. - Irmina... Była moim oczkiem w głowie, choć wiedziałem, że nigdy nie przysporzy mi sławy. Po prostu nie chciała brać udziału w zawodach. Strzelała tylko dla przyjemności. Mimo to trzymałem ją w sekcji i pozwalałem trenować. Co tu gadać, podobała mi się ta dziewczyna. Zdawałem sobie sprawę, że nie mam żadnej szansy i nawet nie próbowałem startować, ale jak przyszła na trening, uśmiechnęła się, jak załadowała cały magazynek w sam środek tarczy, to, niech mi pan wierzy, cieszyłem się jak dziecko. Ale co się stało, jakiś wypadek?

- Zginęła od kuli. - Skarbek popatrzył na oniemiałą twarz trenera.

- Od kuli? A więc ktoś ją zastrzelił!

- Dlaczego pan tak uważa?

- Proste. Nieszczęśliwy wypadek wykluczam. Z bronią umiała obchodzić się jak mało kto. A samobójstwo... Nie, taka dziewczyna jak ona nie byłaby do tego zdolna. No więc, jeżeli mówi pan, że zginęła od kuli, to musiał ją ktoś zastrzelić. Logiczne?

- Logiczne - potwierdził Skarbek, żegnając się z trenerem. - Niech ta rozmowa zostanie na razie między nami - poprosił. - Rozumie pan, dla dobra śledztwa.

- Tak, tak... Oczywiście - trener wciąż jeszcze nie mógł ochłonąć z wrażenia.

Kapitan postanowił teraz wyjaśnić sprawę ogłoszenia. W biurze ogłoszeń „Życia Warszawy” szybko odnaleziono interesujący go tekst. Był bardzo krótki: „Młoda aktorka pilnie wynajmie skromny pokój. Może być przy rodzinie”. A więc chciała się wyprowadzić od Kościanki - zamyślił się Skarbek.

## *Rozdział 10*

Po powrocie do komendy Skarbek zadzwonił do Zakładu Medycyny Sądowej i do Zakładu Kryminalistyki. Dowiedział się, że sekcja zwłok została już przeprowadzona i że wysłano do niego gońca z protokołem. Poinformowano go także, że badania chemiczne narządów otrzyma dopiero za kilka dni. Ekspertyza z Zakładu Kryminalistyki była już w drodze.

- Zanim przywiozą ekspertyzy, pójdę coś zjeść - powiedział do sekretarki.

Kiedy wrócił z bufetu zastał na biurku dwie duże, zalakowane koperty. Otworzył je. Według opinii lekarzy sądowych śmierć Irminy Adamskiej nastąpiła w wyniku przestrzelenia serca i wylewu wewnętrznego. Tor pocisku przebiegał od wlotu w okolicy dolnej mostkowej skośnie ku górze. Pocisk po przebiciu serca utkwił w kręgosłupie. Zdaniem lekarzy strzał został oddany z broni sportowej, z odległości czterdziestu do pięćdziesięciu centymetrów od wylotu lufy broni do otworu wlotowego.

Ekspertyza nadesłana z Zakładu Kryminalistyki potwierdziła, że z karabinka sportowego oddano strzał na kilkanaście godzin przed nadesłaniem go do badań. Z pozostałych egzemplarzy broni, a więc dubeltówki, sztucera i broni krótkiej - waltera, nie strzelano od dość dawna. Wskazuje na to stan smarów konserwujących wnętrza luf i zamków.

Pocisk wyjęty ze zwłok Irminy Adamskiej został wystrzelony z nadesłanego do badań karabinka sportowego.

Znalezione na balustradzie tarasu włókno okazało się strzępkiem wełnianej nitki. Pyły i okruszyny zabezpieczone w szklanym słoiku, to drobiny kamienistego kruszywa oraz pyły gumy. Gumy takiej używa się między innymi do produkcji podeszew obuwia. Badając niedopałki papierosów, udało się ustalić, że paliła je osoba o grupie krwi zero.

Skarbek znów zajął do protokołu sekcji zwłok. Irmina także miała grupę krwi zero. Eksperti potwierdzili też spostrzeżenia Skarbka, że breloczek i medalion stanowią jedną całość. No cóż, na razie bez rewelacji. Wszystkie te dokumenty potwierdzają tylko to, co już wiedziałem - skonstatował kapitan.

Wezwał technika kryminalistyki i fotografa.

- Pojedziecie jeszcze raz do willi Kościanki i dokonacie przeglądu wszystkich tkanin i garderoby, która się tam znajduje, oraz obuwia na gumowych podeszwach. Ze wszystkich wełnianych lub wełnopodobnych tkanin i ubrań w kolorze szarym pobierzcie włókienka do badań, ale tak, żeby nie uszkodzić tkanin. Następnie sfotografujcie przedmioty, z których próbki pobraliście i, jak zwykle, sporządźcie protokół. Ponadto musicie zabezpieczyć obuwie gumowe lub mające podeszwy z czarnej gumy. Jak już będziecie na miejscu, zadzwońcie do mnie, poproszę Wiktora Kościanko, by nie utrudniał wam pracy.

Po wyjściu funkcjonariuszy raz jeszcze przejrzał nadesłane ekspertyzy i protokoły oraz dostarczony przez fotografa album zdjęć z oględzin.

Jutro trzeba przesłuchać wszystkich mieszkańców willi. I najlepiej, jak się tym zajmie porucznik Stanisław Marczyński - zdecydował Skarbek. Wiedział, że jeżeli dostarczy Marczyńskiemu orientacyjny zestaw pytań, to on już potrafi wyciągnąć

z przesłuchiwanym wszystko, co może mieć znaczenie dla sprawy. Sobie pozostawił Annę Kościanko i Leona Cieślaka - najbliższych „sąsiadów” Irminy Adamskiej.

Zlecił sekretarce, aby wezwała na jutro świadków, i zamierzał wyjść, odwiedzić Beatę. Nie widział jej od niedzielnej wyprawy do Kampinosu. Obiecał wpaść do niej następnego dnia, ale sprawa Irminy Adamskiej tak go pochłonęła, że zapomniał o wszystkim. Beata była studentką czwartego roku prawa. Poznali się przypadkowo na szlaku turystycznym w Puszczy Kampinoskiej. Od tego czasu odbywali wspólne włości. Zaprzyjaźnili się.

W drzwiach zderzył się z pułkownikiem Walewiczem.

- Dobrze, że cię widzę. Właśnie wróciłem z ministerstwa. Wejdz do mnie. Jest coś dla ciebie.

- Masz intuicję. Rzeczywiście ten Kościanko to prawie święta krowa. Do dziś utrzymuje stosunki z różnymi ludźmi. Sądzę, że chyba nie będzie rozrabiał. W tych kręgach nie aprobują się bohaterów skandalu. A sprawa pachnie skandalem na kilometr. Kościanko po powrocie do kraju pracował w urzędzie do spraw repatriacji. Zmiany terytorialne i ludnościowe sprawiały, że zagadnienia związane z repatriacją były w owym czasie jednym z centralnych problemów. Wielu różnych cwaniaków uzbierało sobie wtedy niemałe fortunki. Ale cóż, w tych pierwszych powojennych latach nie było warunków ani czasu na sprawdzanie ludzi. Wystarczyła deklaracyjna lojalność, czasem poparcie jakiegoś dobrze ustawionego znajomka. Tak zaczynały się wielkie kariery, nie zawsze wielkich ludzi. W tamtym okresie pan dyrektor Kościanko załatwił wiele spraw: i tych ważnych, i tych korzystnych. Wśród jego interesantów byli ludzie wszelkiego autoramentu. Niektórzy chcieli pod pretekstem repatriacji uzyskać prawo tranzytu i emigracji. Innym, autentycznym repatriantom trzeba było pomóc w osiedleniu, urządzeniu się. Myślę, że i jedni, i drudzy postarali się



wywdzięczyć. W każdym razie faktem jest, że stan posiadania Kościanki zwiększył się wówczas wydatnie. Wiemy też, że ma „oszczędności” walutowe w bankach zagranicznych. Trudno dziś stwierdzić, jaką kwotę stanowią jego własne zasoby z okresu pobytu za granicą, a jaką - dowody wdzięczności. Obiecano mi dostarczyć bliższych informacji. Na razie pomów z sędzią Edwardem Karpowiczem, jest już na emeryturze. Mieszka gdzieś na Mokotowie. Sądził kiedyś jakąś sprawę dotyczącą zagrabienia dzieł sztuki. Kościanko był koronnym świadkiem. Może rozmowa z Karpowiczem nasunie ci jakiś pomysł.

No cóż, trzeba będzie odbyć tę wizytę. Może rzeczywiście trafię na jakiś ślad - myślał Skarbek jadąc do Beaty.

Kiedy naciskał dzwonek u jej drzwi, liczył, że nie zastanie dziewczyny w domu. Wówczas mógłby zostawić kartkę. Zawsze łatwiej tłumaczyć się na papierze, no i rumieńca wstydu nie widać. Ale nadzieja zawiodła. W drzwiach stała Beata.

- Myślałam, że już znalazłeś sobie inne towarzystwo - rzuciła pół żartem, pół serio.

- Byłem taki zaharowany. Gniewasz się? - stał z pokorną miną.

- Wejdz. Nie gniewam się. Na dowód dostaniesz herbaty i ciastko.

Z uczuciem błęgiego odprężenia Skarbek zagłębił się w przepaścistym fotelu.

## *Rozdział 11*

**P**rzyjechał do komendy trochę wcześniej niż zwykle. Na ósmą kazał wezwać Annę Kościanko, a na dziewiątą Leona Cieślaka. Chciał przedtem mieć trochę czasu na przygotowanie się do tych przesłuchań. Punktualnie o godzinie ósmej zapukało. W drzwiach stała pani Kościanko w jasnym sportowym

kostiumiku, starannie uczesana i nieco przesadnie umalowana. Przeholowała z tym makijażem - pomyślał. Nie lubił nadmier- nie umalowanych kobiet. - I jeszcze ta spódniczka mini! W jej wieku? Zawsze w pełnej gotowości - pomyślał nie bez złośliwo- ści.

- Proszę, niech pani usiądzie. Poprzednia nasza rozmowa miała charakter informacyjny, muszę sporządzić formalny protokół. Rozumie pani, przepisy.

- Przyszłam z przyjemnością - rzekła przymilnie. - Bałam się tylko, że ktoś inny może ze mną rozmawiać. A zależało mi, żeby to był pan.

- Czy przypomniała pani sobie jakiś szczegół?

- Pan znów o sprawie. A ja po prostu chciałam pana zoba- czyć. Taki kobiecy kaprys. Czyżbym sprawiła panu przykrość?

- Pani Anno, nie mówmy na razie o przykrościach czy przy- jemnościach. Prowadzę śledztwo w sprawie Irminy Adamskiej i muszę wykonywać swoje obowiązki.

- No więc dobrze. Załatwmy te służbowe sprawy, a potem umówi się - pan ze mną na kawę. Może pan nawet sam ją zapa- rzyć! - Pani Anna ruszyła do szturmu.

Skarbek nie podjął tematu kawy. Nie chciał urazić Ko- ściankowej, przynajmniej przed zakończeniem przesłuchania.

- A zatem przystąpmy najpierw do wykonania obowiązków służbowych - powiedział, nie wykluczając możliwości skorzy- stania z propozycji.

Anna Kościanko uśmiechnęła się. Była zadowolona.

Sprawdza swoją atrakcyjność - pomyślał. - Nie rozumie, że owa agresywna inicjatywa dowodzi właśnie, że z tą atrakcyjno- ścią nie jest najlepiej. Poprosił o dowód osobisty, żeby spisać personalia.

Podać mu go niechętnie. Z daty urodzenia wynikało, że skończyła czterdzieści sześć lat. Prawie dwa razy starsza od

Irminy - stwierdził Skarbek, ale głośno powiedział:

- Byłem pewien, że pani nie ma więcej niż trzydzieści.

- Jest pan miły. Naprawdę tak pan myślał? - obdarzyła Skarbka powłóczytym spojrzeniem.

- Tak. Szczerze mówiąc, nawet się dziwiłem, że pani mąż, mając taką żonę... - Skarbek urwał. Tylko ten sposób prowadzenia rozmowy mógł skłonić ją do szczerości.

- Nie wiem, czym go ona omotała. Nic nadzwyczajnego. Ale Wiktor lubi zmiany. Mogę to zrozumieć, sama nie znoszę monotonii.

- Pani Anno - głos kapitana zmiękł - nie była pani ze mną całkiem szczerą podczas naszej pierwszej rozmowy. O czymś pani mi nie powiedziała. - Był to strzał w ciemno.

Anna Kościanko rzuciła na Skarbka kuszące spojrzenie.

- Istotnie zataiłam pewien szczegół. Myślę jednak, że bez znaczenia dla sprawy. Otóż w pewnym momencie, leżąc w łóżku, sięgnęłam po papierosa. Okazało się, że nie mam zapalek. Poszłam więc po nie do ojca, ale drzwi na taras od jego pokoju były zamknięte. Wówczas zajrzałam do Irminy. Sądziłam, że nie ma jej w domu. Tymczasem Irmina leżała na tapczanie. Obok niej karabinek. Nie było w tym nic dziwnego. Była zwariowana na punkcie broni. Myślałam, że zasnęła. Na stoliku paliła się świeca. Zapaliłam od niej papierosa i zdmuchnęłam ją. Zabrałam jeszcze kilka zapalek na zapas i wróciłam do siebie. W jakieś dwadzieścia minut później ojciec zawiadomił mnie, że Irmina nie żyje. To jest cała prawda.

- Czy nie zauważyła pani śladów krwi na jej bieliznie? Nie dostrzegła pani, że coś się jej stało? - spytał z niedowierzaniem.

- Nic. Miała zamknięte oczy, więc sądziłam, że śpi.

- Czy nic nie leżało na stoliku obok lichterza?  
- Pudełko z zapalkami. Już mówiłam. Wyjęłam kilka sztuk i wróciłam do swego pokoju.

Skarbek podał Annie protokół do przeczytania i podpisania.

- Dziękuję pani, to na dzisiaj wszystko - zakończył rozmowę.

- A co z naszą kawą?

- Zadzwoń do pani, jeśli tylko mi czas pozwoli, zgoda?

Pani Kościanko opuściła jego gabinet z miną wyraźnie zawiedzioną.

Kapitan zajrzał do poczekalni. Leon Cieślik już czekał. Zaprosił go do siebie.

- Chciałbym prosić - zaczął - o opisanie wydarzeń tamtego dnia. Interesują mnie wszystkie szczegóły, nawet pozornie nieistotne drobiazgi.

Cieślik poruszył się niespokojnie na krześle.

- Ależ naturalnie. Nie mam nic do ukrywania.

Mówił długo, ale nie wniósł do swego zeznania nic ponad to, co Skarbek usłyszał już podczas pierwszej z nim rozmowy.

- Kiedy zamieszkał pan w sąsiednim pokoju?

Pytanie dotyczyło okoliczności całkowicie pominiętej przez Cieślika. Cieślik zakręcił się na krześle, poczerwieniał na twarzy.

- Niedawno, jakieś trzy tygodnie temu.

- Z czyjej inicjatywy przeniósł się pan na górę? - Z tonu Skarbka wynikało, że pyta dla formy, że zna odpowiedź.

- Prosił mnie Wiktor.- Cieślik robił wrażenie zakłopotanego. - Chciał tej zamiany. Nie wyjaśniał dlaczego. Sądziłem, że pomiędzy nim a Irminą coś się popsło, że romans się kończy i Irmina wreszcie opuści nasz dom. Sytuacja była przecież nie-normalna.

- Co pan zobaczył po wejściu do pokoju Irminy?

- Leżała odkryta. Obok niej karabinek. Myślałem, że śpi.

Dopiero kiedy podszedłem bliżej, dostrzegłem stróżkę krwi.

- Co pan zrobił wówczas z karabinkiem? - ostro zapytał Skarbek.

Cieślik poczerwieniał.

- Wziąłem go do ręki. Powąchałem wylot lufy, poczułem proch i zrozumiałem, że z karabinka strzelano. Odłożyłem broń na miejsce.

- Czy pan był wówczas w rękawiczkach? - w głosie Skarbka zabrzmiała ironia.

- Nie. Wiem, o co panu chodzi. Zanim odłożyłem go na miejsce, wytarłem go dokładnie brzegiem pledu. Nie chciałem, aby pozostały na nim odciski moich palców.

- Rzeczywiście? A może bał się pan, że na karabinku znajdziemy także odciski jeszcze kogoś z domowników? - Skarbek nacierał coraz pewniej.

- Bałem się, iż mógł to zrobić Wiktor.

- Co znajdowało się na stoliku obok tapczanu Irminy?!

Cieślik rozluźnił krawat. Milczał.

- Powtarzam pytanie. Co leżało na stoliku obok tapczanu?! Pańskie milczenie w niczym nie zmieni sytuacji. - Głos Skarbka stwardniał.

- Był tam list napisany przez Irminę. Ukryłem go. Z treści wynikało, że popełniła samobójstwo z powodu Wiktora.

- Gdzie pan go ukrył?

- W serwantce, w pokoju stołowym.

Po skończeniu protokołu i podpisaniu go przez Cieślika, Skarbek zaproponował:

- Odwiozę pana, odda mi pan ten list, dobrze?

- Dobrze - zgodził się potulnie Cieślik.

Gdy przyjechali na miejsce, Cieślik za szczeliny w serwantce wyciągnął złożoną podwójnie kartkę papieru. Podał Skarbkowi. Ten chwycił ją przez chusteczkę za rozek. Kartka była zalana zakrzepłą stearyną.

Rozłożył ją. Tekst został napisany ołówkiem. Na kartce nie było daty. „Mam dość, to nie może dłużej trwać. Żegnaj. Irmina”. Ani jednego słowa więcej. Tak jak gdyby nie mogło być wątpliwości, dla kogo jest przeznaczona.

Skarbek sporządził protokół odebrania listu i wrócił do komendy.

Dzisiejsze przesłuchania rzuciły nowe światło na sprawę - pomyślał.

## *Rozdział 12*

Skarbek zameldował się u pułkownika Walewicza.

- Chciałem przedyskutować dotychczasowe ustalenia. Wiemy i dużo, i zarazem nic. Myślę, że wymiana poglądów rozjaśni mi trochę w głowie - tłumaczył.

- Referuj - pułkownik Walewicz zadzwonił po sekretarkę. - Niech nam pani poda dwie kawy.

- Coś mi się nie zgadza w tej sprawie. Dotychczasowe ustalenia w równym stopniu mogą świadczyć o samobójstwie jak i wykluczać taką ewentualność. Gdyby założyć teoretycznie zabójstwo i zacząć szukać motywu, to okaże się, że motyw miało kilka osób. Zacznijmy od Wiktora Kościanki. Chyba kochał Irminę. A jeżeli tak, jeżeli, na przykład, zaczął podejrzewać ją, słusznie czy niesłusznie, o zdradę, mógł działać powodowany zazdrością. Był starszy od denatki o dwadzieścia kilka lat. Musiał sobie zdawać sprawę, że młody mężczyzna, jeśli zdoła zainteresować Irminę, odbierze mu ją z łatwością. Kościanko jest zaborczy i pewny siebie, zazdrość mogłaby go popchnąć do działań ostatecznych. Powiem więcej. Mógł je zaplanować i w tym celu zamienić się pokojami z teściem.

W krytycznym momencie Pustakowie byli nieobecni. Anna przebywała w swoim pokoju. Matka Wiktora spała u siebie.

Cieślik spacerował w ogrodzie. Wiktor mógł zatem niepostrzeżenie wejść do pokoju Irminy, zastrzelić ją i wrócić do siebie, czekając cierpliwie, aż ktoś inny odkryje zwłoki i jego o tym powiadomi. Dziwne, że zużył blisko godzinę na dojazd do komendy, podczas gdy tę samą drogę przejechaliśmy z powrotem w czternaście minut. Tę różnicę w czasie przejazdu Kościanko tłumaczy zsunięciem się końcówki kabla przy akumulatorze i długotrwałym poszukiwaniem przyczyny zgaśnięcia silnika. Kazałem ekspertom zbadać jego samochód. Otóż końcówki kabli nałożone na akumulator zabezpieczone są towotem. Według ekspertów smar ten co najmniej od kilku miesięcy nie był zmieniany ani ruszany, a więc historię z kablem wymyślił Kościanko, aby rozliczyć się z czasu. Nie bardzo też wierzę w uszkodzony telefon. Tego dnia nie było wiatru, burzy, ani deszczu, które powodują najczęściej uszkodzenia linii napowietrznych. Kiedy przyjechałem na miejsce, telefon działał. Samoczynnie się naprawił?

Irmina zostawiła list, z którego można by wnosić, że popełniła samobójstwo. Ale list ten nie jest do nikogo adresowany, nie ma na nim daty, ponadto napisany jest ołówkiem, co uniemożliwia ustalenie, kiedy go napisała. Wiktor mógł mieć ten list - napisany przy zupełnie innej okazji - już znacznie wcześniej. Wystarczyło go schować, a potem położyć na stoliku obok zwłok, stwarzając w ten sposób pozór samobójstwa. Następnie przyciskając do kolby martwe palce dziewczyny, pozostawić na karabinku ślady jej linii papilarnych. Cieślik zatarł te ślady.

Pozostaje jeszcze sprawa medalionu i breloczka. Kościanko mógł włożyć medalion w rękę martwej już Irminy, a breloczek wyrzucić, także w celu stworzenia pozorów, wykluczających jego udział. Nie ustaliłem jeszcze, co to za włókno znalezione na balustradzie tarasu, nie wiem, czyje ślady odkryliśmy w okienku łazienki i wreszcie kto zdeptał grządkę Pustakowi. Nie wiem także, kto i po co zamknął psy.

- Mów dalej. - Pułkownik Walewicz słuchał z zainteresowaniem.

- Są to, oczywiście, luźne hipotezy i rozważania. Próba stworzenia ewentualnych wersji. Nie mogę wykluczyć Leona Cieślika. On też ma motyw. Po pierwsze jest ojcem Anny. Kiedy w domu zamieszkała kochanka Wiktora, ta sytuacja mogła być dla niego nie do zniesienia. Przy tym nie można nie uwzględniać i strony materialnej. Willa i jej wyposażenie należały do matki Wiktora. Konsekwencją rozwodu z Anną byłaby wyprowadzka teścia i byłej żony. I Anna, i jej ojciec przywykli już do dobrobytu. Okazja do usunięcia Irminy? Dopóki Wiktor zajmował sąsiedni pokój, sprawa była skomplikowana. Możliwości stworzyła owa zamiana pokoi. Podłożenie listu mógł Cieślik zaaranżować po to, aby odwrócić od siebie podejrzenia. Uzyskanie takiego tekstu było możliwe. Mógł go wymusić czy wyprosić. Irmina opowiadała Pustakowej, że czasem Cieślik staje wieczorem w drzwiach i patrzy na nią. Wykorzystując sąsiedztwo i fakt poróżnienia Irminy z Wiktorem, mógł skłonić ją do napisania takiego listu. Nikt nie wie, kiedy naprawdę wrócił z ogrodu do swego pokoju. Wtedy gdy Anna szukała zapalek, jego drzwi były zamknięte. Ale czy był w środku?... Anna weszła do pokoju Irminy po zabójstwie... albo tuż przed zabójstwem. Nie zauważyła przecież krwi. A więc i Cieślika nie można wyeliminować z kręgu osób podejrzanych.

Nie można też wykluczyć Anny. Jest pewne, że w krytycznym momencie była na górze, u siebie. Jest także pewne, że nie lubiła Irminy. Jeśli nawet przyjąć, że nie była zazdrosna i tolerowała miłość męża, to owa tolerancja mogła się skończyć w momencie, gdy w grę zaczęła wchodzić ewentualność rozwodu, oznaczająca dla niej rezygnację z dobrobytu. Musiała się z tym liczyć, zwłaszcza że sama spowodowała kiedyś podobną sytuację. To dla niej Wiktor rozwiódł się z pierwszą żoną. Gdyby założyć, że Anna mówi prawdę o owym poszukiwaniu



zapalek, to jest możliwe, że na widok śpiącej mogła w jej głowie zrodzić się myśl wykorzystania sprzyjającej okazji. List, jeśli przyjmujemy, że został napisany wcześniej, mógł wpaść w jej ręce zupełnie przypadkowo. Medalion i breloczek w każdej z tych trzech wersji mogły zostać użyte w identyczny sposób: dla odwrócenia uwagi, zatarcia śladów.

Anna wkroczyła w bardzo trudny okres życia. Młodość dawno ma za sobą, ale wciąż nie zamierza zrezygnować z jej uciech i przywilejów. Jeśli, jak twierdzi, rzeczywiście nie jest zazdrosna o męża, to ten fakt nie wyklucza przecież zawiści i urażonej kobiecej dumy. Obecność pięknej dziewczyny musiała jej uświadomić, że nie może już konkurować z dwudziestolatkami. Nielatwo przelknąć tę brutalną prawdę. I to też jest motyw.

Pomijam w tych rozważaniach matkę Wiktora. Staruszka dobiega osiemdziesiątki. Jej zdolność poruszania się, zwłaszcza po schodach, jest ograniczona. Wprawdzie można od biedy wyobrazić sobie sędziwą arystokratkę, dotkniętą w swej dumie żenującą sytuacją we własnym domu i pragnącą za wszelką cenę zlikwidować kompromitujący stan rzeczy. Ale Maria Kościanko wywodzi się z niższej sfery. Mimo nabytych manier w gruncie rzeczy pozostała córką kupca bławatnego, który dorobił się majątku. To dziadek Wiktora był arystokratą. Dla ratowania podupadłej fortuny ożenił syna z córką kupca, będącego w posiadaniu weksli wystawionych przez Kościanków. Ów mariaż uwolnił ród Kościanków od konieczności spłaty długów i podreperował finanse posagowym kapitałem. Dziś pochodzenie nie określa już pozycji społecznej i towarzyskiej człowieka. Jest to sprawa bez znaczenia, dlatego nie sądzę, aby matka Wiktora zapragnęła nagle bronić honoru rodziny swego dobrze urodzonego męża. W dodatku za pomocą karabinu.

Pustakowie także nie wchodzą w rachubę. To prości, dobrzy ludzie. Wprawdzie istniejąca w rodzinie Kościanków

sytuacja raziła ich uczucia religijne, ale nie było żadnego ważkiego powodu, by mogli wtrącać się w sprawy osobiste chlebowców. U Kościanków mieli zapewnioną spokojną starość i dostatnie życie. Irminę wspominają z żalem. Lubili dziewczynę, ponieważ okazywała im szacunek.

- A wersja: samobójstwo? - wtrącił pułkownik.

- Właśnie chcę o tym mówić. Faktem jest, że Irmina miała kłopoty zawodowe, co pociągało za sobą trudności natury finansowej. Poróżnienie się z Wiktorem uniemożliwiało jej korzystanie z jego domu i kuchni. Przypuszczam, że z nim zerwała i dlatego szukała mieszkania. Mimo tych komplikacji trudno uwierzyć, by popełniła samobójstwo. Zanim kochała życie. Podkreślają to wszyscy, którzy ją znali. Ale jest jeszcze inne obiektywne ustalenie, wykluczające taką możliwość. Otóż w momencie strzału, jak ustalił ekspert, wylot lufy karabinu znajdował się w odległości czterdziestu-pięćdziesięciu centymetrów od miejsca wlotu pocisku. Gdyby założyć, że Irmina strzeliła do siebie, trzeba by przyjąć, że trzymała karabinek za koniec lufy w wyprostowanych rękach, a język spustowy naciskała palcem nogi. Jest to nieprawdopodobne. Sam próbowałem. Ciężar kolby i zamka uniemożliwia utrzymanie go w tej pozycji. Przy samobójstwie oddałaby strzał z przystawienia.

- Zgadzasz się z tobą - powiedział Walewicz z przekonaniem. - Czy rozważałeś możliwość zabójstwa dokonanego przez kogoś z zewnątrz?

- Tak. Myślałem i nad tym. Ale jak dotąd nic na to nie wskazuje.

- Próbuj zatem wyjaśnić dotychczasowe wersje, ale nie odrzucaj i tej możliwości. Może odkryjesz jakieś nowe fakty, nowe osoby...

- Na razie spróbuję ustalić kochanków pani Anny i męski krąg znajomych Irminy. Dotąd nie wiem, o kogo Wiktor był zazdrosny.

- Pojutrze jestem umówiony z kimś, kto dostarczy mi trochę więcej danych o karierze Wiktora Kościanki. Przekażę ci te wiadomości.

Labirynt. Jak z niego wyjść? - myślał Skarbek wracając do siebie.

## *Rozdział 13*

Skarbek odnalazł kamienicę położoną przy jednej z mniej ruchliwych ulic Mokotowa. Przeczytał listę lokatorów. Jest. Edward Karpowicz, mieszkanie numer osiem. Nacisnął dzwonek. Otworzyła mu starsza kobieta.

- Czy zastałem sędziego Karpowicza?

- Tak, bardzo proszę. Te drzwi na lewo.

Z wąskiego korytarzyka wszedł do skromnie umeblowanego pokoju. Temida nie jest hojna dla tych, którzy jej służą - pomyślał z odrobiną goryczy. W fotelu siedział stary, siwy człowiek, ubrany w niemodny ciemny garnitur. Na widok wchodzącego odłożył czytana właśnie książkę.

- Proszę usiąść. Cóż pana do mnie sprowadza, młody człowieku?

- Nazywam się Skarbek. Skierował mnie do pana mój szef, pułkownik Walewicz. Prowadzę sprawę, w której pańska wiedza i informacje mogą okazać się pomocne.

- Walewicz? Zaraz, chwileczkę. Pamiętam go. To był zdolny oficer. Uratował kiedyś człowieka od stryczka. Sądziłem sprawę o zabójstwo. Wszystko przemawiało przeciw oskarżonemu. I nieoczekiwanie w ostatnim dniu procesu prokurator poprosił o zwrot akt. Okazało się, że Walewicz zdobył dowody obalające dotychczasowe poszlaki. W wyniku ponownie podjętego śledztwa aresztowano rzeczywistego zabójcę. Stare dzieje... Ale do rzeczy. W czym, zatem, mogę być panu pomocny?

Skarbek nie bardzo wiedział, jak sprecyzować cel swojej wizyty.

- Pułkownik Walewicz mówił mi, że pan prowadził kiedyś sprawę, dotyczącą zagrabienia jakichś wartościowych, zabytkowych przedmiotów. Koronnym świadkiem oskarżenia był wówczas niejaki Wiktor Kościanko z, Urzędu Repatriacyjnego. Obecnie prowadzę dochodzenie w sprawie gwałtownej śmierci pewnej młodej kobiety. Tragedia miała miejsce w domu tegoż właśnie pana Kościanki. W związku z tym chcę zebrać o nim jak najwięcej informacji. I to jest powód, dla którego pozwoliłem sobie niepokoić pana.

- Chwileczkę, panie kapitanie. Muszę zebrać myśli. Stary umysł nie jest już taki sprawny. Jeśli dobrze pamiętam, w procesie, który pana interesuje, oskarżonym był Zygmunt Butrym, kierownik magazynu czy przechowalni mienia mającego charakter zabytkowy. Z tego magazynu zginęły jakieś stare srebra i komplet złotych sztuców. Kto je przywłaszczył? Właściwie nie było dowodów. W ewidencji panował straszny bałagan i dochodzenie prawdy było niezwykle utrudnione. Z zeznań Kościanki wynikało jednoznacznie, że sprawcą kradzieży jest Butrym. Sam Kościanko jakoś nie bardzo przypadł mi do gustu, ale nic nie podważało wiarygodności jego zeznań. Były logiczne, rzeczowe, umotywowane... Skazałem Butryma na długoletnie więzienie. Zanim sprawa trafiła do instancji rewizyjnej, ocenzurowałem list Butryma do żony. Przysięgał w nim, że jest niewinny, twierdził, że Kościanko wrobił go w tę sprawę. Pamiętam, ten list wzbudził mój niepokój. Jeszcze raz przemyślałem wszystko od początku, ale nie znalazłem nic, co przemawiałoby za oskarżonym. W końcu doszedłem do wniosku, że być może Butrym chciał w ten sposób dostarczyć obrońcy argumentów. Potem dowiedziałem się, że popełnił w więzieniu samobójstwo. Bronił go adwokat Bronisław Kotlarski, mój dobry znajomy. To Broniek Kotlarski zaszczerpił we mnie

wątpliwości. Wielokrotnie mi wypominał, że się wówczas pomyliłem, ale żadnych dowodów, oprócz własnego przekonania o niewinności Butryma, nie miał. No cóż, nie myli się tylko ten, kto nic nie robi. Przyznaję, do dziś nie mam pewności co do słuszności tamtego wyroku. Proces był poszlakowy, a owych skradzionych przedmiotów nigdy nie znaleziono. Niewykluczone, że właśnie panu, kapitanie, uda się rozstrzygnąć po latach, kto z nas się mylił: ja czy Broniek.

- Czy nie pamięta pan numeru sprawy? Może choć rok...

- Nie, ale niech pan skontaktuje się z obrońcą Butryma. Mieszka obecnie w Aninie. Jest także emerytem. Przypuszczam, że panu pomoże.

Jakiż ciężar ogromny bierze na swoje barki człowiek skazujący innego człowieka - pomyślał wychodząc. Od sędziego Karpowicza pojechał prosto do Anina. Chciał od razu pomówić z mecenasem Kotlarskim.

Kierownik Komisariatu w Aninie natychmiast podał mu adres mecenasa. Znali go tu wszyscy. Mieszkał w małym domu z ogródkiem.

Skarbek zastał Kotlarskiego przy pracy - właśnie poprawiał zamocowanie kołków, podtrzymujących młode drzewka. Gospodarz ogromnie ucieszył się z tej wizyty i podjął gościa lampką wina domowej roboty.

- To był chyba największy błąd Karpowicza. Butrym nie był winien. Kościanko zrobił go. Dlaczego? Sam nie wiem. Butrym miał wtedy dwoje małych dzieci, córkę i syna. W rewizji, niestety, nie udało mi się podważyć wyroku. Pozornie wszystko było logiczne. A stanowisko, które piastował Kościanko, przysługiwało wiarygodności jego zeznaniom.

Kotlarski odnalazł numer sprawy sądowej. Odnalazł także adres rodziny Butryma.

- Nie wiem, czy jeszcze aktualny - dorzucił wręczając Skarbkowi akta, które pozostały mu z tego procesu. - Butrym skazany został wiele lat temu. Od dawna nie żyje, dlatego bez

wahania dają panu te dokumenty. Na ogół nie przechowuję akt swoich klientów. Zachowałem akta tylko kilku spraw, w których uważam, że skazano ludzi niewinnych. Łudzę się nadzieją, że może kiedyś uda się zrehabilitować tych ludzi. Sprawę Butryma uważałem za jedną z nich. Niech pan zwróci uwagę na jedną rzecz. Otóż brak było ewidencji zaginionych przedmiotów. Liczbę przedmiotów wchodzących w skład srebrnej zastawy stołowej i kompletu złotych sztuców odtworzono w oparciu o zeznania Kościanki i wyjaśnienia Butryma. Charakterystyczne jest, że według wyjaśnień Butryma w skład zastawy wchodziła prawie dwukrotnie większa liczba przedmiotów niż wynika to z zeznań Kościanki. Czyżby Butrym chciał dodatkowo obciążyć sam siebie? Nikt na to nie zwrócił uwagi. Oparto się na korzystniejszych dla Butryma zeznaniach Kościanki. Ja wierzę Butrymowi. Może pan zdoła znaleźć odpowiedź na pytanie, co się z nimi stało.

## *Rozdział 14*

Kiedy wyjeżdżał z Anina, było już późne popołudnie. Pomyślał, że jest to jeszcze właściwa pora na złożenie kolejnej wizyty. Kazał jechać kierowcy na ulicę Hożą. Tam, w jednej ze starych kamienic Irmina wynajmowała pokój, zanim zamieszkała w willi Wiktora Kościanki.

Odrapane, brudne ściany klatki schodowej, oberwane, zwisające na jednym haku skrzynki na listy, przykry zapach z piwnicy, wskazujący, że zagnieździły się tam dzikie koty, nie zachęcały do odwiedzin. Przejrzał listę lokatorów. Pod numerem dziewiętnastym figurowało nazwisko Mieczysławy Herbowicz. Nazwisko nie mu nie mówiło. Adres ustalił w oparciu o dowód osobisty Irminy.

Zadzwoił. Dopiero po trzecim długim dzwonku zgrzytnął

klucz. W drzwiach stał niemłody już mężczyzna z nosem o fioletowym zabarwieniu.

- O co chodzi? - zapytał podciągając opadające spodnie.

- Ja do pani Herbowicz.

- To tu. Drugie drzwi. - Wskazał Skarbkowi ręką drzwi po prawej stronie. Skarbek zapukał.

- Jestem, jestem - dobiegł go głos z wnętrza pokoju.

Nacisnął klamkę, wszedł. Olbrzymi pokój zastawiony starymi rupieciami, które trudno nazwać meblami. Na krześle przed telewizorem tęga, chyba sześćdziesięcioletnia kobieta w podniszczonym i niezbyt czystym szlafroku. Ogorzała twarz, nietypowa dla mieszkanki dużego miasta, wskazywała, że jej właścicielka musiała przebywać dużo na świeżym powietrzu, i to bez względu na pogodę. Przekupka - ocenił Skarbek.

- Czy pani Herbowicz? - zapytał.

- Tak, a pan w jakiej sprawie?

- Jestem z milicji. - Skarbek wyjął legitymację służbową.

- Z milicji? A czegoż ode mnie może chcieć milicja? - zaniepokoiła się.

- Nie chodzi o panią. Chciałbym zasięgnąć informacji o pani lokatorach.

- O Szczęśniaku? Przecież to przyzwoity, spokojny człowiek. Pracuje na państwowej posiadzie.

- Chciałem panią prosić o informacje o Irminie Adamskiej.

- O Adamskiej? Tej artystce? Panie, ona tu nie mieszka od dwóch lat. Dobre to było dziecko. Żal było tracić taką lokatorkę. Wyprowadziła się do jakiejś willi. Ale cóż. Willa to willa, a dziewczyna młoda i ładna. Pasowałyby i do pałacu. Ale czego pan chce od niej? Postrzeliła kogoś? Zawsze mówiłam, żeby dała spokój temu strzelaniu. Dziewczyna jak łania, a nosiła się z tym karabinem jak jaki żołdat.

- Nie. Nikogo nie postrzeliła. To ona nie żyje.

- Jezus Maria! Co też pan mówi? Irminka nie żyje? Co jej się stało?

- Zginęła od kuli z karabinka.

- Od kuli mówi pan. Zawsze uważałam, że z tego strzelania wyjdzie jakieś nieszczęście. Jak to się stało?

- Nie wiem jeszcze. Dlatego przyszedłem do pani. Muszę zebrać o niej jak najwięcej informacji. Chciałbym wiedzieć, jak długo u pani mieszkała, kto ją tu skierował. Kto ją odwiedzał, z kim się przyjaźniła i tak dalej.

- Przeprowadziła się do mnie z akademika. Polecił mi ją woźny ze szkoły teatralnej, mój kuzyn. Miałam wtedy wolny pokój. Odwiedzała ją koleżanka z teatru. Marta Bońko. Bywała u Irminy dosyć często. A poza tym to chyba nikt. Aż dziw mnie brał, że taka piękna panna, a nie ma chłopaków. Aż kiedyś idę ze sklepu i oczom nie wierzę. Pod dom podjeżdża srebrna limuzyna, wysiada Irmina i jakiś starszy facet. Najpierw to myślałam, że może jakiś wujek z zagranicy, ale połąpałam się prędko. Patrzył na nią jak pies na kielbasę. Myślałam, może jaki dyrektor teatru. Wyprowadziła się ode mnie do tego starego, do pięknej willi. Była potem jeszcze ze dwa razy pytać o listy.

Po wyjściu od Herbowiczowej Skarbek spojrzął na zegarek. Było kilka minut po godzinie osiemnastej. Zdązę jeszcze do teatru - pomyślał - spektakl rozpoczyna się dopiero o dziewiętnastej.

W hallu czekało już sporo ludzi. Podeszedł do kasy.

- Ma pani jeszcze bilety?

- Tak. Ile? - Kasjerka odwinęła rulon z biletami.

- Czy dziś występuje pani Bońko? - zapytał.

- Tak. Występuje, ile mam dać biletów?

- Jeden. Tylko jeden.

Kasjerka podała mu bilet. Przedstawienie znużyło go. Wyśedł na kilkanaście minut przed końcem. W hallu podeszedł do portiera.



- Dobry wieczór, panie Wincenty.

Ten w pierwszym momencie nie poznał go. Ale po chwili zapytał:

- Nie podoba się panu nasze przedstawienie?

- Nie dlatego. Przedstawienie jest świetne. Chciałem pana prosić, żeby mi pan pokazał aktorkę Martę Bońko.

- Ma pan nosa. - Kopytowicz popatrzył z uznaniem na Skarbka. - Ona już jest w garderobie. Przebiera się. Zaraz wyjdzie. O, już właśnie idzie... Jakiś pan do pani - zwrócił się do wychodzącej kobiety.

- Do mnie? - Młoda dziewczyna była wyraźnie zdziwiona.

- Czy pani Marta Bońko? - zapytał.

- Tak.

- Moje nazwisko Skarbak. Jestem oficerem milicji. Chciałem z panią pomówić o Irminie Adamskiej.

- O Irminie? Wiem, że nie żyje. Mówił mi o tym reżyser. Ale teraz, o tej porze? A poza tym, gdzie mamy rozmawiać?

- Nie chciałbym pani fatygować do komendy. Ale jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu, chętnie zaprosiłbym panią na kawę.

- Dobrze. Będzie to pana kosztowało kolację. Jestem diabiełnie głodna.

- A więc jedziemy. Może do „Krokodyla”? - zaproponował.

- Niech będzie „Krokodyl” - zgodziła się.

Kiedy znaleźli się już w lokalu, Skarbak przeprosił na chwilę swoją partnerkę. Zadzwoił do oficera dyżurnego.

- Jestem w „Krokodylu”. Przyślij mi natychmiast półtora patyka. Tylko dyskretnie. Nie mam przy sobie pieniędzy. Jestem z kobietą.

Nie przewidział, że spędzi wieczór z aktorką w nocnym lokalu. Bał się, że kilkaset złotych, które miał przy sobie, nie wystarczy. Kiedy wrócił do stolika, rozpoczęły się już występy.

Jakaś dziewczyna rozbierała się przy akompaniamencie perkusji.

- Zaczynamy dorównywać rozwiniętym krajom świata - zauważył ironicznie.

- Nie lubi pan striptizu? - zdziwiła się.

- Właściwie nie mam nic przeciwko rozbieraniu się. Zwłaszcza, gdy robi to ładna i zgrabna dziewczyna - dodał po chwili.

Roześmieli się. Dobry nastrój Marty udzielił się także Skarbkowi.

Właśnie kelner nakrywał stolik, kiedy na sali zjawił się kierowca w towarzystwie portiera.

- Przepraszam panią na minutę.

Kierowca podał mu kopertę. Wyjął i przeliczył pieniądze. Dyżurny przysłał mu dwa tysiące. Bywalec - pomyślał o nim. Wrócił do stolika. Jakiś dobrze podchmielony gość o wydatnym brzuszku i zaawansowanej łysinie wstał od stolika i ryczał głośno „biiis”, wyciągając ręce w stronę oddalającej się striptizerki.

Skarbak wrócił do przerwanej rozmowy.

- Dlatego też inaczej, bardziej spontanicznie niż sfrustrowani biznesmeni odbieramy ten rodzaj produkcji artystycznej. Ów pan jest tego najlepszym chyba przykładem - wskazał na podnieconego tłuściocha.

- Interesujące. Nigdy na to tak nie patrzyłam. Uświadomiłam sobie w tym momencie, że usiłując czasami w małej sposób naśladować tak zwaną cywilizację zachodnią, możemy być śmieszni.

- To nasza narodowa cecha. Boso, ale w ostrogach. Zresztą, może nie jest to najlepsze porównanie. Bywalczy tego lokalu na ogół nie chodzą boso. Chodzi mi po prostu o to, w jakich dziedzinach najszybciej dokonujemy tak zwanych wielkich skoków. Ale dajmy już temu spokój. Proszę mi wybaczyć, że teraz będę zmuszony popuścić ten miły nastrój, ale zgodziła się pani porozmawiać o Irminie Adamskiej. Czy mogę więc liczyć...

- Ależ tak, oczywiście. - Z twarzy Marty zniknął uśmiech,

posmutniała. - Przyjaźniłyśmy się z Irminą od pierwszego roku studiów. Po dyplomie otrzymałyśmy pracę w tym samym teatrze. Nie było nam łatwo. Irmina, choć niewątpliwie zdolna, nie zaszła daleko. Miała swoje zasady. Nie chciała kariery za wszelką cenę. Wszelkie napięcia nerwowe związane z terminowaniem w teatrze rozładowywała na strzelnicy. Pan zapewne już słyszał o jej pasji strzeleckiej? Raz byłam z nią na treningu, ale wypłoszył mnie ten nieustanny huk wystrzałów. Więcej tam nie poszłam.

Wszyscy wiedzieliśmy, że reżyser ją adoruje. Ona traktowała go z szacunkiem, ale trzymała na dystans. Dziwiliśmy się nawet, że on, nieznoszący sprzeciwu i oporu, zgadzał się na taki układ. Wzięła go. Nadskakiwał jej jak sztabak. Taki stan trwał do chwili, gdy zorientował się, że Irmina związała się z innym mężczyzną, i to sporo starszym od siebie. Wówczas zaczął ją prześladować. Doszło do tego, że w ostatnim okresie wprowadził do zespołu na jej miejsce inną aktorkę i tej nowej powierzył rolę, którą grała Irmina. Dla Irminy zabrakło też roli w nowym programie. Myślę jednak, że te kłopoty nie były dla niej sprawą decydującą o życiu i śmierci. Pan Kościanko, sądzę, mógł uchronić ją od niedostatków materialnych.

- Czy poza nim nie było innego mężczyzny w życiu Irminy?

- Miała paru znajomych, takich jednodniowych. Po spotkaniu czy dansingu mówiła do mnie: „to nie to”. I zrywała znajomość. Tylko z jednym młodym chłopcem utrzymywała kontakt przez parę lat. Poznała go w pociągu. Zrazu była zachwycona. Był sympatyczny, może nawet trochę dziecinny, ale bardzo przystojny. Nie był krezusem, ale nigdy nie pozwolił jej za siebie zapłacić. Wymyślał więc z reguły jakieś niezbyt kosztowne rozrywki. Nie pamiętam jego nazwiska. Na imię miał Robert. Irmina spotykała się z nim jeszcze w okresie znajomości z Wiktorem. Przed paroma miesiącami przyszła do mnie i

powiedziała, że jest umówiona z Robertem w kawiarni „Świtezianka”, ale nie może pójść na to spotkanie. Prosiła, bym poszła za nią i oddała Robertowi list. Kazała mu powiedzieć, żeby jej więcej nie szukał. Zgodziłam się. Robert był zawiedziony, a kiedy przeczytał list, spochmurniał. Sprawiał wrażenie bardzo przybitego. Przestał zwracać na mnie uwagę. Po chwili pożegnał się. Więcej go nie widziałam. Próbowałam potem pytać o niego Irminę. Byłam ciekawa, co zaszło między nimi. „Natrętny młokos. Rości sobie zbyt wielkie prawa” - powiedziała. Więcej o nim nie mówiłyśmy.

- Czy nie zna pani jego miejsca pracy, adresu, telefonu? Chciałbym go odnaleźć.

- Nie. Ale mam chyba w domu fotografię. Robiliśmy sobie kiedyś w trójkę zdjęcia w Łazienkach. Mogę je panu pokazać, a nawet wypożyczyć.

- Świetnie. Ale, niestety, będę musiał zaprosić panią do komendy. To tylko formalność. Chodzi o protokół przesłuchania. Umówimy się w czasie dogodnym dla pani. Czy mogłaby mi pani wtedy przynieść to zdjęcie?

- Oczywiście. Niech pan to zorganizuje nie wcześniej niż za dwa dni.

- A więc jesteśmy umówieni. Za dwa dni o godzinie jedenaastej, zgoda?

- Zgoda - odpowiedziała.

Nie mówili więcej o sprawie. Przetanączyli resztę nocy. Świtało, kiedy Skarbek odwiózł Martę do domu.

- Był to jeden z najmilszych wieczorów - powiedziała na pożegnanie.

## *Rozdział 15*

Skarbek przyszedł do komendy trochę niewyspany. Zamówił podwójną kawę i zabrał się do przeglądania notatek z przeprowadzonych już przez niego wywiadów. Nie zawierały rewelacji. Mieszkańcy posesji położonych w pobliżu willi

Kościanków niewiele wnieśli do sprawy. Kościanków mało znali, jeszcze mniej słyszeli o Irminie. Same plotki. Tylko jedna z tych notatek wydawała się interesująca. Wywiadowca ustalił, że przed około pół rokiem jakiś mężczyzna interesował się mieszkańcami willi. Wypytywał o nich syna właściciela warsztatu samochodowego. O Kościance wyraził się „kawał drania” i opowiadał, że jakąś babkę doprowadził do samobójstwa. Pół roku temu Irmina cieszyła się dobrym zdrowiem, więc nie o niej mowa. Ale wobec tego o kim? Trzeba to koniecznie wyjaśnić. Skarbek polecił przywieźć niezwłocznie chłopaka do komendy. Niedługo czekał. W niespełną godzinę do gabinetu wszedł wysoki chudzielec. Lekko rudawe włosy, zadarty nos upstrzony piegami. Ubrany w dżinsy i koszulkę w paski typu marynarskiego. Robił wrażenie wystraszonego, ale nadrabiał zawadiacką miną.

- Jak się nazywasz? - głos Skarbka brzmiał dobroliwie.

- Jacek Morga. Ale o co chodzi, panie komendancie? Jak rany, nic nie wystrugałem, jestem niewinny. A tu przyjechali, zwinęli mnie i do komendy. Za co?

- Nie bój się. Nie mamy do ciebie pretensji. - Skarbek podniósł słuchawkę i poprosił sekretarkę o dwie coca-cole.

- Jeśli nie ma pan do mnie pretensji, no to po co mnie tu przywieźli, i to na sygnale?

- Bo sprawa jest pilna. Potrzebuję twojej pomocy.

- A jaka to sprawa? i

- Czy znasz rodzinę Kościanków?

- Nie za bardzo. To szychy. Nosa drą. Z nikim się nie zadają. Wóz palce lizać. Porsche. Chciałbym kiedyś się nim przejechać.

- Umiesz prowadzić?

- Jasne. Stary zajmuje się blacharką różnych gablot. My też mamy samochód. Warszawę. Ale to krowa. Porsche to co innego.

- Słyszałeś coś o tej rodzinie? - przerwał te samochodowe wyrzuty.  
wyrzuty.

- Różne rzeczy ludzie gadają.

- Jakie? - Skarbek podsunął jedną z butelek coca-coli i szklanę. - Nalej sobie, synu.

- Różne. Raz jakiś obcy facet wypytywał mnie o nich. Kim jest Kościanko, gdzie pracuje, kto u nich mieszka, kiedy wracają do domu? Nie bardzo umiałem na te pytania odpowiedzieć, nie interesowało mnie ich życie. Ten facet mówił o Kościance, że drań, że jakaś babka życie sobie przez niego odebrała. Pomyslałem sobie, że to jakiś dziwny człowiek. Najpierw zapytuje o Kościankę, jakby go w ogóle nie znał, a potem okazuje się, że wie o różnych jego ciemnych sprawkach.

- Kiedy to było?

- Diabelnie dawno. Był wówczas u nas wujek z Australii. Spotkałem tamtego człowieka następnego dnia po przyjeździe wuja. Zaraz zresztą sprawdzę. Można zadzwonić?

- Proszę. - Skarbek podsunął aparat.

Chłopak wykręcił numer.

- Janek? Daj mi wapno na druty. - To chwilę potrwa - wyjaśnił Skarbkowi.

- O jakim wapnie mówisz? - zdziwił się kapitan.

Z kolei chłopak miał zdziwioną minę.

- Mówiłem, żeby poprosił tatę do telefonu - wyjaśnił. - Ojciec jest w warsztacie, zanim podejdziesz do aparatu, to potrwa chwilę. O, już jest. To ja, Jacek - rzucił w słuchawkę. - Kiedy przyjechał wujek Stasiek? Nie, jeszcze nie zgłupiałem. Nie chodzi o wujka, ale o to, żeby namierzyć azymut w kalendarzu.

Skarbek słuchał cierpliwie tej rozmowy.

- Wujek przyjechał do nas w Wielką Środę - oświadczył Jacek odkładając słuchawkę. - Facet rozmawiał ze mną w Wielki Czwartek. Jasne?

- Jasne. Czy mógłbyś mi opisać go? Ile mógł mieć lat, jak był ubrany?

Jacek z trudem przypominał sobie szczegóły. Nic charakterystycznego. Mogły pasować do kilku tysięcy mieszkańców. Nie było sensu dalej prowadzić tej rozmowy.

Skarbek polecił odwieźć chłopca do domu.

- Mercedesem - dorzucił.

Jackowi błysnęły oczy.

- A myśmy w domu myśleli, że koło wujka Staśka gliny wachają, wypytują o Kościanków dla niepoznaki.

Po odjeździe chłopca kapitan zamyślił się. Jeśli wierzyć jego informacjom, Irmina byłaby drugą z kolei lub co najmniej drugą kobietą, która przez Kościankę odeszła w zaświaty. A może tamta nie była wcale jego przyjaciółką? Może to jakieś inne sprawy? Rzecz wymagała sprawdzenia. Pomówić jeszcze raz z Pustakową - odnotował w myśli. - Może ona coś wie?

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek telefonu. Pułkownik Walewicz prosił Skarbka do siebie.

- Coś ty dzisiaj przedwczorajszo wyglądasz - zagadnął z uśmiechem.

- Służbowe nocne życie - odparował, referując uzyskane podczas rozmowy z Martą Bońko informacje.

- Ile wyniósł rachunek za te informacje? - pułkownik miał roześmiane oczy.

- Prawie dwa tysiące. Moja strata. Mogłem wezwać ją do komendy.

- Czy przy i po kolacji traktowałeś tę znajomość nadal służbowo?

- Tak. Umówiłem się z nią na przesłuchanie.

- W takim razie zrób notatkę i załącz rachunek. Każę zwrócić ci te pieniądze. Wykonywałeś obowiązki służbowe.

- Dziękuję, pułkowniku.

- Chciałem ci przekazać nowe informacje o panu Wiktorze. Kościanko podczas wojny zajmował się interesami. Był radcą, a zarazem udziałowcem zagranicznej firmy. Zarobione pieniądze

przezornie lokował w bankach australijskich i szwajcarskich. Potem firma ogłosiła upadłość, ale Kościanko ocalił swoje oszczędności. Do dziś ma za granicą pełnomocnika, który co jakiś czas nadaje mu paczki „od cioci” i przekazuje dewizy na konto PKO. Co trzy lata przychodzi na jego nazwisko nowy samochód wysokiej klasy. „Ciocia” opłaca z góry cło i inne należności związane z umową darowizny. Z innych informacji wynika, że jakaś związana z Wiktorem kobieta zginęła śmiercią gwałtowną. Niestety, moi rozmówcy nie pamiętają jej nazwiska. Było to przed kilkoma laty. Dziewczyna mieszkała gdzieś poza Warszawą. Tamtą sprawę pono wyjaśniał sierżant Wacław Goździk. Odszukaj go. Spróbuj z nim pogadać.

- Informacja się pokrywa. - Skarbek zreferował rozmowę z Jackiem Morgą.

Po wyjściu od pułkownika kapitan pojechał prosto do Komendy Głównej. W kadrach zdołał ustalić, że starszy sierżant Wacław Goździk pracuje w Komendzie Powiatowej w Płocku, a także w Komendzie MO w Dzierżonowie.

- W której ostatecznie go znajdę? - spytał.

- W obu. Mamy w ewidencji dwóch starszych sierżantów Wacławów Goździków.

- Niech to diabli! - zaklął Skarbek. - Trzeba będzie z obydwoima przeprowadzić rozmowy.

Po powrocie do komendy wysłał telefonogramy do Płocka i Dzierżonowa. Jednocześnie uświadomił sobie, że jeszcze nikomu z mieszkańców willi nie pokazał medalionu i breloczka. Wybrał się więc znowu z nieoczekiwaną wizytą.

Zastał wszystkich w domu, ale nikt nie rozpoznał precjozów. Jedynie Wiktor Kościanko jak gdyby się zmieszał. Potem poprosił Skarbka do siebie.

- Skąd pan wziął ten medalion, kapitanie? - spytał.

- Więc jednak rozpoznaje pan te przedmioty? - odpowiedział pytaniem na pytanie.



- Czy rozpoznaję? Miałem kiedyś identyczny medalion. Przepadł mi, nawet nie wiem kiedy.

- Więc może to ten. Niech pan się dobrze przyjrzy. - Skarbek otworzył medalion.

Kościanko na widok swojej fotografii poszarzał na twarzy.

- W moim medalionie nie było żadnego zdjęcia. Gdzie pan go znalazł?

- Podczas oględzin. W zaciśniętej dłoni Irminy Adamskiej.

- To niemożliwe! Pan chyba żartuje?! - zaniepokoił się Kościanko.

- Mówię poważnie. Dlaczego uważa pan, że to niemożliwe? Kościanko odchrząknął.

- Byłem przekonany, że Irmina jest uczciwa. Ten fakt świadczy, że się omyliłem,

- To rzeczywiście dziwne. I ja, na podstawie dotychczasowych ustaleń, sądziłem, że pani Adamska nie zabrałaby cudzej własności bez wiedzy właściciela. Dziwne. W tej sprawie jest więcej dziwnych rzeczy.

- Co pan ma na myśli? - Kościanko już się opanował.

- Być może, powiem to panu po zakończeniu śledztwa. A na razie przepraszam za najście.

- Jestem do pana dyspozycji - skłonił się Kościanko.

Po opuszczeniu willi Skarbek ruszył w stronę domku Pułstaków. Chciał pomówić z panią Kazimierą.

## *Rozdział 16*

**P**ustakowa właśnie zawieszała karnisze z czystymi firankami.

- Pomogę pani. - Wszedł na chwiejący się stółek i zrećźnie zamocował firankę. - Czw dobrze? - spytał.

- Bardzo dobrze. Niech panu Bóg wynagrodzi. Już myślałam, że zwalę się z tego stołka. Marcina nie ma, a ja chciałam przed jego przyjściem zawiesić czyste firanki. Niech pan

usiądzie. Zrobiłam placek ze śliwkami.

- Chętnie skosztuję. - Skarbek wiedział, że kresowiaci są gościnni. Odmowa zrobiłaby jej przykrość.

Pustakowa nastawiła czajnik, pokroiła placek i postawiła talerz przed gościem.

- Mam trochę nalewki na wiśniach. Napije się pan? - spytała i nie czekając na odpowiedź wyjęła karafkę i napełniła dwa kieliszki.

Skarbek nie miał ochoty na alkohol, ale nie oponował. Uznał, że kieliszek nalewki ułatwi mu tę rozmowę.

Pustakowa przysiadła na krześle, trąciła się z gościem i spytała:

- Wie pan już, co się stało z naszą Irminką? Przyjechała jej matka i siostra. Pan zaproponował im, że pokryje kosztą pogrzebu, ale się nie zgodziły. Matka Irminy jakoby nie miała pretensji do pana. Powiedziała tylko do pani Anny, że jest zdziwiona jej zgodą na pobyt Irminy w ich domu.

- Pewnie nie wiedziała, że pani Annie było to na rękę - wtrącił Skarbek.

- Właśnie. Chciała mieć swobodę.

- Pozwoli pani, że o tym pomówimy. W nocy nie było czasu. Później kto inny panią przesłuchiwał i pewnie nie bardzo wiedział, o co pytać.

- Ten, co mnie przesłuchiwał, był urzędowy. Nie tak jak pan - odparła.

- Niech mi pani powie, ale szczerze, ilu amantów miała pani Anna?

Pustakowa potarła ręką czoło.

- Powiem panu, ale bez podpisywania. Chleba nie chcę stracić.

- Oczywiście. Nie przyjechałem pani przesłuchiwać. Chciałem tylko pogadać.

- Czy to ja wiem o wszystkich?! Nie wszyscy tu bywali. Ale i tego, co wiem, jest niemało. Zaczęło się zaraz po ślubie. Pani gdzieś wyjeżdżała. Pan Wiktor kazał mi ją odprowadzić. Miała

ciężką walizkę. Pojechaliśmy na dworzec taksówką. Na dworcu czekał na nią młody mężczyzna. Pocałował ją w usta na przywitanie, mówił jej po imieniu. Więcej go nie widziałam. Potem był taki czarny, Roman. Zjawił się, jak tylko nasz pan wyjechał do sanatorium. Marcin naszedł ich, jak gruchali. Ale ja już wcześniej wiedziałam, co się święci. Trwało to rok, a może dłużej. Po przyjeździe pana Anna spotykała się z Romanem na mieście. Spotkałam ich kiedyś nad Wisłą. W jakiś czas później pani wysłała mnie z listem adresowanym do jakiegoś Karola Witkowskiego na ulicę Marchlewskiego. Oddałam mu list. Przeczytał go i kazał powiedzieć pani, że będzie na nią czekał. Wieczorem pani Anna wyszła z domu i wróciła dopiero nazajutrz. Przy stole opowiadała, że zasiedziała się u znajomej na brydzu. Mrugnęła do mnie. Wiedziałam co to za brydź.

Często wracała późno, a bywało następnego dnia. Ale do domu wówczas nikogo nie sprowadzała. Dopiero kiedy Irmina u nas zamieszkała, do pani zaczęli przychodzić mężczyźni. Pamiętam trzech. Same młodziaki. Dyskretnie ich wprowadzała i wyprowadzała. Nikt nie wiedział, że u niej ktoś jest. Ja co innego. Podawałam kolacje do pokoju. Jeden miał na imię Zygmunt, drugi Wojciech. Ten Wojtuś to był piękny chłopak. Pół roku temu przyszła tu jego matka. Na szczęście nie było wtedy w domu ani pana Wiktora, ani pana Cieślaka. Starsza pani spała. Matka tego chłopaka nawymyślała pani od dziwek i odgrażała się. Ale następnego dnia Wojtuś znów przyszedł. Od razu gdzieś razem wyszli. Więcej go nie widziałam.

Potem znów pojawił się nowy amant. Miał nie więcej niż dwadzieścia parę lat. Nie wiem nawet, jak się nazywał. Kiedyś jak przyniosłam do pokoju pani kawę i ciastka, Anna powiedziała o nim „pan magister”. Kazała go wpuszczać. Marcin dorobił jeszcze jeden klucz do furtki. Pewnie dla niego. Widziałam

go z dziesięć, może z piętnaście razy. Ostatnio na dwa tygodnie przed śmiercią Irminy. Ten magister miał twarz jak z obrazka. Był podobny do tego z portretu, który wisi u pana w gabinecie.

Słuchając opowieści Pustakowej, Skarbek pomyślał, że trafnie ocenił panią Kościanko już podczas pierwszej z nią rozmowy. Jej zainteresowanie i pragnienia ograniczały się tylko do spraw seksu. Teraz rozumiał, dlaczego tak ostro zabrała się do niego. Kilkunastodniowy post po wyjeździe magistra musiał być dla niej uciążliwy.

- Skoro już tak sobie szczerze gawędzimy, niech mi pani powie, czy pan Wiktor, poza Irminą i dwiema kolejnymi żonami, nie miał innej kobiety?

- Dopóki pan się nie ożenił, to prawie żadnej nie przepuścił. Ale kiedy się już ożenił, to jakby się ustatkował. Przez tych kilkanaście lat oprócz obu żon i Irminy były w jego życiu jeszcze dwie baby. Jedna Małgorzata Sokolicz. Znam jej nazwisko, bo jak pan wynajmował dla niej mieszkanie w mieście, to kazał je odmalować i urządzić. Robiłam tam porządki. Płacił mi za to oddzielnie. Potem ta Sokolicz chyba rzuciła pana, wyszła za jakiegoś Anglika i wyjechała z kraju. Pan chodził wtedy marotny. Jakieś cztery lata temu zainteresował się inną młodą kobietą. Także miała na imię Małgorzata, i nawet podobna była do tej Sokolicz. Nazwiska jej nie pamiętam. Wiem tylko, że mieszkała w Milanówku. Kiedyś zachorowała. Pan kazał mi zrobić dla niej zakupy. Powiedział, że to córka jego zmarłego kolegi. Woził mnie tam codziennie przez kilka dni, dopóki nie wydobrzała. Później, dwa lata temu, pan znów posmutniał. Nie jadł, przestał wychodzić z domu. Żal było patrzeć. Kiedyś nie wytrzymałam i powiedziałam, żeby się nie martwił, bo przecież nie ta jedna dziewczyna na świecie. Myślałam, że ona także go porzuciła. A pan mi wtedy powiedział, że umarła. Widać Bóg tak chciał.

Potem poznał Irminę. Zaraz odmłodził i ozdrowiał. Wprowadził ją do domu. I niech pan powie. Widać szczęście mu niepisane. Irmina też nie żyje.

- Czy będzie pani jutro w Warszawie?

- Będę. Muszę porobić zakupy. Muszę też kupić krople dla starszej pani.

- W „Delikatesach” nie brakuje tych kropli - uśmiechnął się do niej porozumiewawczo.

Pustakowa odpowiedziała uśmiechem na uśmiech.

- To pan wie? Starsza pani uważa, że koniak zdrowszy od leków.

- Może ma i rację. Proszę, niech pani po przyjeździe do miasta zadzwoni do mnie. Pojechalibyśmy do Milanówka. Chciałbym, żeby mi pani pokazała, gdzie mieszkała ta ostatnia Małgorzata.

Podał Pustakowej kartkę z numerem telefonu. Żegnając się podziękował za rozmowę, wspaniały placek i nalewkę.

Pani Kazimiera była usatysfakcjonowana.

Po powrocie do komendy dowiedział się, że dzwonili do niego z Płocka i z Dzierżoniowa.

- Będą dzwonić jeszcze raz za pół godziny - poinformowała go sekretarka.

Trzeba było czekać. Pierwszy odezwał się Płock.

- Tu starszy sierżant Goździk - zameldował się rozmówca.

- Przypomnijcie sobie, czy nie prowadziliście sprawy, w której przewijało się nazwisko Kościanko. Chodziło o samobójstwo jakiejś dziewczyny.

- Zaraz, zaraz. Coś mi świta... Czy chodzi może o tę z Milanówka? Nazywała się Małgorzata Rembielińska. Rozwódka. Otruła się. Chyba w tej sprawie zetknąłem się z nazwiskiem Kościanko. Tak. Na pewno. Teraz już sobie przypominam.

- Dziękuję. Świetną macie pamięć - pochwalił go Skarbek.

Sekretarce polecił, aby zadzwoniła do Dzierżoniowa i wyjaśniła,

że zaszło nieporozumienie, sam zaś nadał telefonogram do pruszkowskiej jednostki z prośbą, by odszukali akta interesującej go sprawy.

Na razie nic więcej nie mógł zrobić. Postanowił więc wpaść do Beaty, umówić się na kolejną niedzielną wycieczkę. Zastał ją w domu. Przyjęła go chłodno. Nie rozumiał dlaczego. Poprzednio sprawa była jasna - nawalił. Nie odezwał się w umówionym terminie. Ale dziś?

- Coś się stało? - spytał niespokojnie. - Miałś jakąś przykrość?

- Sądziłam, że wolisz zaprosić na wycieczkę tę dziewczynę, z „Krokodyla”!

Zrozumiał. O to chodzi. I jak tu się tłumaczyć, kiedy nie ma z czego? Na dokładkę był związany tajemnicą śledztwa. Diabelnie głupia historia.

- Słuchaj, uwierz mi na słowo. Z tą kobietą, z którą byłem w „Krokodylu”, nic mnie nie łączy. Na razie nie mogę ci powiedzieć więcej.

- Ze mną też nic cię nie łączy - odparła Beata z odcieniem ironii w głosie.

Riposta była celna. Rzeczywiście, co oprócz wspólnego hobby łączy mnie z tą dziewczyną? - pomyślał Skarbek. - Formalnie nic. Zapewne uważa, że jestem podrywaczem. Głupio to wyszło...

- A więc dobrze. Nie pokażę się dopóty, dopóki nie będę mógł wyjaśnić ci wszystkiego. Do widzenia. - Podszedł do drzwi.

- Będę na przystanku w niedzielę o siódmej rano - rzuciła w ślad za nim Beata.

- Do widzenia - powtórzył i wyszedł. Był wściekły na siebie.

## *Rozdział 17*

Następnego dnia rano czekał już w komendzie funkcjonariusz z Pruszkowa.

- Przywozłem akta Rembielińskiej - zameldował.

- Dziękuję, sierżancie. Znacie tę sprawę? - zapytał Skarbek.
- Nie. Wówczas pracowałem gdzie indziej.

Kapitan wypisał pokwitowanie odbioru akt i wręczył je sierżantowi. Ten zasalutował i odmeldował się służbiście.

Akta zawierały zaledwie kilkanaście kartek. Z personaliów denatki wynikało, że Małgorzata Rembieleńska z domu Butrym, lat dwadzieścia sześć, była rozwódką, Zmarła wskutek zażycia nadmiernej ilości luminalu. Zwłoki znalazł Wiktor Kościanko. Przesłuchany zeznał, że był jej przyjacielem i dysponował kluczem do jej mieszkania. Po raz ostatni był tu trzy dni temu. To zeznanie zostało sprawdzone. Kościanko nie kłamał. Na podstawie oględzin lekarskich stwierdzono, że śmierć nastąpiła kilkanaście godzin przed znalezieniem zwłok przez Kościankę.

Sprawdzono pochodzenie luminalu. W aktach lekarza rejonowego była informacja, że Rembieleńska cierpiała na bezsenność. Lekarz trzykrotnie zapisywał jej tabletki luminalu. Z badania chemicznego narządów wynikało, że stężenie luminalu w organizmie odpowiadało mniej więcej ilości luminalu wykupionego na recepty. Sekcja zwłok ujawniła, że denatka była w drugim miesiącu ciąży. Uznano, że Rembieleńska popełniła samobójstwo, najprawdopodobniej z tego powodu. Sprawę umorzono.

Z domu Butrym. Zastanawiające. - Skarbek podkreślił to nazwisko. Rozmyślania przerwał mu telefon. Odezwała się Pustakowa. Spojrzał na zegarek: ósma trzydzieści. Na jedenastą był umówiony z Martą Bońko. Właściwie mając te akta mógł nie korzystać już z pomocy Pustakowej w ustaleniu adresu. Pomyślał jednak, że pani Kazimiera poczułaby się dotknięta, gdyby się wycofał. Nie chciał jej zrażać.

- Skąd pani dzwoni? - zapytał.
- Jestem obok komendy.

- Za parę minut podjadę. - Odłożył słuchawkę. - Gdybym się spóźnił, proszę poprosić panią Bońko, niech chwilę zaczeka - polecił sekretarce.

Pani Kazimiera miała, jak się okazało, znakomitą pamięć wzrokową. Bezbłędnie wskazała właściwy dom. Kapitan udał, że ustalenie adresu jest dla niego odkryciem, dokładnie go zanotował.

- Dokąd panią odwieźć, pani Kazimiero? - spytał dziękując jej za pomoc.

- Wsiądę gdzieś po drodze, jak już dojedziemy do Warszawy. - Pustakowa nie lubiła sprawiać sobą kłopotu.

- Nic z tego. Odwiozę panią tam, gdzie pani sobie zażyczy. - Skarbek z sympatią myślał o tej prostej kobiecie. O jej dobroci, uczciwości i bezinteresownej uczynności.

- No to niech mnie pan podwiezie na Bracką do „Delikatesów”.

- Jedziemy na Bracką - zadysponował.

Na miejscu byli o dziewiątej czterdzieści. Skarbek miał do spotkania z Martą Bońko jeszcze prawie półtorej godziny. Wysiadł więc razem z Pustakową.

- Pani Kazimiero, już dwa razy byłem pani gościem. Teraz ja zapraszam panią na małą kawkę.

Podroczyła się chwilę, ale była zadowolona. Poczula się uhonorowana. Weszli do pobliskiej „Alhambry”.

- Co dla pani? - spytał.

- Niech już będzie ta mała kawka.

Zamówił dwie kawy z bitą śmietaną. Dwie porcje tortu orzechowego. Dwa kieliszki słodkiego wina i dwie coca-cole. Kiedy to wszystko podano, na stoliku zrobiło się ciasno.

- Po co pan wyrzuca pieniądze? - skarciła go łagodnie. - Lepiej by je zostawić na randkę z dziewczyną. Cóż ja, stara baba...

- Polubiłem panią. Przypomina mi pani moją matkę.

- No to już dobrze, dobrze - udobruchała się. - Ale musimy



się spieszyć. Mam zakupy do zrobienia, a potem trzeba przygotować obiad.

Posiedzieli około czterdziestu minut. Przez cały czas Skarbek ani jednym słowem nie wspomniał o sprawie.

- Naprawdę zrobił mi pan wielką przyjemność - dziękowała mu przy pożegnaniu.

- To ja pani dziękuję za miłe towarzystwo - pocałował ją w rękę.

Wrócił do komendy przed jedenastą. Marta Bońko już czekała. Poszedł po nią do poczekalni i zaprosił do gabinetu.

- Nie sądziłem, że przyjdzie pani wcześniej. Umówiliśmy się na jedenastą, czy może ja coś pomyliłem?

- Nie. Przyszłam wcześniej, ponieważ się spieszę. Reżyser wyznaczył próbę na dwunastą.

- Zaraz to załatwimy. - Sporządził natychmiast protokół przesłuchania. - Czy ma pani ze sobą tę fotografię?

- Tak, proszę - podała mu zdjęcie formatu półpocztówkowego. - To jest właśnie Robert. A dziewczyna, to oczywiście ja - wyjaśniła ze śmiechem. - Sfotografowała nas Irmina. - Nagle spochmurniała.

Po wyjściu Marty Skarbek przyjrzał się uważnie człowiekowi na zdjęciu. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że już gdzieś go widział. Ale kiedy i gdzie? Trzeba będzie to zdjęcie pokazać paru osobom. Na kartce wynotował ich nazwiska. Zadzwoił do Anny Kościanko.

- Czy to pani Anna?

- Tak, to ja. Kto mówi?

- Kapitan Skarbek.

- Nareszcie! Myślałam, że już się pan nie odezwie.

- Czy zechce pani poświęcić mi teraz trochę czasu?

- Ależ oczywiście. Bardzo chętnie.

- Posyłam po panią samochód. Będzie za jakieś pół godziny.

- Czekam z niecierpliwością.

Sądzi zapewne, że zapraszam ją do siebie na kawę. Znów się zawiedzie - pomyślał Skarbek. Ponownie zaczął przyglądać się leżącej przed nim fotografii. - Skąd ja znam tego człowieka? - próbował grzebać w pamięci, ale bezskutecznie.

Pani Anna weszła do gabinetu ubrana niezwykle praktycznie. Sukienka bez rękawów, przykrótka nieco, zapinana z przodu na zamek błyskawiczny od góry do dołu. Nazywali tego rodzaju damskie stroje określeniem: „nie trać czasu”. Strój wskazywał na zamiary.

- Myślałam, że od razu umówimy się gdzie indziej - powiedziała z przyganą. - Ale i stąd możemy wystartować.

- Pani Anno - Skarbek silił się na uprzejmość. Bał się, że jeśli ją urazi, nie dowie się już niczego nowego. - Jeszcze raz zaprosiłem panią służbowo. Ten nawal pracy nie pozwala mi wygospodarować ani chwili dla siebie. Muszę, niestety, najpierw wyjaśnić sprawę. Otóż, chciałem prosić panią o listę osób bywających u państwa. Mam nadzieję, że znajdą się na niej także pani goście.

- A któż to panu naopowiadał o moich gościach? Na pewno matka Wiktora. Nie lubi mnie.

- Ale tacy byli? - wykręcił się od odpowiedzi.

- Tak. Mówiłam panu, że byliśmy z Wiktorem tolerancyjni wobec siebie. Obecność Irminy w naszym domu chyba i mnie dawała jakieś prawa?

- Nie kwestionuję tych praw. Chciałbym tylko znać nazwiska.

- Dobrze. W ciągu ostatnich kilku lat bywało u mnie paru mężczyzn. Moich kochanków, jeśli zależy panu na precyzji. Najpierw był Roman Zakrzycki. Ale to już stare dzieje. Potem przychodził Zygmunt, nie pamiętam jego nazwiska. Mam je gdzieś odnotowane razem z adresem. Kończył filologię. Po zerwaniu z nim poznałam młodego chłopca. Wyglądał jak dziecko. Studiował na pierwszym roku prawa. Nazywał się

Wojciech Skrobisz. Stuprocentowy mężczyzna. Zerwałam z nim, kiedy się okazało, że miał głupią matkę. Traktowała synalka jak niemowlę wymagające stałej matczynej opieki. Później bywał u mnie Robert Małysz. Tę znajomość utrzymuję nadal. Teraz wyjechał na kilka tygodni. Powinien wrócić za jakiś tydzień i zapewne znowu się pokaże. Jest magistrem biologii. To inteligentny i bardzo miły młody człowiek.

Gdyby mieszkała w pobliżu uniwersytetu, zapewne utrzymywałaby własną katedrę miłości stosowanej - pomyślał z sarkazmem, głośno zaś dodał:

- To pani zainteresowanie ludźmi nauki świadczy o dobrym guście.

Zabrzmiało to prawie humorystycznie, ale pani Anna nie wyczuła kpiny i wzięła uwagę Skarbka za dobrą monetę. Nawet uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Gdzie mieszka Robert Małysz?

- Nie wiem. Poznaliśmy się przypadkowo. Zaprosił mnie na kawę. Dałam mu swój telefon i tak się zaczęło. Robert pracuje na uniwersytecie. W jego pracowni nie ma telefonu. Nie ma go także w jego mieszkaniu. Muszę więc czekać, aż on się odezwie.

Przeprosił ją na chwilę. Wsunął do szuflady leżące na biurku papiery, zostawił na nim tylko zdjęcie i wyszedł z pokoju. Gdy wrócił, Anna właśnie je oglądała.

- Kim jest ta pani? - spytała podsuwając mu fotografię.

- Skoro pyta pani tylko o kobietę, zapewne zna pani mężczyznę? - odpowiedział ni to pytająco, ni to twierdząco.

- Oczywiście. To właśnie Robert Małysz.

Oniemiał. Więc Robert Irminy i Robert Anny to ten sam człowiek! To była rewelacja! Szybko się opanował.

- Czy Irmina знаła Małysza? - spytał spokojnie.

- Nie... Ja go jej nie przedstawiałam. Mogła go spotkać przypadkiem, kiedy szedł do mnie... Nie, to niemożliwe, przecież

Robert powiedziałby mi o tej znajomości. Kiedyś mu mówiłam, że mąż mieszka z przyjaciółką. Nawet wymieniał imię i nazwisko. Chciałam, żeby pozbył się skrupułów. Był zdziwiony naszymi układami, ale zachowywał się tak, jakby to imię i nazwisko było mu całkowicie obce. Nie wykazał najmniejszego zainteresowania jej osobą. Powiedział mi tylko, że dobrze się składa, bo nikt nie będzie się nami interesował. Sam mieszka z rodziną, nie ma więc warunków... Nie odpowiedział mi pan na pytanie, kim jest ta pani na zdjęciu.

- To przyjaciółka Irminy. Stąd moje pytania. - Obserwował Annę, ciekaw jej reakcji.

- Co takiego? Niemożliwe?! Jeśli znał jej przyjaciółkę, i to na tyle dobrze, że się z nią fotografował, musiałby także znać Irminę. A nigdy o tym nie wspomniał. Niemożliwe - powtórzyła wyraźnie podekscytowana tą niespodzianką.

- Możliwe. Zdjęcie zrobiła im właśnie Irmina - powiedział Skarbek tonem katerycznego stwierdzenia.

- Nigdy bym go nie posądzała o nieszczerłość. Myślałam, że mężczyźni są bardziej prawdomówni. Wyjaśnię to, kiedy się zjawi. A może oni działali w zмовie? - zaniepokoiła się nagle. - Ona miała oмотać Wiktora, a on mnie. - Na twarzy pani Anny wystąpiły ceglaste rumieńce, których nie zdołała przykryć grubą warstwą makijażu.

- Trudno mi w tej chwili odpowiedzieć. Gdybym jednak chciał przyjąć, że pani przypuszczenie jest prawdopodobne, to powstaje pytanie: po co mieliby być w zмовie? Zamierzali oskubać państwa z dóbr materialnych? Przecież nie oskubali, a Adamska nie żyje. W takim razie jaki jest powód jej śmierci?

- Niesamowite. Przestraszył mnie pan. Będę bardziej ostrożna w nawiązywaniu znajomości.

Pani Anna sprawiała wrażenie bardzo zdenerwowanej. Chyba nie udaje - pomyślał Skarbek, obserwując dyskretnie,

jak jego rozmówcy bezwiednie miętosi w dłoniach białą batystową chusteczkę.

- Pozwoli pani, że spisemy uzupełniający protokół wyciągnął z szuflady formularz.

## *Rozdział 18*

**K**apitan sprawdzał nadesłane informacje.

Na uniwersytecie nikt nie znał magistra Roberta Małysza. Nie figurował na liście zatrudnionych ani studentów. Bezowocne okazały się również poszukiwania na innych wyższych uczelniach. Z informacji biura ewidencji ludności wynikało, że jest dwóch Robertów Małyszów: jeden ma ponad siedemdziesiąt lat, drugi zaś to czternastoletni chłopiec, prawdopodobnie sierota, gdyż zamieszkuje w domu dziecka.

Żaden z nich. A może ten poszukiwany występuje pod fałszywym nazwiskiem albo nie mieszka w Warszawie? Bywa u Anny. Czy tylko u Anny? Anna nie miała pojęcia, że był zaprzyjaźniony i z Irminą, w ogóle nie wiedziała o tej znajomości. A czy Irmina wiedziała o Annie? Niestety, ona już nic nie wyjaśni.

Połączył się z komendą dla województwa warszawskiego. Prosił o sprawdzenie, czy na terenie województwa mieszka jakiś Robert Małysz. Był prawie pewien, że odpowiedź będzie negatywna.

Zadzwoił do warsztatu Morgi. Poprosił Jacka.

- Słuchaj chłopcze, jesteś mi potrzebny na pięć minut. Już wysłałam po ciebie samochód.

Czekając na chłopaka rozłożył na biurku serię zdjęć, a wśród nich to dostarczone przez Martę.

- Obejrzyj te zdjęcia - zwrócił się do Jacka, kiedy tylko chłopak wszedł do gabinetu. - Dokładnie. Chciałbym wiedzieć, czy na którymś z nich jest mężczyzna, który wypytywał cię o rodzinę Kościanków.

Jacek długo przyglądał się fotografiom. Niektóre brał do ręki i znowu odkładał, jakby niezdecydowany.

- Trudna sprawa - mruknął. - Jakby ten, ale nie dam głowy  
- podsunął Skarbkowi fotografię dostarczoną przez Martę Bońko.

- Chodź. Należą ci się duże lody. - Skarbek klepnął go po kumpłowsku i zabrał Jacka do Wuzetki. Potem kazał odwieźć go do domu.

Wrócił do siebie i zamyślił się. Kto to może być? Chyba nie nazywa się Małyśz, a w ogóle nie wiadomo nawet, czy ma na imię Robert. Jak go odszukać?

Sięgnął do teczki pożyczonej od adwokata Kotlarskiego. Butrym miał na imię Zygmunt. Zajrzał jeszcze do akt przysłanych z Pruszkowa. Małgorzata Rembielińska z domu Butrym była córką Zygmunta i Anieli. W teczce adwokata Kotlarskiego nie znalazł imienia żony Butryma. Był tam jednak odnotowany ostatni adres skazanego. Pod tym adresem zamieszkiwali małżonkowie Zygmunt i Aniela Butrym wraz z dwojgiem dzieci: Małgorzatą i Romualdem. W książce meldunkowej odnotowano daty wymeldowania Zygmunta Butryma z powodu jego śmierci i wyprowadzki pozostałych członków rodziny. Dokąd się wyprowadzili, tego oczywiście nie zaznaczono. Ale odnotowana w tej książce data i miejsce urodzenia córki Butrymów, Małgorzaty, pokrywały się z personaliami Małgorzaty Rembielińskiej z Milanówka. Wprost nieprawdopodobne! Czyżby Wiktor Kościanko związał się z córką człowieka, który w wyniku jego zeznań został skazany i w więzieniu popełnił samobójstwo?!

Przypomniał mu się ukryty kufer zawierający srebrną zastawę. Interesujące odkrycie. Przekonanie adwokata Kotlarskiego o niewinności klienta, wątpliwości sędziego Karpowicza co do winy Butryma, historia z Rembielińską. I ów kufer. Można spróbować wiązać to jakoś w całość. Tyle że w tej hipotetycznej całości nie ma miejsca dla Irminy. Ale jeśli założyć, że ów Robert równocześnie kontynuował romans z Anną i z Irminą, że odkrył to Kościanko, a wówczas?

Trzeba jednak było zacząć od konkretów. Skarbek nadał więc telefonogramy do komend wojewódzkich z prośbą o sprawdzenie, czy na ich terenie zamieszkuje niejaki Robert Małysz, w przypadku pozytywnych ustaleń prosił o nadesłanie bliższych informacji. Jednocześnie wysłał pismo do biura ewidencji z prośbą o aktualny adres Anieli Butrym i Romualda Butryma. Będę musiał pomówić z nimi - zdecydował. - Ale jak odnaleźć „Roberta” - głowił się nadal. - Najmłodsza Adamska mówiła - przypomniał sobie - że Irmina telefonowała z automatu do jakiegoś Roberta. Był więc uchwytany telefonicznie. Bywał u Anny, nie mógł więc dojeżdżać z daleka. Trzeba szukać jego śladów w stolicy. „Miał twarz jak z obrazka” - tak określiła go Pustakowa. „Podobny do portretu, który wisi u pana w gabinecie.” Portret nie na wiele mi się przyda - pomyślał - skoro mam już zdjęcie. Ciekawe, że też Pustakowa dopatrzyła się tego podobieństwa.

Nie wolno zlekceważyć najbliższej informacji - tą zasadą kierował się w pracy. Zdecydował więc, że trzeba pojechać do willi Kościanków. Po raz trzeci.

Już w ogrodzie podbiegły do niego psy. Trochę się przestraszył. Nie miał ochoty sprawdzać ostrości ich zębów na swej skórze. Psy jednak nie zdradzały wrogich zamiarów. Obwąchały go i merdały przyjaźnie ogonami. Zapamiętały mnie, traktują jak swego - pomyślał. - Widocznie nauczono je, że nie wolno atakować ludzi bywających w willi.

W domu nie zastał nikogo oprócz Marcina Pustaka. Skarbek był nawet z tego zadowolony. Przywitał się z nim serdecznie.

- Chciałem jeszcze raz obejrzeć rozkład pokojów i przejścia wewnętrzne - wyjaśnił.

- Oprowadzę pana - zaproponował Pustak.

Zgodził się bez słowa. Przechodząc przez hall i przedpokój kapitan zatrzymał się przed galerią obrazów. Nie był wielkim koneserem sztuki, ale wrodzony smak mówił mu, że są to

działa nie byle jakich mistrzów. Przez dłuższą chwilę przyglądał się portretowi wiszącemu w gabinecie Wiktora Kościanki, przedstawiającemu chłopca w wieku dwunastu, czternastu lat. Z daty figurującej obok podpisu malarza, Andrzeja Portyło, wynikało, że obraz został namalowany przed dziewięciu laty. Pustakowa miała rację - ocenił. - Chłopiec z obrazka był rzeczywiście uderzająco podobny do Roberta Małysza ze zdjęcia Marty Bońko.

- Widzę, że i panu ten obraz się podoba - przerwał milczeniem Pustak. - Pan też najbardziej go lubi, dlatego kazał go zawiesić w gabinecie.

- Czy to portret rodzinny?

- Chyba nie. Pan go kupił z osiem albo dziewięć lat temu. Mówił, że mu się ten portret spodobał.

- Dziękuję panu, panie Marcinie - żegnał się z ogrodnikiem. - Dzięki pana uprzejmości nie musiałem czekać na gospodarzy. Może w ogóle nie warto im mówić, że pan mnie oprowadził po domu. Jeszcze będą mieć do pana pretensje...

- Rzeczywiście, chyba tak będzie lepiej - powiedział Pustak zadowolony z takiego postawienia sprawy.

W parę godzin później, już z komendy, Skarbek zadzwonił do Kościanków. Telefon odebrał Wiktor.

- Przepraszam, że pana niepokoję. Okazało się, że niektóre zdjęcia pomieszczeń nam nie wyszły. Są nieostre i musimy je powtórzyć. Czy pozwoli pan, że znowu przyślę fotografa?

- Oczywiście, bardzo proszę - Kościanko był jak zwykle uprzejmy, ale ton jego głosu był oziębły. - Kiedy?

- Jeżeli pan pozwoli, fotograf przyjedzie jutro przed południem. Dziękuję panu. Do widzenia. - Odłożył słuchawkę i poprosił do siebie fotografa Ryszarda Grochowiaka.

- Słuchaj, stary. Pojedziesz jutro do Młocin, do tej willi Kościanków. Zrobisz parę zdjęć. Nieważne jakich. Powiedziałem



gospodarzowi, że kilka ujęć musimy powtórzyć. Naprawdę chodzi mi o dobre zdjęcie portretu młodego chłopca. Portret wisi w gabinecie Kościanki. Na parterze. Chciałbym, żeby gospodarz nie połąpał się, że chodzi o ten właśnie portret.

- Zrobi się, kapitanie. - Grochowiak chętnie współpracował ze Skarbkciem. Lubił go.

Po wyjściu fotografa Skarbek zadzwonił do sekcji zajmującej się zwalczaniem przestępczości związanej z dziełami sztuki. Poprosił do telefonu porucznika Piotra Raczkiewicza, absolwenta Wydziału Historii Sztuki.

- Tu Skarbek. Witam cię, Piotrze. Potrzebuję twojej pomocy. Chodzi mi o malarza nazwiskiem Andrzej Portyło. Chciałbym wiedzieć, kto to taki, gdzie mieszka, czym się zajmuje i tak dalej. Chcę z nim pogadać, a inaczej się gada, jak się coś wie o człowieku.

- Zrobione. Jutro rano otrzymasz interesujące cię informacje - obiecał Raczkiewicz.

- Wystarczy na pojutrze - mruknął patrząc na wiszący na ścianie kalendarz. Raczkiewicz zapomniał, że jutro jest niedziela - pomyślał. Właśnie. Niedziela.

Beata o siódmej rano będzie na niego czekać na przystanku autobusowym. Iść, nie iść?! Co jej powiem, jak znów spyta o „Krokodyla”? Chyba pójdę, inaczej pomyśli, że miała rację, podejrzewając mnie o podryw. Tak, chyba pójdę. Dobrze mi zrobi parę godzin w lesie. - Złapał się na tym, że na myśl o spotkaniu z Beatą wpadł w dobry nastrój. „Ze mną nic cię nie łączy” - przypomniały mu się jej słowa. - Czy rzeczywiście nic mnie nie łączy z tą dziewczyną? Nielatwo odpowiedzieć sobie na to pytanie. Faktem jest - pomyślał - że ani nie wyznawaliśmy sobie miłości, ani nie mamy względem siebie żadnych zobowiązań. A jednak coś mnie do niej ciągnie. A ona? Dlaczego powiedziała, że będzie jak zwykle na przystanku? Chciała, żebym przyszedł. Ale dlaczego? Przecież poradziła mi, żebym

się wybrał do lasu z tą z „Krokodyla. „Nielatwo zrozumieć kobietę - westchnął. Rozmyślania przerwał dzwonek telefonu.

- Mamy już wyniki badań chemicznych narządów Adamskiej. Znaleźliśmy luminal - informował lekarz, Maciej Kropiwnicki. - To ciekawy przypadek. Dość silna dawka. Może nie śmiertelna, ale na pewno wywołująca głęboki sen. Sądząc ze stężenia i rozmieszczenia leku w organizmie, jestem skłonny przypuszczać, że rana postrzałowa, która spowodowała zejście śmiertelne, zadana została w czasie snu. Ekspertyzę na piśmie przyślę w poniedziałek.

- Dziękuję, doktorze. - Skarbek był zaskoczony. - Zadzwoń do pana po zapoznaniu się z ekspertyzą.

- Bardzo proszę. Chętnie pomówię z panem o tym przypadku. Ciekawy i nietypowy. Zamierzam go opublikować, jeśli to panu nie przeszkodzi.

- Z przyjemnością dostarczę panu szczegółowych informacji, oczywiście, po zakończeniu śledztwa.

- Zrozumiałem. Czekam na obiecane ustalenia.

Znów luminal. Jak u Rembielińskiej! Ten Kropiwnicki to niegłupi chłopak - pomyślał Skarbek z sympatią o lekarzu. - Jest skłonny przypuszczać, że rana postrzałowa została zadana we śnie. W ten sposób ogłędnie wyklucza wersję samobójstwa.

Sięgnął do szafy i wyjął protokół oględzin miejsca znalezienia zwłok. W pokoju nie znaleziono lekarstw ani recept. Nawet opakowań po lekarstwach. A przecież tabletek luminalu nikt nie nosi luzem. Nowy problem do wyjaśnienia. Czy Irmina sama zażyła tabletki nasenne i ktoś, kto zastał ją we śnie, wykorzystał sprzyjającą okazję? A może ten ktoś stworzył okazję, podając jej np. rozpuszczony w wodzie czy winie luminal, a potem wszedł wiedząc, że dziewczyna śpi? Dlaczego znów ten luminal?! Zbieg okoliczności?! Nie było powiązań pomiędzy śmiercią Irminy a śmiercią Rembielińskiej. Jedyny punkt styczny w obu wypadkach to Wiktor Kościanko. Nie tak mało,

jeśli popatrzeć na to od strony metody. Ale wciąż zbyt wiele niewiadomych.

Zajrzał do notatnika. Na kartce miał wynotowany spis okoliczności wymagających bliższych wyjaśnień. Dopisał informację o luminalu: sprawdzić, czy Adamska leczyła się, jeśli tak, to u jakiego lekarza i czy zapisywał jej luminal. Po chwili zastanowienia przy tych pytaniach obok nazwiska Irminy wpisał Marię Kościanko. Z tabletek będących w jej posiadaniu mógł skorzystać ktoś inny.

## *Rozdział 19*

**W** poniedziałek Skarbek przyszedł do pracy w dobrym nastroju. Niedzielną wycieczka do Kampinosu. Beata czekała na przystanku punktualnie o siódmej rano. Razem spędzili cały dzień w puszczy. Przy powitaniu przeprosiła go za swoje niemądre pretensje. Zrobiło mu się przykro, gdyż z tych przeprosin wynikało, że rzeczywiście nic ich nie łączy, poza koleżeńskimi wspólnymi wypadami.

Beata była jak zawsze miła. Przewędrowali ponad dwadzieścia kilometrów. Zjedli obiad u znajomego leśnika. Kwaśne mleko, potem jakiś gulasz z dziczyzny z grzybami i na zakończenie olbrzymie porcje poziomek ze śmietaną i cukrem. Jedząc medytował, ile tracą mieszkańcy wielkich aglomeracji skazani na mrożonki i przetwory. Wrócili do Warszawy późnym wieczorem, zmęczeni, ale roześmiani i zadowoleni. Po tej wycieczce spał jak suseł. Rano wstał wypoczęty, świeży i w doskonałym nastroju. Z samego rana, jak na zamówienie, zgłosił się porucznik Piotr Raczkiewicz z informacjami o malarzu Andrzeju Portyłło. Jak z nich wynikało, ten sześćdziesięciodwuletni mężczyzna, zamieszkały na Żoliborzu, nie należał wprawdzie do największych twórców współczesności, ale

sprzedawał sporo obrazów. Płacono za nie niezłe ceny. Nabywcy - najczęściej instytucje, przedsiębiorstwa, a nawet ambasady - ozdabiali nimi reprezentacyjne pomieszczenia. Portyło mieszka sam. Kolejna towarzyszka życia odeszła od niego przed paroma tygodniami z jednym z jego modeli. Nie unika alkoholu.

Zaraz po wyjściu Raczkiewicza zjawił się Ryszard Grochowiak. Przyniósł zdjęcia portretu. Były ostre, doskonale zrobione.

- Wspaniale. Dziękuję ci. Ale kiedy je zrobiłeś? Przecież wczoraj była niedziela - spytał Skarbek mile zaskoczony tą niespodzianką.

- Jak to kiedy? - zdziwił się fotograf. - Wczoraj. W sobotę dostałem polecenie na jutro. Po sobocie zwykle bywa niedziela. Sądziłem, że sprawa jest pilna.

- Serdecznie ci dziękuję. - Skarbek pomyślał ze skrucą, że z jego winy Grochowiak stracił część niedzieli. - Jeszcze raz ci dziękuję. Zdjęcie jak na wystawę.

Grochowiak wyszedł zadowolony. Lubił, gdy doceniano jego wysiłki. Marzył o zorganizowaniu wystawy własnych prac. Rzecz nie była prosta. Koniec końców zajmował się zawodowo fotografią śledczą, nie artystyczną.

Po jego wyjściu Skarbek porównał oba zdjęcia. Mimo różnicy wieku podobieństwo twarzy było uderzające. Wybrał się do malarza. Być może pamiętał on młodziutkiego modela, może coś o nim wie?

Portyło zajmował lokal przerobiony ze strychu, w domku zlokalizowanym na jednej z zacisznych, zielonych uliczek Żoliborza. Był mężczyzną średniego wzrostu, lekko otyły, o długich siwych włosach i sinawym, wskazującym na alkoholowe zamiłowanie nosie. Gościa przyjął uprzejmie i wprowadził do pracowni. Miejsca było tu niewiele. Wszędzie obrazy, obrazy i jeszcze raz obrazy. W większości pejzaże, ale także kilka portretów. Pokój z płótnami porozwieszanymi na ścianach,

opartymi o nie, z braku wolnego miejsca gdzieś po-  
układanymi w sterty, robił wrażenie muzealnego magazynu.  
Gospodarz zapraszającym gestem wskazał gościowi taboret, a  
kiedy Skarbek usiadł, przyjrzał mu się uważnie i zaczął węglem  
szkicować jego profil.

- Czy pan przyszedł z czyjegoś polecenia? - spytał po chwili.

- I tak, i nie - odparł Skarbek. - Oglądałem u znajomych  
zrobiony przez pana portret. Podobał mi się. Jest pan tak zna-  
ny, że odnalezienie pańskiego adresu było sprawą prostą.

Portyło przysiadł na taborecie obok gościa.

- Miło to słyszeć - uśmiechnął się. - Napijmy się. - Zdjął z  
półki butelkę z wódką i dwie szklanki. Nalał i podał szklankę  
Skarbkowi. - To rozpuszczalnik - dorzucił.

- Rozpuszczalnik?! - zdziwił się Skarbek, czując zapach al-  
koholu.

- Tak nazywam wódkę. - Malarz uśmiechnął się. - Dlacze-  
go? Każdy człowiek jest w jakiś sposób artystą. W każdym z  
nas są zakodowane jakieś kształty i barwy. Tyle że u większości  
ludzi są one zastygłe, martwe. Żeby je z siebie wydobyć, uży-  
wam rozpuszczalnika. Po rozpuszczalniku świat jest bardziej  
żywy, kolorowy, nie sądzi pan?

- Ciekawa teoria. Myślę, że rozpuszczalnik wywołuje takie  
efekty tylko u nielicznych, i to utalentowanych. U reszty może  
spowodować zmieszanie się barw w błotną masę. - Skarbek  
przyjął sposób wyrażania się gospodarza.

- Ma pan rację. Sam znałem wielu zdolnych malarzy, któ-  
rzy pod wpływem alkoholu tracili zdolność dostrzegania kolo-  
rów. Ich prace stawały się jakieś bezkształtne i bezbarwne.  
Może nawet, jak to powiedział, błotniste. Ale mnie to po-  
maga. Napijmy się - dolał Skarbkowi i ciągnął dalej. - Podobał  
się panu któryś z moich portretów?! Można wiedzieć który?

Skarbek w odpowiedzi wyciągnął z aktówki zdjęcie. Podał je malarzowi.

- Ten.

Portyło popatrzył:

- Świetne zdjęcie. Kto je robił?

- Mój kolega - odparł krótko. Chciał zachować incognito. Wiedział, że twórcy na ogół nie pałają sympatią do przedstawicieli organów ścigania; Poczucie niezależności, swobody myśli i wypowiedzi, tej codziennej i tej twórczej, powoduje z reguły niechęć do tych, którzy reprezentują prawo, stwarzające, konieczne przecież, kanony i bariery.

- Gdzie znajduje się teraz ten portret? - spytał malarz.

- W mieszkaniu pana Wiktora Kościanki. - Rzucił nazwisko ciekaw reakcji gospodarza, ale Portyło sprawiał wrażenie, jakby słyszał je pierwszy raz.

- Ten chłopiec - powiedział - był kiedyś moim sąsiadem. Jego matka, nie pamiętam już ich nazwiska, zacna kobieta, została sama z dwojgiem dzieci. Jej męża skazano na wieloletnie więzienie. Twierdziła, że niewinnie. Była dla mnie bardzo miła. Kiedyś, podczas mojej choroby, opiekowała się mną przez dwa tygodnie. Nie chciała przyjąć pieniędzy. W rewanżu zrobiłem portret jej synowi. Ofiarowałem go w prezencie. Cieszyła się ogromnie.

- Czy nie pamięta pan, jak miał na imię chłopiec?

- Nie, nie pamiętam. Portret zrobiłem szybko. Z chłopcem miałem kontakt przez parę dni. Był zresztą cichy, milczący. Czuło się, że tkwi w nim jakaś zapiekła gorycz, może poczucie krzywdy. Wkrótce potem wyprowadzili się, nie wiem nawet dokąd. Nigdy ich nie spotkałem. To była zacna kobieta - powtórzył. Znów dołał wódki do swojej szklaneczki. - Co pana do mnie sprowadza? - spytał nieoczekiwanie.

- Historia tego portretu i chłopca. - Odpowiedź zabrzmiała nieprzekonywująco.

Malarz popatrzył uważnie na gościa.

- Pań chyba z milicji - rzucił ni to twierdząco, ni to pytająco.

- Tak. Jestem z milicji. Czy to ma jakieś znaczenie?!

Portyło znów popatrzył na niego uważnie.

- Dla mnie nie. Ale dla kogoś chyba ma znaczenie, skoro zainteresował się pan tym portretem i jego modelem.

- Tak. Muszę ustalić nazwisko chłopca. Jest to istotne w pewnej sprawie o zabójstwo.

- Zabójstwo powiada pan? Nigdy nie przypuszczałem, że mój obraz odegra jakąś rolę w takiej sensacyjnej sprawie! Mogę tylko panu podać ich ówczesny adres, a pan już sam trafi do moich byłych sąsiadów.

Skarbek zanotował adres i podziękował za miłą rozmowę.

- Widocznie brak mi selektora barw - rzucił wychodząc - mimo rozpuszczalnika widzę wszystko w niezmiennych kolorach.

Ciekawe - medytował w drodze powrotnej. - Chłopiec mieszkał z matką i siostrą, jego ojciec przebywał w więzieniu. Podobne do historii Butrymów. Skąd ten portret u Kościanki? Czy rzeczywiście kupił go przez przypadek? Jak odnaleźć Butrymów?

Po przyjeździe do komendy zabrał się do wertowania informacji nadesłanych przez niektóre komendy. Z odpowiedzi wynikało, że znaleziono kilku Robertów Małyszów. Tyle że ani wiek, ani rysopisy nie pokrywały się. Co prawda, nie nadeszły jeszcze wszystkie informacje. W poczcie zadekretowanej na jego nazwisko znalazł odpowiedź z warszawskiego biura ewidencji. Wynikało z niej, że Aniela Butrym nie żyje, a jej syn, Romuald, wkrótce po śmierci matki wyprowadził się na Wybrzeże. Skarbek wysłał telefonogram na Wybrzeże. Może podjął pracę w stoczni? - pomyślał.

Zatelefonował do Wiktora Kościanki. Poprosił, żeby jutro wstąpił do niego, do komendy. Chciał pomówić z nim o

portrecie, nie uprzedził go jednak o tym. Lepiej, żeby Kościanko nie zdążył się przygotować do tej rozmowy. Raz jeszcze sięgnął po akta dotyczące samobójstwa Rembielińskiej. Nic nie wskazywało, by miała jakichś bliskich krewnych. Trzeba będzie jednak pomówić z sierżantem Goździkiem. Może kogoś zapamiętał. Kogoś z rodziny zmarłej, kto kontaktował się z nim w tej sprawie. Czyżby brat nie wiedział o jej śmierci? Może wcześniej wyjechał na Wybrzeże i nie zostawił adresu? Muszę to sprawdzić. Ciekawe, kto zajął się pogrzebem? A może Kościanko coś więcej wie o całej tej rodzinie?

## *Rozdział 20*

Wiktor Kościanko przyszedł bardzo wcześnie. Ledwie Skarbek zdążył wejść do biura, zawiadomiono go, że zgłosił się pan Kościanko. Widać był ciekaw, o czym chce z nim rozmawiać Skarbek, być może, próbował gotowością „pomagania” śledztwu zademonstrować swoją obywatelską postawę. Kiedy wszedł do gabinetu i przywitał się ze Skarbkiem, powiedział:

- Przyszedłem z samego rana. Obawiałem się, że później jakieś nieprzewidziane zajęcia mogą spowodować pana nieobecność w biurze. Czy już pan wie, kapitanie, co było przyczyną samobójstwa Irminy?

- Czy nie bierze pan pod uwagę ewentualności, że to nie było samobójstwo? - głos Skarbka zabrzmiał bezbarwnie.

- Niemożliwe. Któż zresztą mógłby dokonać zabójstwa Irminy? Wszyscy ją lubili. Nawet w tym nieschematycznym domowym układzie nie miała żadnych kłopotów z domownikami. Chyba że wchodziłby w grę ktoś spoza kręgu domowników, ale nie wydaje mi się to prawdopodobne. Myślę, że nie miała wrogów. Nigdy też nie słyszałem, żeby Irmina była z



kimkolwiek w konflikcie... A poza tym ktoś z zewnątrz musiałby znać rozkład domu, zwyczaje mieszkańców i psy, które podniosłyby alarm na widok obcego.

- Jest pan pechowcem - stwierdził Skarbek enigmatycznie.

- Dlaczego pan tak sądzi, kapitanie?

- Traci pan najukochańsze osoby - zauważył ogólnikowo, nie precyzując, kogo konkretnie ma na myśli.

- To prawda. Irmina była mi bardzo droga i dlatego tak boleśnie przeżywam tę stratę. Nie jestem sztubakiem, ale proszę mi wierzyć, zakochany w niej byłem jak sztubak.

- No cóż, na wielką miłość nigdy nie jest za późno. Człowiek bez względu na swój wiek zdolny jest do takich uniesień. Rzecz w tym, że nie każdemu dane jest przeżywać je w późniejszym okresie życia. Myślę, że młodzieńcza miłość w niemłodzieńczym wieku to rzecz równie piękna, tyle że bardziej wyniszczająca ze względu na zmniejszoną odporność fizyczną organizmu. Na panu znać wyczerpanie przeżyciami ostatniego okresu.

- Przemawia przez pana doświadczenie i wiedza o życiu. To zdumiewające, że młody człowiek rozumie tak wiele. Zapewniam pana, że dojrzałość i lata nie osłabiają bólu, ułatwiają tylko panowanie nad swymi uczuciami. Człowiek staje się niejako bardziej obyty z przykrościami, z doznawanym bólem.

- Właśnie obycie z przykrościami i doznawanym bólem. To miałem na myśli, mówiąc że jest pan pechowcem.

- Nie rozumiem - w głosie Kościanki zabrzmiał niepokój.

- Irmina nie jest chyba pierwszą ukochaną, która pana opuściła?

- Czyżbym był inwigilowany? - w głosie Kościanki zdziwienie z nutką oburzenia.

- Nie. Po prostu musiałem sprawdzić przeszłość wszystkich

osób, wśród których żyła Irmina. Myślę, że pan jako prawnik nie powinien się temu dziwić.

- Oczywiście. Przyzna pan jednak, że świadomość, iż ktoś wnika w moje życie prywatne, nie jest przyjemna. Może mi pan wyjaśni, kapitanie, co miał pan na myśli, mówiąc o kobietach, które mnie opuściły? Po co ta zabawa w chowanego?

- A więc dobrze. - Skarbek obserwował twarz rozmówcy. - Pozwoli pan jednak, że to ja będę zadawał pytania. Proszę mi powiedzieć, ile kobiet odeszło od pana w zaświaty?

- To przykre pytanie, ale skoro już padło... Straciłem trzy kobiety.

- Może je pan wymienić z nazwiska? - Skarbek wiedział tylko o dwóch, trzecia była zaskoczeniem.

- Dziesięć lat temu poznałem Ewę Malicką. Miała wówczas dwadzieścia cztery lata. Była absolwentką prawa. Pomagałem jej. Któregoś dnia przyjechałem do niej i zastałem drzwi zamknięte. Zdziwiłem się, ponieważ byliśmy umówieni, sądziłem więc, że na mnie czeka. Zdenerwowany, zacząłem się dobijać, ale nadal nikt nie odpowiadał. W pewnej chwili poczułem gaz. Wezwałem dozorcę. Wyłamał drzwi. Znaleźliśmy Ewę leżącą na tapczanie. Była już martwa. Otruła się gazem. Nie zostawiła żadnego listu. Do dziś nie rozumiem, dlaczego to zrobiła. Resztę zapewne pan zna z akt sprawy. Przeprowadzono wówczas dochodzenie. Długo nie mogłem się otrząsnąć. - Wydawało się, że Kościanko jeszcze teraz przeżywa śmierć tamtej dziewczyny. - Później poznałem Małgorzatę Rembielińską. Była urocza. Przy niej zapomniałem o Ewie.

Pominął milczeniem historię z Sokolicz - pomyślał Skarbek. - Tyle że Sokolicz nie umarła, a wyjechała do Anglii.

- Byłem z nią szczęśliwy - ciągnął dalej Kościanko. - Niedługo... Historia znów się powtórzyła. Przyjechałem kiedyś i - w głosie Kościanki drżenie - zastałem Małgorzatę martwą.

Stwierdzono, że popełniła samobójstwo. Otruła się luminałem. Nie sądziłem wtedy, że się jeszcze kiedykolwiek zakocham. Okazuje się, że nie wszystko można przewidzieć. Dwa lata temu poznałem Irminę Adamską. Od pierwszej chwili wiedziałem, że będzie to moja wielka miłość. I rzeczywiście... kochałem ją bardzo... proszę mi wierzyć... a teraz jej także już nie ma... - Kościanko dyszał ciężko.

- Z tego wynika, że nie myliłem się, nazywając pana pechowcem?

- Nie mylił się pan. Niestety. Widocznie ciąży nade mną jakieś fatum.

- Może nie tyle nad panem, co nad pana partnerkami - poprawił go Skarbek.

- Nie pomyślałem o tym. Przecież ja żyję.

- Wracając do sprawy pani Malickiej. Gdzie i kiedy pan ją poznał? - Skarbek starał się zlokalizować w czasie i miejscu ten przypadek.

- Stało się to w moje czterdzieste siódme urodziny. Spędzałem je w pociągu. W wagonie restauracyjnym. Było tylko jedno wolne miejsce. Przy dwuosobowym stoliku. Drugie zajmowała Ewa. Tak się poznaliśmy. Później pomogłem jej znaleźć mieszkanie na Saskiej Kępie. Tam popełniła samobójstwo.

- A kiedy i gdzie poznał pan Małgorzatę Rembielińską? - Uzyskane informacje o Malickiej wystarczyły, żeby odszukać akta, a przed zaznajomieniem się z nimi Skarbek nie chciał wdawać się w szczegóły.

- Małgorzatę też poznałem w podróży. Nie pamiętam dobrze, w jakich to było okolicznościach. Chyba szukała taksówki. Podwiozłem ją. Lubilem wyświadczać uprzejmości, zwłaszcza ładnym kobietom.

- Czy pan zajmował się jej pogrzebem? - strzelił na chybił trafił.

- Tak. Rodzice Małgorzaty nie żyli. Podobno miała brata, ale nie utrzymywała z nim stosunków. Krewnych nie znałem. Nie znałem także adresu jej byłego męża. W tej sytuacji sam

musiałem zorganizować tę smutną uroczystość. Za konduktem szedłem tylko ja. Wówczas uzmysłowiłem sobie, że poza mną nie miała nikogo.

- Tak, to rzeczywiście tragiczny zbieg okoliczności. Wymęczyłem pana. Zmieńmy temat na mniej osobisty. - Skarbek robił wrażenie zatroskanego. - Pomówmy trochę o sztuce. Wprawdzie jestem w tej dziedzinie laikiem, za to pan, jak zauważyłem, interesuje się obrazami.

- Istotnie. Obrazy to moje hobby. Mam ich wiele. Zresztą widział pan.

- Myślę, że najbardziej lubi pan malarstwo portretowe...

- Skąd to przekonanie?

- W pańskim gabinecie wisi portret. Sądzę, że w pokoju, w którym spędza pan najwięcej czasu, powiesił pan to, co lubi najbardziej?

- Trafne spostrzeżenie. Wprawdzie portret chłopca nie jest dziełem sztuki, to jeden z mniej wartościowych obrazów w mojej kolekcji, ale rzeczywiście, bardzo go lubię.

- Zapewne dlatego, że wiąże się z jakimś miłym przeżyciem?

- Nie, nie - Kościanko zaprzeczył gwałtownie, zbyt gwałtownie. - Właściwie nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Fascynuje mnie twarz chłopca, z niej po prostu emanuje młodość... a i we mnie, mimo upływu lat, jest chyba coś młodszy...

- Czy to prezent od kogoś? - Skarbek chciał ustalić, w jaki sposób portret znalazł się w posiadaniu Kościanki.

- Nie, to był przypadek. Byliśmy kiedyś z Małgorzatą w sklepie Desy i ona zwróciła uwagę na to właśnie płótno. Namówiła mnie na kupno. Dopiero teraz, podczas rozmowy z panem, uświadomiłem sobie, że, być może, dlatego właśnie lubię ten portret, ponieważ wybrała go Małgorzata.

- Czy nie mówiła, że chłopiec z portretu kogoś jej przypomina?

- Nie. Powiedziała tylko, że uosabia młodość. A czy pan sądzi, kapitanie, że ów model przypominał jej kogoś ze znajomych czy krewnych?

- Tego właśnie chciałem się dowiedzieć od pana - uchylił się od odpowiedzi Skarbek.

- Nie wiem. Doprawdy nie potrafię pomóc panu w wyjaśnieniu tej sprawy. Myślę, że urzekła ją właśnie ta młodość. Powiedziała wówczas: „Ten chłopiec to odbicie twojej duszy”.

- Dziękuję panu za przybycie i rozmowę. Czy jeśli jeszcze raz będę musiał pana niepokoić, wybaczy mi pan tę przykrość?

- Zawsze jestem do pana dyspozycji. Jest pan przemitym rozmówcą - Kościanko wyraźnie starał się pozyskać sympatię Skarbka.

Po jego wyjściu Skarbek polecił odszukać akta dotyczące gwałtownej śmierci Ewy Malickiej. Później wyjął z szuflady zdjęcie portretu i długo je oglądał. Młodość. Uosobienie młodości. Czy tylko to?

Poprosił do gabinetu trzy pracownice komendy oraz trzech mężczyzn, w tym Piotra Raczkiewicza. Pokazał im fotografię obrazu.

- Chciałbym, żeby każdy z was powiedział mi, jakie budzi w nim ten portret skojarzenia, co uosabia.

Odpowiedzi były zbliżone: zaduma, przedwczesna gorycz, nieufność do świata, dziecko, któremu zrobiono krzywdę.

Ciekawe - pomyślał po ich wyjściu - ja podobnie odebrałem ten obraz. Dlaczego Małgorzata i Kościanko dostrzegli w wyrazie twarzy chłopca tylko młodość? Czy ten sam obiekt może budzić krańcowo różne odczucia?

## *Rozdział 21*

Akta dotyczące śmierci Ewy Malickiej (podobnie jak akta dotyczące samobójstwa Małgorzaty Rembielińskiej) nie były zbyt grube. Zwłoki znaleźli Wiktor Kościanko i dozorca domu. Ustalono, że przyczyną śmierci było zatrucie gazem. Jedna informacja zastanowiła Skarbka. Z przesłuchania dozorca wynikało, że znał Kościankę już wcześniej, wiedział, iż jest przyjacielem Ewy, że ją często odwiedzał, a nawet dysponował kluczami do jej mieszkania.

Nie wspomniał o tym - pomyślał kapitan. - Ale skoro miał klucze, dlaczego wzywał dozorcę do wyłamania drzwi? W aktach nie ma odpowiedzi na to pytanie. Albo przegapili ten istotny szczegół, albo zapomnieli go udokumentować... Z akt wynikało, że dochodzenie w tej sprawie prowadził plutonowy Zbigniew Skorupski. Skarbek zetknął się z nim kilkakrotnie. W ubiegłym roku Skorupski zginął, ratując tonące w Wiśle dzieci. Od niego więc niczego się już nie dowie. Pozostają tylko akta. Wertowanie papierów przerwała mu sekretarka. Zameldowała, że zgłosił się sierżant Goździk z Płocka. Skarbek podsunął przybyłemu akta dotyczące śmierci Rembielińskiej.

- To była wasza sprawa, sierżancie. Chciałbym, żebyście po przejrzeniu tej teczki spróbowali sobie odtworzyć fakty i okoliczności.

Sierżant Goździk szybko przerzucił podane mu dokumenty.

- Tak, pamiętam tę sprawę. Uczestniczyłem w oględzinach. To była piękna dziewczyna. No cóż, widać sama uroda szczęścia nie zapewnia, skoro taka młoda i ładna kobieta targnęła się na życie - westchnęła trochę filozoficznie, odkładając teczkę na biurko.

- Chciałbym wiedzieć, czy zawiadomiono rodzinę o jej śmierci. Czy ktoś się zjawił i kto porozumiewał się z wami w sprawie pogrzebu. Chodzi mi o to wszystko, co zapamiętaliście

z tej sprawy, a czego nie ma w aktach. Interesują mnie wszystkie szczegóły.

- Muszę się zastanowić. - Goździk przesunął ręką po czole.  
- To było tak dawno. Pytałem tego jej przyjaciela, Kościankę, czy zna kogoś z rodziny denatki. Oświadczył mi wtedy, że nie miała krewnych. Chciałem to sprawdzić, odnalazłem więc poprzedni adres Rembielińskiej. Dowiedziałem się, że jej rodzice nie żyli. Z książki meldunkowej wynikało, że miała brata, ale nie udało mi się go odszukać. Nieznane było też miejsce zamieszkania jej byłego męża. Tym ostatnim specjalnie się nie przejmowałem. W końcu były mąż nie musiał być zainteresowany losami byłej żony. Kościanko zajął się pogrzebem. Sam na ten pogrzeb poszedłem. Żał mi było dziewczyny. Trzymałem się trochę z dala. Kościanko mnie nie widział. Nie chciałem sprawiać wrażeń, że milicja nadzoruje i takie obrządki. Stałem przy sąsiednim grobie. Obok jakiegoś młodego człowieka. Wymieniliśmy poglądy na temat życia i śmierci. Zrobiłem jakąś uwagę, że po śmierci łatwo się zapomina o człowieku, na tym pogrzebie nie było nikogo w żałobie. Wówczas popatrzył na mnie uważnie, posmutniał i zaraz odszedł. Pomyślałem, że musiał być dobry z natury, jeśli wzruszyła go czyjaś pośmiertna samotność.

- Czy pamiętacie, jak ten młody człowiek wyglądał?

Goździk usiłował odtworzyć rysopis. Nie bardzo mu to wychodziło. Skarbek podsunął mu zdjęcie.

- Czy był podobny do któregoś z tych młodych ludzi?

Goździk przyglądał się im długo i kręcił głową.

- Nie wiem. Naprawdę nie potrafię powiedzieć ani tak, ani nie. Jeśli przypomnę sobie coś jeszcze, zadzwonię - mówił ze zmartwioną miną. - Gdybym wiedział, że to może się okazać potrzebne...

Po jego wyjściu Skarbek zdecydował się na rozmowę z zorzecą domu, w którym mieszkała Ewa Malicka. Zastał go przy myciu klatki schodowej.

- Dzień dobry, panie Czarnkowski!
- Dobry, dobry. - Dozorca rozprostował się, przyjrzał Skarbkowi. - Coś mi się zdaje, że ja pana widzę pierwszy raz. A może nie zapamiętałem twarzy...
- Fakt. Nie zna mnie pan. Jestem z milicji. - Skarbek wyciągnął legitymację.
- Już myślałem, że to skleroza, bo nijak nie mogę sobie pana przypomnieć. O co chodzi?
- Chciałem z panem chwilę pogadać.
- Stało się co w tym domu? - Czarnkowski był trochę zaniepokojony tą nieoczekiwaną wizytą. - Chodźmy do mnie - powiedział.
- Rozsiedli się w służbówce przy wielkim staromodnym stole.
- Ja w starej sprawie - zaczął Skarbek. - Pamięta pan Ewę Malicką? Mieszkała w tym domu.
- Ta, co się otruła? Co nie mam pamiętać?! Szumu było tyle. Ładna dziewczyna, a ten starszy facet, co ją tu stale odwiedzał, miał limuzynę. Chyba jakaś figura...
- Właśnie o nim chciałem z panem pomówić. Często bywał u Malickiej?
- Trudno tak dokładnie powiedzieć. Człowiek stale nie siedzi przy bramie ani w oknie. Widywałem go ze dwa, trzy razy w tygodniu. Nieraz widziałem tylko limuzynę, wtedy wiedziałem, że jest u Malickiej.
- Czy zdarzało się, że przyjeżdżał, a jej nie było w domu?
- Bywało. Ale on miał swoje klucze, czekał na nią w mieszkaniu. Kiedyś natknąłem się na niego na schodach. Właśnie otwierał sobie drzwi. Na dole spotkałem panią Malicką, dopiero wracała. Powiedziałem jej, że pan już przyszedł. Wtedy wyjaśniła, że on ma swoje klucze. Za jej wiedzą i zgodą.
- Jak to było tego dnia?
- On sam wpadł do mnie. „U Malickiej czuć gaz i nikt nie odpowiada na pukanie” - powiedział. Chciał, żebym szedł z nim na górę. Zdziwiłem się, wiedziałem, że ma swoje klucze.



„Dlaczego pan sam nie otworzy drzwi?” - spytałem. A on na to, że poprzednim razem zapomniał kluczy i zostały w jej mieszkaniu.

- Zabrałem narzędzia, poszliśmy na górę. Od razu poczułem, że gaz ulatnia się z jej mieszkania. Wyważyłem drzwi. Buchnęło jak z gazowni. Wszedłem, otworzyłem okna, zamknąłem kurki od gazu. Malicka leżała na kanapie. Wezwaliśmy lekarza i milicję, ale było już za późno.

- Znalazły się te klucze, które u niej zostawił?

- Tego to ja nie wiem. Potem to już milicja robiła swoje. Może i znaleźli.

- Przesłuchiwano pana tego samego dnia. Dlaczego wtedy nie powiedział pan o kluczach?

- Nie mówiłem? Może i nie mówiłem. Wie pan, jestem człowiek nerwowy. Z tych nerwów pewnie zapomniałem albo mnie o to nie pytali.

- Czy oprócz tego starszego jegomościa ktoś jeszcze był u Malickiej?

- Nie. Nikt do niej nie przychodził. Nawet mnie to zdziwiło. Młoda i ładna, a tylko takiego starego znalazła, mógłby być jej ojcem. Ale jak się ma taką limuzynę, to może i lata nieważne. Elegancki był, nie można powiedzieć. Forsy musiał mieć jak lodu. Raz kazał umyć auto, dobrze zapłacił. I wrażliwy był człowiek, kiedy zobaczył Malicką martwą na tapczanie, o mało nie zemdlął.

Sprawę kluczy - pomyślał Skarbek wracając do siebie - niełatwo będzie wyjaśnić.

W komendzie czekała na niego Marta Bońko.

- Czemu zawdzięczam tę przyjemność pani Marto? - spytał z uśmiechem.

- Widziałam Roberta. Jechał autobusem. Poznał mnie. Machnął ręką na powitanie. Pożyczyłam panu jego zdjęcie. Czy jest potrzebne?

- Sądziłem, że mogę je zatrzymać. Ale jeśli pani zależy na nim, odeślę je jutro, zgoda?

- Zgoda. Ja nie tylko o to zdjęcie. Głupia sprawa. Reżyser zaczął się do mnie zalecać. Ostudziłam go trochę. W pewnej chwili powiedział mi: „Niech pani uważa, bo inaczej skończy pani jak Irmina”. Sądziłam, że ta rozmowa i aluzja pomoże w wyjaśnieniu przyczyn śmierci Irminy. Cóż to za ohydny typ - dodała z nieukrywanym wstrętem.

- Bardzo pani dziękuję. Gdyby pani zauważyła bądź usłyszała coś jeszcze, proszę o informację. Zdjęcie odeślę jutro, tak jak obiecałem.

- Po co odsyłać? Nie mógłby pan zwrócić mi go osobiście? Chętnie zrewanżowałabym się zaproszeniem na kawę - uśmiechnęła się.

- Chętnie skorzystam z zaproszenia - wykręcił się.

- Ma pan mój telefon, adres. Wie pan gdzie mnie szukać. Bardzo proszę, niech pan pamięta o tej rewanżowej kawie.

Skinął głową. Odetchnął z ulgą, kiedy wyszła. Zaraz też porozumiał się z fotografem.

- Zrób mi kilka odbitek tego zdjęcia. Koniecznie na jutro. - Nie zamierzał stwarzać Marcie pretekstu do ponownych odwiedzin.

Sięgnął do szafy, wyjął medalion i breloczek. Czy możliwe, żeby Irmina zabrała to cacko bez wiedzy Kościanki? Właściciel twierdzi, że medalion zginął mu dość dawno. Przyjrzał się zdjęciu Wiktora umieszczonemu w medalionie. Sądząc z jego miniaturowych wymiarów, chyba wycięto twarz Kościanki z jakiegoś zdjęcia grupowego lub wykonanego z dużej odległości - pomyślał, odkładając medalion z powrotem do pancерnej szafy.

Poczuł zmęczenie. Wciąż nie potrafił znaleźć klucza, pozwalającego połączyć wszystkie informacje w jeden logiczny, konsekwentny ciąg. Trochę oddechu dobrze mi zrobi - zdecydował - może wówczas spojrzę na sprawę odświeżonym wzrokiem.

Wybrał się na spacer. Bez określonego celu. W Saskim Ogrodzie, pełnym ludzi, ktoś pociągnął go za rękę. Obejrzał się.

- Beata! Co ty tu robisz?

- Jakoś duszno jest dzisiaj, więc chciałam trochę posiedzieć w parku. Ale co ty tu robisz? Sądziłam, że nie masz czasu na takie przyjemności. Może czekasz tu na kogoś? - powiedziała z mieszaniną ironii i niepokoju.

- Ty znów swoje. Po prostu wylazłem trochę na powietrze, mózg też potrzebuje tlenu.

- Przepraszam - zawstydzila się. - Tak mi się jakoś głupio wyrwało. Nie gniewasz się?

- Nie. Ani trochę - połapał się, że te przejawy zazdrości sprawiły mu przyjemność. - Chodźmy na lody.

Usiedli na tarasie Hotelu Europejskiego.

- Wiesz co, Beata, mam pomysł - zaczął.

- Jaki? - spojrzała na niego z zaciekawiona.

- Idziemy dziś do „Krokodyla”. Zgadzasz się?

- Zwariowałeś?! Tam trzeba mieć kupę forsy!

- Nie szkodzi. Mam ochotę na ten wypad. Idź do domu i zrób się na bóstwo. Ja także przebiorę się i przyjadę po ciebie.

O dwudziestej pierwszej przyjechał po Beatę. I oniemiał. Jeszcze jej takiej nie widział. Na wspólne wycieczki ubierała się sportowo. Teraz włożyła sukienkę z dekoltem odsłaniającym prawie całe plecy. Wyglądała oszałamiająco. Dyskretny maki-  
jaż podkreślał jej urodę.

- Jesteś urocza - powiedział dziwnie cicho i nieśmiało.

- A ty wspaniała - pocałowała go w nos.

Kierownik sali poznał go. Zrobił przy tym oko do Skarbka i podniósł znacząco do góry kciuk, wyrażając tym uznanie dla jego gustu. Zaprowadził ich do stolika informując, że kelner zaraz się zjawi. Wziął mnie za podrywacza - pomyślał Skarbek z humorem. - Nic dziwnego. W ciągu paru dni jestem tu drugi

raz i za każdym razem z inną. No, dziś nie muszę dzwonić do dyżurnego po forszę...

Odwiózł Beatę do domu około drugiej w nocy. Była szczęśliwa.

- Nie pomyślisz o mnie źle?
  - Nie, a dlaczego miałbym tak myśleć?!
- Beata spuściła głowę i powiedziała cicho:
- Wejść do mnie.

## *Rozdział 21*

Jadwigę Maniewicz, pierwszą żonę Wiktora Kościanki, Skarbek wezwał na godzinę dwunastą. Miał więc jeszcze sporo czasu. Postanowił go wykorzystać na sprawdzenie, kim byli sąsiedzi malarza Portyły. Już wcześniej ustalił, że w tym samym domu mieszkała w owym okresie Aniela Butrym z dziećmi. Portyło nie zapamiętał nazwisk sąsiadów, o których Skarbkowi opowiadał, nie podał też numeru mieszkania. Należało sprawdzić, czy ową sąsiadką była Aniela Butrym, czy też inna wdowa z dziećmi.

Kapitan chciał mieć absolutną pewność. Zabrał ze sobą zdjęcie portretu oraz zdjęcie Roberta z Martą Bońko i pojechał osobiście.

Zaczął od przejrzenia ksiąg meldunkowych budynku liczącego trzydzieści sześć lokali. Okazało się, że w owym interesującym go okresie oprócz Anieli Butrym mieszkały tu jeszcze cztery wdowy. Syn jednej z nich, Henryk, był rówieśnikiem Romualda Butryma. Także on mógł być modelem Portyły. Jego matka, Amelia Bąkowska, wciąż jeszcze mieszkała pod tym samym adresem. Postanowił od niej zacząć.

Drzwi otworzyła mu czterdziestoparoletnia kobieta.

- Pan do kogo? - zapytała.
- Do pani Amelii Bąkowskiej.

- To ja. O co chodzi?
- Jestem z milicji. Chciałem z panią porozmawiać.
- Z milicji? - w oczach kobiety zdziwienie, niepokój. - Proszę, niech pan wejdzie.

Jednym spojrzeniem ogarnął wnętrze. Nowoczesne umeblowanie i trochę skłócony z tą niezbyt drogą nowoczesnością stary sekretarzyk, ze stojącą na nim fotografią młodego mężczyzny. Gęste kędzierzawe włosy, duże brwi i nos, mięsiste usta, duże uszy. Nie, ten nie mógł być modelem Portyły.

- O co chodzi? - powtórzyła pytanie, gdy już oboje usiedli.
- Nie mamy do pani żadnych zastrzeżeń - uspokoił Skarbek rozmówczynię. - Chciałbym pogadać o dawnych pani sąsiadach. Czy to pani syn? - spytał wskazując na fotografię.
- Tak. Wyprowadził się stąd po ślubie. O kim pan chciał ze mną mówić?

Skarbek wyciągnął zdjęcie portretu.

- Nie wie pani, czyj to portret? Zna pani może modela?
- Ależ to portret Romusia. Romusia Butryma, kolegi mego Henia. Oni mieszkali w tym domu. Matka z dwojgiem dzieci: Romusiem i rok starszą od brata Małgosią. Już dawno się wyprowadzili. Parę lat temu spotkałam Małgosię. Mówiła mi, że matka nie żyje, a Romuś wyjechał z Warszawy. Ten portret namalował malarz z tego domu, nie pamiętam dokładnie jego nazwiska, i dał go w prezencie Butrymowej. Niedługo u nich wisiał. Butrymowa opowiadała, że go sprzedawała jakiemuś znajomemu, zbieraczowi obrazów. Byli wtedy w bardzo trudnych warunkach, a ten znajomy dobrze zapłacił.
- Czy po wyprowadzeniu się Butrymów spotkała pani jeszcze kiedyś Romusia?
- Nie, nigdy go więcej nie widziałam.
- A czy pani syn utrzymywał z nim kontakt?

- Nie. Raczej nie. Kiedy mu opowiedziałam o spotkaniu z Małgosią, zaraz zapytał o Romusia.

- To już wszystko. Dziękuję pani za informacje.

- Dlaczego pan poszukuje Romusia? - spytała, gdy stał już w drzwiach. - Coś zbroił? Niemożliwe! To był spokojny chłopiec. Tyle że milczący i skryty.

- Nie, to nie o niego chodzi. Szukam jego kolegi, Roberta Małysza - skłamał. - Czy to nazwisko nic pani nie mówi?

- Nie. Widocznie to jego kolega z późniejszych czasów.

Wrócił do komendy. Dziwne - myślał idąc do siebie. - Po co Wiktor Kościanko, koronny świadek w sprawie przeciwko Zygmunтови Butrymowi, sprawca nieszczęścia całej rodziny, kupuje portret jego syna? Wyrzuty sumienia? Chęć pomocy? A może to nie on był pierwszym nabywcą? Czy to możliwe, żeby matka Romusia sprzedała portret syna człowiekowi, który zgubił jej męża? Kościanko twierdził, że kupił portret w Desie, że do tego kupna namówiła go Małgorzata Rembielińska. Pustak oświadczył, że obraz wisi w gabinecie Kościanki od ośmiudziiesięciu lat, a więc znacznie wcześniej niż datowała się znajomość Wiktora z Rembielińską. Dlaczego córka Butryma związała się ze sprawcą nieszczęścia jej ojca? Nie znała go przedtem? Nic o nim nie wiedziała? Mnożyły się pytania. Wyjaśnień mógłby może udzielić Romuald Butrym. Trzeba go koniecznie odnaleźć. Jego i jego sobowtóra, Roberta Małysza. Tylko czy to rzeczywiście jego sobowtór? Jakie znaczenie ma ten portret dla Kościanki, dlaczego wisi w jego gabinecie?

Rozmyślenia przerwała mu sekretarka informując, że zgłosiła się pani Jadwiga Maniewicz.

Pierwsza żona Wiktora wyglądała bardzo młodo, najwyżej na trzydzieści pięć lat, choć naprawdę miała około pięćdziesiątki. Czas nie zniszczył regularnych rysów, nie zatarł śladów urody. Była naprawdę piękna. Jasnopielaty, skromny kostium

świadczył o elegancji i prostocie. Krótko przycięte włosy, dyskretny, prawie niewidoczny makijaż. Tak, to była dama. Gestem zaprosił ją do zajęcia miejsca.

- Nazywam się Ryszard Skarbek - przedstawił się. - Jestem kapitanem milicji. - Wiedział, że ludzie tego rodzaju przywiązują dużą wagę do form. Chciał wywrzeć dobre wrażenie. Uławić sobie rozmowę.

- Dziękuję panu. Jest pan bardzo miły - Jadwiga Maniewicz usiadła na wskazanym jej krzeselku. - Czy mogę wiedzieć, czemu zawdzięczam to zaproszenie? - powiedziała „zaproszenie”, chociaż na urzędowym druku był napis „wezwanie”.

- Trudno mi to wyjaśnić jednym zdaniem. Chciałem zadać pani kilka pytań na tematy osobiste. Pan Maniewicz jest drugim mężem pani?

- Tak. Był moim drugim mężem. Zmarł w ubiegłym roku.

- Przepraszam za tę niezręczność - sumitował się wściekły na tych, którzy ustalając adres nie poinformowali go o śmierci Maniewicza.

- Czy pan chciał ze mną mówić o moim zmarłym mężu? - spytała z nutką zdziwienia.

- Nie. Jeszcze raz panią przepraszam. Interesuje mnie Wiktor Kościanko, pierwszy mąż pani.

- Wiktor?! Od kilkunastu lat nie utrzymuję z nim żadnego kontaktu. Cóż mogę o nim powiedzieć? Skąd to zainteresowanie nim właśnie? Czyżby wszedł w kolizję z prawem? To raczej do niego niepodobne.

- Zginęła od kuli młoda kobieta. Zdarzyło się to w domu pana Wiktora Kościanki. Ona tam mieszkała, nie była mu obojętna. Dlatego musimy wyjaśnić wiele różnych okoliczności i sięgnąć w przeszłość.

- Mówi pan, że była młoda i nieobojętna Wiktorowi. Czyżby rozwiódł się z Anną? Chyba musiał się z nią rozwieść, skoro ta młoda kobieta zamieszkała w jego domu. Los nie okazał się

łaskawy dla Anny. Do-świadczyła tego samego, co ja przed laty z jej powodu.

- Pan Kościanko nie rozwiódł się z panią Anną, mieszkają nadal razem. Faktem jest, że mieszkała tam także inna kobieta, związana z byłym mężem pani.

- Rozumiem. To jeszcze gorzej dla Anny. Taki trójkąt! Współczuję jej. Powiedział pan, że ta kobieta zginęła od kuli. Czy popełniła samobójstwo?

- To właśnie muszę wyjaśnić. A okoliczności sprawy wiążą się w jakiś sposób z przeszłością, dlatego chciałem z panią pomówić.

- Czy mam tę rozmowę traktować jako oficjalne przesłuchanie?

- Niestety tak. W zasadzie, gdyby nasza rozmowa dotyczyła tylko pana Kościanki, mogłaby pani odmówić zeznań. Chciałem jednak zadać pani kilka pytań dotyczących innych osób. Ma pani prawo nie odpowiadać na te pytania, które mogłyby narazić pana Wiktora na odpowiedzialność karną.

- Nie mam nic do ukrywania. Odpowiem panu na każde pytanie i nie skorzystam z prawa odmowy zeznań. Proszę pytać. Co chce pan wiedzieć?

- Czy zna pani nazwisko Butrym?

Na twarzy pani Maniewicz zakłopotanie.

- Tak. Znam to nazwisko. Butrym pracował razem z Wikto-rem, a ściślej był jego podwładnym. Wiktor piastował wówczas stanowisko w urzędzie do spraw repatriacji. Butrym kierował sprawami gospodarczymi, podlegały mu także magazyny, w których przejściowo zabezpieczano wartościowe mienie. Przypominam sobie, że dopuścił się jakiejś malwersacji. Został skazany.

- Co było przedmiotem tej malwersacji?

- Dokładnie nie wiem. Coś słyszałam o jakichś srebrach.

- Czy państwo mieli w domu jakieś srebra?

- Tak. Komplet sztućców na dwanaście osób i sześciobo-  
bowy komplet do czarnej kawy. Przepraszam, było jeszcze  
lustro w srebrnej ramie. To wszystko.



- Czy nie posiadali państwo srebrnej zastawy stołowej na kilkadziesiąt osób?

- Nie.

- Czy znała pani osobiście rodzinę Butryma? - Skarbek postawił to pytanie dla porządku. Nie sądził, że osoba tego pokroju utrzymywała stosunki towarzyskie z rodziną zwykłego pracownika.

Nieoczekiwanie dla niego samego pytanie okazało się kłopotliwe dla Maniewiczowej.

- Trudno mi odpowiedzieć jednoznacznie na to pytanie. Nie znałam tej rodziny w sensie utrzymywania z nimi stosunków towarzyskich. Znałam panią Anielę Butrym. Wiktor był zawsze kobieciarzem. I ona odegrała jakąś rolę w jego życiu. Zorientowałam się kiedyś, gdy wcześniej, niż zapowiedziałam, wróciłam z podróży do domu. Zastałam panią Butrym. Jej strój wyjaśnił wszystko. Trzeba przyznać, że była wówczas młodą, bardzo ładną kobietą. Później spotkałam ją raz jeszcze. Przyszła do nas, gdy aresztowano jej męża. Twierdziła, że napisał do niej z aresztu i że o wszystko obwiniał Wiktora. Odbyliśmy wówczas rozmowę we troje. Wiktor wyjaśnił, że Butrym oczernia go z zemsty za romans z jego żoną. Już po wyroku skazującym Butrym przysłał list adresowany do mnie. Twierdził, że jest niewinny, że to Wiktor go wrobił po to, by żyć z jego żoną, z którą od dawna łączyły go zażyłe stosunki. Insynuował nawet, że Wiktor jest ojcem Romualda. List tchnął nienawiścią. Zrozumiałam, że Butrym w ten sposób chce się zemścić na Wiktorze. List zniszczyłam, nie mówiłam o nim mężowi. Moim zdaniem, Wiktor nie byłby zdolny do takiej podłości. To Butrym okazał się nikczemnikiem. Oskarżał mego byłego męża o przwłaszczenie sobie przedmiotów, za kradzież których jego, Butryma, skazano. W tym czasie Wiktor nie utrzymywał już stosunków z Butrymową. - Jadwiga Maniewicz mówiła z głębokim przekonaniem i oburzeniem.

- Butrym nie żyje. Popełnił samobójstwo w więzieniu. Nie

żyje także jego żona. Zmarła przed kilkoma laty.

Na twarzy Jadwigi Maniewicz wyraz zaskoczenia, jakby zawstydzenia, że atakowała zmarłych.

- Nie wiedziałam, że oboje nie żyją. To smutne zakończenie tej niewesołej historii - dodała.

- Czy nic więcej pani nie pamięta?

- Nie. Mogę tylko dodać, że nawiązała ze mną kontakt siostra Butrymowej, Maria, zamieszkała gdzieś pod Warszawą. Chciała, bym skłoniła Wiktora do zerwania stosunków z Butrymową. Mówiła mi, że Butrymowa zwierzała się jej z miłości do Wiktora, a ona uważała, że owa miłość grozi rozpadem rodziny. Myślę jednak, że taka kobieta jak Butrymowa, mimo urody, nie mogła na dłużej zatrzymać Wiktora. Nie była indywidualnością. Ich kontakty miały charakter sporadyczny. Gdyby Wiktor traktował tę znajomość poważnie, nie mogłabym tego nie dostrzec.

- Bardzo pani dziękuję. Pomogła mi pani zrozumieć wiele niejasnych dotąd kwestii. Proszę przeczytać i podpisać protokół.

Jeszcze jedna osoba do odszukania - myślał po wyjściu Maniewiczowej. - Ciekawe, czy siostra Anieli Butrym, Maria, wniesie do sprawy coś nowego?

## *Rozdział 23*

Skarbek zabrał się do przejrzania poczty. Dwie ekspertyzy. Z jednej wynikało, że włókienko znalezione na balustradzie tarasu willi Kościanków pochodzi z pledu, który leżał w pokoju Irminy. Odłożył ekspertyzę zniechęcony. Nic interesującego. Włókienko mogło przylgnąć do balustrady przy okazji na przykład trzepania pledu.

Druga dotyczyła ostatniego listu Irminy. Otóż stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że było to jej pismo. Ustalono to na

podstawie porównań z ankietą złożoną w biurze dowodów osobistych oraz z ankietą personalną w dziale kadrowym teatru. Na liście zachowały się ślady linii papilarnych. Dwa były odciskami palców Irminy, dwa inne pozostawił Leon Cieślik. Ujawniono też inne, jeszcze niezidentyfikowane ślady linii papilarnych. Czyje? Nie można wykluczyć - rozważał Skarbek - że pozostawił je ktoś na czystym papierze, na przykład, sprzedawca tego papieru. Jeszcze jedna niewiadoma do rozszyfrowania - zanotował w myśli.

Z informacji nadesłanej z Wybrzeża wynikało, że Robert Małyśz i Romuald Butrym byli absolwentami tej samej, dwuletniej pomaturalnej szkoły laborantów. Zatem znali się. Obaj przyjechali na Wybrzeże i podjęli pracę w stoczni. Przed czterema laty obaj wyjechali na roczny pobyt do Anglii. Na zaproszenie znajomego ojca Roberta Małyśza. Po sześciu miesiącach wrócił tylko Małyśz. Romuald Butrym - jak się okazało z nadesłanego przez Konsulat Polski w Londynie komunikatu - zginął w wypadku samochodowym.

Po parotygodniowym pobycie na Wybrzeżu Małyśz wyjechał w nieznanym kierunku. Komenda gdańska dołączyła do tych informacji kartkę pocztową adresowaną do Zbigniewa Pachulskiego, zamieszkałego w Gdyni. Pachulski, kolega Małyśza i Butryma, otrzymał od nich z Londynu tę właśnie kartkę, napisaną dwoma charakterami pisma. Pod jednym, obszerniejszym tekstem podpisał się Robert, pod drugim, mającym raczej charakter dopisku - Ro... najprawdopodobniej „Romuald”, a więc chyba był to podpis Butryma.

Skarbek zamyślił się. Ostatni z rodu Butrymów nie żyje. Nad tą rodziną zaciążyło jakieś przekleństwo! Jedynie Aniela Butrym - jak wynikało z aktu zgonu - zmarła śmiercią naturalną. Pozostali zginęli śmiercią gwałtowną.

Raz jeszcze obejrzał pocztówkę z Londynu. Mamy próbki pisma Małyśza i młodego Butryma - pomyślał. - Trzeba je

zidentyfikować. Zlecił ekspertyzę porównawczą kartki z ankieta-  
tami złożonymi przez obu w biurze paszportów.

Robert Małysz pochodził z Łodzi. Łódź nie odpowiedziała  
jeszcze na telefonogram dotyczący Roberta Małysza. Zredago-  
wał monit.

Przypomniała mu się rozmowa z Jadwigą Maniewicz o sre-  
brach. Sięgnął do akt pożyczonych, od adwokata Kotlarskiego.  
Wyjął z nich spisy skradzionych przedmiotów. Jeden z nich  
został sporządzony w oparciu o zeznania Kościanki, drugi,  
obszerniejszy, zestawiono w oparciu o wyjaśnienia oskarżone-  
go. Po uzyskaniu odpowiedniego postanowienia prokuratora  
Skarbek postanowił dokonać szczegółowego przeglądu sreber  
w willi Kościanki. Sam nie zamierzał jednak tracić czasu na te  
czynności. Zlecił trzem funkcjonariuszom, by dokonali tego  
spisu niejako komisyjnie. Do tej grupy przydzielił specjalistę  
od wyrobów typu jubilerskiego.

W bieżącej korespondencji znalazł także adresy: Tadeusza  
Rembielińskiego, byłego męża Małgorzaty, oraz Teodozji  
Ruszkowskiej, ciotki Ewy Malickiej. Był to wynik podjętych  
wcześniej starań, mających na celu odszukanie krewnych obu  
nieżyjących już kobiet. Skarbek był przekonany, że nie rozwi-  
kła tajemnicy śmierci Irminy bez sięgania w przeszłość Wiktora  
Kościanki.

Ciotka Ewy Malickiej mieszkała w Poznaniu, tę rozmowę  
trzeba było odłożyć na później. Najpierw mąż Małgorzaty  
Rembielińskiej. Mieszka w Otwocku. Pół godziny jazdy samo-  
chodem.

Rembielińskiego zastał przy myciu fiata na podwórzu do-  
mu usytuowanego na pięknym, zalesionym terenie.

Kiedy Skarbek przedstawił się, gospodarz przerwał mycie i  
zaprosił go do mieszkania. Widać bał się, by sąsiedzi nie zo-  
rientowali się, że przyjechał do niego ktoś z milicji.

Rembieliński - przystojny, wysoki blondyn - zapytał bez dłuższych wstępów, o co chodzi.

- Przyjechałem osobiście, żeby oszczędzić panu facygi - odparł Skarbek. W istocie chętnie jeździł do osób, z którymi musiał porozmawiać. Chciał je widzieć w ich codziennym środowisku. Umożliwiała to lepsze poznanie człowieka, a ponadto bardziej ośmielało rozmówców. W urzędowej atmosferze gmachu komendy niektórzy sztywnieli, przestawali być sobą i wtedy nie było już mowy o zwierzeniach i szczerości.

- Nadal nie rozumiem, czemu przypisać tę wizytę. Nie popełniłem żadnego przestępstwa - powiedział niezbyt przyjaźnie.

- Czy mogę prosić o szklankę wody? - Skarbek chciał jakoś rozładować napięcie.

Rembieliński przyniósł z kuchni syfon i szklankę. Od razu poczuł się gospodarzem. Nalał wody do szklanki i podsunął ją Skarbkowi.

- Bardzo proszę - powiedział już nieco uprzejmiej.

- Jest pan byłym mężem Małgorzaty Butrym?

- Tak. Byłem - zaakcentował to słowo. - Nie wiem i nie chcę wiedzieć, co się z nią dzieje - w głosie znów ostre nuty.

- Pani Małgorzata od dawna nie żyje - poinformował Skarbek spokojnym, bezbarwnym głosem.

- Nie żyje? - Rembieliński był zaskoczony. Milczał chwilę i jakby posmutniał. - Co się z nią stało?

- Otrucie. Luminal - odparł enigmatycznie nie wyjaśniając, czy w grę wchodzi samobójstwo, zabójstwo czy też nieszczęśliwy wypadek.

- Nie wiedziałem... Sądziłem, że wciąż żyje z tym nadzieją dziadem, Kościanką czy jak mu tam było...

- Kościanko. Wiktor Kościanko - powtórzył Skarbek.

- Czy to on ją otrul?

- Podczas dochodzenia ustalono, że pańska była żona popełniła samobójstwo.

- Jeśli popełniła samobójstwo, i to kilka lat temu, o czym chce pan ze mną rozmawiać dziś?

- Prowadzę inną, podobną sprawę, w której występuje ten sam Wiktor Kościanko. Chciałbym dowiedzieć się o nim możliwie jak najwięcej. Dlatego przyjechałem do pana.

Rembieliński popatrzył uważnie na Skarbka. Wstał, wyjął z kredensu karafkę, dwa kieliszki, napelnił je alkoholem. Swój wypił jednym haustem.

- Kościanko, stary satyr. Cóż mogę o nim powiedzieć? Zniszczył nasze małżeństwo. Nie wiem, co pociągnęło do niego Małgorzatę. Chyba tylko mamona. Kiedy się połąpałem, co w trawie piszczy, chciałem jej tego starego amanta wyperswadować. Powiedziała mi wtedy, i tego nie mogę pojąć do dziś, że go kocha, że nie chce mnie dłużej okłamywać. Zgodziłem się na rozwód. Od czasu rozwodu nie widziałem jej, nie wiem, co się z nią działo.

- Kiedy i w jakich okolicznościach pańska była żona poznała Wiktora Kościanko? Jak długo trwała ta znajomość.

- Też chciałem się tego dowiedzieć. Powiedziała mi, że zna go od dziecka, że był przyjacielem jej ojca, ale ojciec nie umiał go docenić. Spotkała go przypadkowo już po naszym ślubie. Gdzieś ją podwiózł, potem się umówili i tak to się zaczęło. Ale czy to prawda? Może wymyśliła sobie tę historyjkę...

- Czy nie opowiadała panu, przy jakiej okazji jej ojciec nie umiał docenić przyjaźni Kościanki?

- Nie. O tym nie mówiła. Twierdziła, że jej matka uważała Kościankę za szlachetnego człowieka i gryzła się, że ojciec Małgorzaty ma o nim złe mniemanie. Dla mnie ważne było tylko jedno: Małgorzata zdradziła mnie z Kościanką. Nie mogłem się z tym pogodzić, bez względu na cechy jego charakteru. Uważałem go za łajdaka.

- Sam bym chyba na pana miejscu nie osądził go inaczej. - Skarbek starał się wczuć w nastrój rozmowy. - Czy nie znał pan kogoś z rodziny Małgorzaty lub jej bliskich przyjaciół? Chodzi mi o kogoś, z kim przyjaźniła się także po rozwodzie.

- Wiem, że miała brata, ale mówiąc prawdę, nigdy go nie widziałem. Był u nas raz czy dwa, ale mnie wtedy nie było w domu. O innych jej krewnych nie słyszałem. Miała przyjaciółkę, Wandę Raplewicz z Milanówka. Rzadko ją widywałem, ale wiem, że były z sobą zaprzyjaźnione. Więcej nie potrafię panu powiedzieć. Nasze małżeństwo nie trwało długo, często byłem w podróży. Czy może mi pan powiedzieć, gdzie jest grób Małgorzaty - ton zażenowania w głosie.

Kochał ją - pomyślał Skarbek. -1 chyba to uczucie nie wygasło całkowicie. - Poczul sympatię do tego szorstkiego na pozór mężczyzny.

- Na cmentarzu w Milanówku. Zostawiam panu mój telefon - zapisał numer na kartce. - Jeżeli zadzwoni pan do mnie jutro około południa, to podam panu dokładną lokalizację grobu.

- Dziękuję - mruknął Rembieliński, chowając do kieszeni kartkę z telefonem.

Rozstali się prawie zaprzyjaźnieni.

- Wracajmy do komendy - rzucił Skarbek kierowcy.

Kapitan pogrążył się w rozmyślaniach. Tym razem o kobietach. Nigdy nie wiadomo, co naprawdę czują i myślą. Taka Aniela Butrym. Umiała przekonać mecenasa Kotlarskiego o niewinności męża. Czy sama wierzyła w tę niewinność? Wierzyła jednocześnie w szlachetność Wiktora Kościanki i wiarę tę potrafiła wpoić córce. Jak mogła jedno z drugim pogodzić? Kochała Wiktora. Taka chyba jest prawda. Ale nie rozumiała, że w jego życiu gra tylko epizodyczną rolę. A Małgorzata? Matka i córka. Kochały tego samego człowieka. Czyżby był ojcem jej brata? - przypomniał sobie rozmowę z Jadwigą Maniewicz. - A jeżeli tak, to czy o tym wiedziała? Trzeba szukać dalej -

zadecydował. - Wanda Raplewicz. Jeśli naprawdę była przyjaciółką Małgorzaty, to może wiedzieć sporo.

- Jedź do Milanówka - zmienił dyspozycję. - Do komisariatu.

Wandę Raplewicz znali funkcjonariusze. Była nauczycielką. Bez trudu uzyskał jej adres domowy i szkolny. Zaczął od szkoły. Nie zawiodła go intuicja. Raplewicz była jeszcze w szkole. Przedstawił się jej i powiedział, że zaczeka, aż ona skończy pracę.

- Zostały mi trzy zeszyty do sprawdzenia. Za dwadzieścia minut będę wolna - wyjaśniła w odpowiedzi.

Nie była ładna, ale ujmująca. Emanował z niej spokój i dobroć.

Usiadł na ławce przed szkołą. Kierowcę odesłał do komisariatu. Czekał niedługo.

- Odprowadzę panią do domu albo chodźmy na kawę - zaproponował.

- Chętnie wybiorę się na kawę - ucieszyła się pani Wanda. - Tu, zaraz za rogiem jest taka mała kawiarnia z ogródkiem...

- Proszę, niech pani prowadzi.

Usiedli w ogródku. Zamówili kawę, ciastka i dwa kieliszki słodkiego wina.

- Dziwi panią zapewne moja wizyta - zaczął Skarbek. - Wiem, że była pani przyjaciółką Małgorzaty Rembielińskiej.

- Tak. Rzeczywiście przyjaźniłyśmy się. Ale Małgosia nie żyje już od paru lat.

- Gdyby żyła, rozmawiałbym z nią zamiast z panią. Znała pani zapewne tajemnice jej serca?

- O, to za wielkie słowo. Czy można w ogóle znać tajemnice serca drugiego człowieka? Zwierzała mi się z wielu spraw.

- Może się źle wyraziłem. Ma pani rację. Ale dla moich potrzeb wystarczy chyba tajemnice, którymi dzieliła się z panią. Czy znała pani jej męża?



- Widziałam go kilka razy. Małgosia się z nim rozwiodła.  
- Tak. Wiem o tym. Czy zna pani przyczynę rozwodu?  
- Trudno mi o tym mówić. To są sprawy osobiste, nawet jeśli zainteresowany nie żyje.

- Rozumiem panią i cenię za takt i delikatność. Rozmowę tę prowadzę z obowiązku służbowego, a nie z chęci rozgrzebywania osobistych spraw pani Rembielewskiej. Proszę mi zaufać.

- Dobrze. Wzbudza pan zaufanie. Małgosia rozwiodła się z powodu innego mężczyzny. To był dużo od niej starszy, bardzo zamożny człowiek. Nazywał się Wiktor Kościanko. Przyjaciel domu jeszcze z czasów jej dzieciństwa. Potem pomiędzy nim a jej ojcem wynikło jakieś nieporozumienie. Ojciec podobno bezpodstawnie podejrzewał go o nieuczciwość. Matka Małgorzaty była przekonana o życzliwości Kościanki i dręczyła ją tą nieuzasadnioną wrogością męża. Kiedy aresztowano ojca Małgorzaty, Wiktor pomógł im, nawet dał pieniądze na adwokata.

W późniejszym okresie matką Małgorzaty nie chciała już korzystać z pomocy Wiktora. Uważała, że Kościanko zrobił dla nich bardzo wiele i że nigdy nie będą w stanie mu się odwdziżyć. Wtedy Wiktor użył fortelu. Wisiał w ich domu portret brata Małgorzaty pędzla jakiegoś mało znanego malarza. Kupił od nich ten portret, płacąc niezwykle wysoką cenę, wielokrotnie przekraczającą wartość obrazu. Potem Małgorzata nie widziała Wiktora przez wiele lat. Spotkali się przypadkowo, Małgosia była już wówczas mężatką. Umówili się na wspominaki. Od tej pory zmieniła się, stała się jakaś tajemnicza. Po pewnym czasie zwierzyła mi się, że jest zakochana w Wiktorze i że nie potrafi żyć bez niego. Twierdziła, że to wspaniały mężczyzna, dobry, czuły i opiekuńczy. Otrzymywała od niego cenne

prezenty. Kiedyś pokazała mi złoty medalion z breloczkiem. Umieściła w medalionie fotografię Wiktora.

Kilka tygodni przed śmiercią przeżyła wstrząs: Wiktor zwrócił się do niej per „Anielko”. Było to imię jej matki. Początkowo nie mogła zrozumieć, dlaczego użył właśnie tego imienia. Dwa tygodnie przed śmiercią mówiła mi, że jest w ciąży i że Kościanko jest ojcem jej dziecka. Jeszcze wtedy wracała do tego incydentu z imieniem „Anielka”. Wkrótce po tej rozmowie wyjechałam na urlop. Gdy wróciłam, było już po wszystkim. Małgorzata nie żyła. W domu zastałam kartkę od niej. Kartka zza grobu. Pisała do mnie w dniu śmierci. Pozdrowiała i zegnała się. Zostawiła też polecenie. Gdybym kiedykolwiek zetknęła się z jej bratem, miałam mu powiedzieć, żeby się porozumiał z siostrą matki, ciotką Marią. Nigdy nie spotkałam jej brata. Nie wiem, gdzie go szukać, choć bardzo chciałabym wypełnić ostatnie życzenie Małgorzaty.

W drodze do komendy Skarbek analizuje uzyskane informacje. Imię „Anielka”. Może zaczęła się czegoś domyślać? A medalion? Czy to ten sam medalion, który znaleziono w zaciśniętej ręce Irminy? W aktach dotyczących samobójstwa Rembielińskiej nie ma o nim żadnej wzmianki. Być może, zabrał go Kościanko. Miał prawo. Ciotka Maria. Czy to o niej mówiła Jadwiga Maniewicz?

## *Rozdział 24*

Skończył właśnie telefoniczną rozmowę z Wiktorem Kościanko. Uprzedził go, że przyjadą funkcjonariusze, żeby dokonać uzupełniających oględzin. Nie wyjaśnił jednak, że chodzi o spisanie sreber. Ledwie odłożył słuchawkę, odezwał się Rembieliński.

- Mówił pan, że mogę zadzwonić. - Nie powiedział, że chodzi mu o ustalenie położenia grobu Małgorzaty. Nie chciał, a może nie umiał okazać słabości.

Skarbek rozumiał jego stan.

- To świetnie, że pan dzwoni.

Określił dokładnie położenie grobu, opisał szczegółowo drogę. Mówił wyraźnie, powoli, liczył się z tym, że Rembieliński notuje.

- Dziękuję panu. Wczoraj jakoś głupio wypadła nasza rozmowa. - W jego głosie można było wyczuć smutek.

- Wszystko było w porządku. Cieszę się, że pana poznałem - Skarbek mówił z przekonaniem. Porządne chłopisko chociaż nerwus. Przeżywa śmierć Małgorzaty - pomyślał.

Spojrzał na zegarek. Czas na lotnisko. Miał zarezerwowany bilet do Poznania. Podróż w przeszłość trzeba było odbyć do końca.

W Poznaniu już czekał na niego samochód z komendy. Kazał zawieźć się pod dom, w którym mieszkała Teodozja Ruszkowska, ciotka Ewy Malickiej.

Starsza pani, siwiuteńka, lekko przygarbiona, poruszała się z trudem, pomagając sobie laską. Dobrze, że jej nie wezwał do Warszawy. Miałaby kłopoty w podróży - pomyślał. Dowiedziawszy się, że jej gość jest kapitanem milicji i chce z nią pomówić o Ewie, zaniepokoiła się.

- Czy coś się stało? Od tylu lat nie mam od niej żadnej wiadomości.

Nie wiedziała, że Ewa nie żyje.

Niesamowity zbieg okoliczności albo intuicja - pomyślał o Kościance - kazały mu dobierać przyjaciółki samotne, nieposiadające bliskiej rodziny lub nieutrzymujące z rodziną kontaktów. W razie czego... niekłopotliwe.

- Kiedy miała pani ostatnią wiadomość o pani Ewie?

- Bardzo dawno. - Chwilę grzebała w szufladzie komody. Wyciągnęła częściowo pożółkły papier. - To ostatni jej list - podała go Skarbkowi.

Z listu wynikało, że Ewa wyjeżdża gdzieś na długo, bardzo długo. Ewa prosiła ciotkę, by się nie martwiła, jeśli nie będzie

od niej wiadomości. Ani słowa o decyzji popełnienia samobójstwa, ale z tonacji listu i niektórych sformułowań przebijał smutek ostatecznych pożegnań. Skarbek wiedział z doświadczenia, że w ten sposób piszą osoby, które zamierzają rozstać się z tym nie najlepszym ze światów. Nie wiedział, jak się zachować. Czy powiedzieć pani Ruszkowskiej, że Ewa nie żyje? Po co? Będzie to wstrząs dla starszej i schorowanej kobiety. Wstrząs, który może pogorszyć stan jej zdrowia. Skoro sama Ewa nie zdecydowała się na zawiadomienie ciotki o ostatecznej decyzji, to czy powinien zmieniać jej ostatnią wolę?

Postanowił milczeć. Spojrzał na datę stempla pocztowego. Zgadzała się z datą śmierci Ewy. Tak. To był list samobójczyni.

- Chciałem pomówić z panią Ewą i sądziłem, że pani wskaże mi jej adres - skłamał. - A czy zna pani kogoś z jej przyjaciół, krewnych czy znajomych? Może ktoś z nich pomógłby mi odnaleźć Ewę?

Starsza pani pokręciła przecząco głową.

- Ewa jest sierotą. Oprócz mnie nie ma nikogo z rodziny. Nie znam też jej znajomych i przyjaciół. Mieszkała w Warszawie, a ja w Poznaniu. Odwiedzała mnie rzadko. Dwa, trzy razy w roku. Nie wiem nawet, czy miała narzeczonego. Jeśli ją pan odnajdzie, proszę jej przypomnieć o starej ciotce.

- Oczywiście. Będę pamiętał.

Było mu głupio, że kłamie, ale czy wolno niszczyć nadzieje i złudzenia starej kobiety, która tylko nimi żyje? Może w głębi duszy wie, tylko wciąż nie chce uwierzyć? Niech czeka nadal na wiadomość od siostrzenicy.

Nie miał już czego szukać w Poznaniu. Za godzinę odlatywał samolot do Warszawy. Uznał sprawy Małgorzaty i Ewy za wyjaśnione. To były samobójstwa. Nie miał wątpliwości. Ale Irmina? Tu koncepcja „samobójstwo” waliła się przy analizie

dowodów. I na dobytek ten cholerny luminal. Czyżby zażyła świadomie taką dużą dawkę? Dawka wprawdzie nie była śmiertelna, ale wystarczająca, żeby wywołać głęboki sen. I znów problem. Gdyby ktoś chciał ją uśmiercić w ten sposób, z pewnością podałby większą dawkę, no i obyłoby się bez strzału.

Ledwie przyjechał do domu, odezwał się telefonicznie dyżurny. Informował, że poszukuje go Wiktor Kościanko w bardzo pilnej sprawie. Telefonowała także Anna Kościanko i zostawiła wiadomość, że musi się z nim koniecznie porozumieć, prosiła, by do niej zadzwonił, nawet późnym wieczorem. Wiktor i Anna... Jednocześnie?! Równie niecierpiące zwłoki sprawy! Dziwne. Wykręcił numer Kościanków.

Odezwała się Anna.

- Nareszcie. Nie wiedziałam, co mam zrobić. Zadzwonił do mnie Robert.

Skarbka zelektryzowała ta informacja.

- Czy przyjdzie do pani?

- Nie, nie przyjdzie. Po rozmowie z panem przestałam mu ufać. Powiedziałam, że jestem dziś bardzo zajęta, prosiłam, by zadzwonił do mnie pojutrze, to się umówimy. Co mam robić? Spotkać się z nim czy też zerwać tę znajomość?

- To dobrze, że kazała mu pani zadzwonić. Sądzę, pani Anno, że powinniśmy zobaczyć się jutro. Z rana, jeśli pani może.

- Ależ tak. Kiedy tylko pan zechce.

- Nie to miałem na myśli. Już mówiłem, że najpierw muszę wyjaśnić tę sprawę. Czekam na panią jutro o jedenastej w komendzie.

- Dobrze. Będę o jedenastej u pana.

- Jeszcze jedno. Chciałbym pomówić z panem Wiktorem. Czy może pani poprosić go do aparatu?

- Proszę chwilę zaczekać. Do jutra.

Po dłuższej chwili w słuchawce usłyszał głos Wiktora.

- Co to ma znaczyć?! Pańscy ludzie dokonali spisu moich sreber i oddali mi je do depozytu. Zrobili także zdjęcia. Czy nie posuwa się pan za daleko? Co ma wspólnego sprawa Irminy z rzeczami stanowiącymi moją własność? Żądam wyjaśnień - w głosie nuty oburzenia, irytacji i jakby starannie ukrywany niepokój.

- Moi ludzie wykonują tylko polecenie prokuratora. Czy nie doręczono panu postanowienia?

- Otrzymałem je, ale nadal nie rozumiem, czemu spisuje się mój majątek. Czyżbym był o coś podejrzany?

- Jako prawnik powinien pan wiedzieć, że podejrzanym jest ten, komu przedstawiono zarzuty. O ile wiem, nic takiego się nie zdarzyło - odparł wymijająco.

- Będę panu wdzięczny za wyjaśnienie mi przyczyn tego posunięcia. - Głos Kościanki był już stonowany. Zrozumiał ironię kryjącą się w słowach Skarbka.

- Kiedy tylko to będzie możliwe. Na razie obowiązuje mnie tajemnica śledztwa.

- No tak, rozumiem i przepraszam. Ale chyba się pan nie dziwi, że jestem zdenerwowany. Tak ni stąd, ni zowąd przychodzą i spisują moją własność. Mam nadzieję, że wszystko się wyjaśni i że zostanę o tym poinformowany.

- Mogę to panu przyrzec.

- Dziękuję - Kościanko był już spokojny i opanowany.

Chyba mu rura trochę zmiękała - uśmiechnął się Skarbek sam do siebie.

Zdecydował się pojechać jeszcze do komendy. A nuż są jakieś nowe informacje?

Nie zawiódł się. Ü dyżurnego czekała na niego zalakowana koperta. Sekretarka zostawiła pocztę, licząc widać, że kapitan pokaże się jeszcze w komendzie. Z kopertą w ręku poszedł do swego gabinetu. Rozerwał pieczęcie. Odpowiedź z Łodzi. Małysz po powrocie z Wybrzeża zameldował się w mieszkaniu kuzyna i choć nieobecny, był tam zameldowany nadal. Kuzyn

nie wiedział, gdzie można go znaleźć. Twierdził, że Małysz podobno pracuje gdzieś w Warszawie. A jednak Warszawa. Zadzwoił do Anny. Marta Bońko widziała go w autobusie. Dlaczego mówił Annie, że jest magistrem biologii i pracuje na uczelni? Może chciał dodać sobie splendoru - pomyślał. Ludzie często usiłują w ten sposób „podnosić” swoją wartość. Młody człowiek chciał czymś zaimponować bogatej przyjaciółce. Nader prawdopodobne. Irminie raczej nie przedstawił się w ten sposób ... ani Marcie Bońko.

Rozsiadł się za biurkiem. Przejrzał całą korespondencję. Nadeszły ankiety z biura paszportów. Wyciągnął kartkę z Anglii. Porównał pisma. Wyglądało, że pisały ją te same osoby, które wypełniły ankiety, a więc jednak Małysz i Butrym. Wyjął zdjęcie portretu i to, które otrzymał od Marty Bońko. Porównał fotografie obu młodych ludzi przyklejone do ankiet. - Zadziwiająca - mruknął sam do siebie.

Przygotował materiały do ekspertyzy: kartkę z Londynu i ankiety do ekspertyzy porównawczej pisma oraz zdjęcia z obu ankiet, fotografię portretu i zdjęcie mężczyzny towarzyszącego Marcie Bońko do ekspertyzy antropometrycznej. Bardzo pilne. Wykonać bezzwłocznie - zaznaczył na pismach zlecających ekspertyzy.

W dalszej korespondencji znalazł jeszcze jedną istotną informację. Otóż udało się wreszcie odszukać siostrę Anieli Butrymowej, Marię. Nazywała się Witak, mieszkała na Grochowie.

Zatem na jutro rozmowa z Marią Witak, o jedenastej Anna - notował - Wanda Raplewicz i sprawa medalionu... Po chwili namysłu dopisał: Pustakowie. Tak. Trzeba będzie pomówić z nimi jeszcze raz.

Gdy wychodził z gmachu komendy, kierowca radiowozu wyjrzał przez okno.

- Pan kapitan do domu? Jedziemy w tamtą stronę, możemy podwieźć.

Zabrał się radiowozem. W domu poczuł głód. Zajrzał do

lodówki: parę jajek, jakaś konserwa mięsna, sardynki. Zdecydował się na sardynki.

Otworzył puszkę, przygotował talerzyk i pieczywo, nastawił czajnik na herbatę. Rybka lubi pływać - pomyślał i wszedł do łazienki na wieczorny zimny prysznic.

## *Rozdział 25*

Z samego rana pojechał na Grochów. Kierowca kluczył długo, zanim odnalazł maleńką, zaledwie kilkunastonumerową ulicę w pobliżu torów kolejowych. Dwupiętrowa stara kamieniczka nosiła na sobie ślady wojny. Na tynku odpryski pozostawione przez pociski z broni maszynowej. Jakoś dotąd nie załatano tych wojennych ran. Sporo ich jeszcze w Warszawie.

Maria Witak mieszkała na parterze. Skarbek zastał ją w szlafroku i papilotach. W mieszkaniu panował nieopisany bałagan: rozgrzebane łóżko, porozrzucane części garderoby, na stole brudne naczynia. Nic więc dziwnego, że gospodyni była nieco zakłopotana tą nieoczekiwaną wizytą obcego człowieka.

- Pan w jakiej sprawie? - zapytała, starając się zasłonić sobą nieposłane łóżko.

- Jestem z milicji. - Pokazał legitymację. - Chciałem mówić z panią Marią Witak. To pani?

- Tak. Przepraszam za nieporządek. Dopiero wstałam. Przed chwilą mąż wyszedł do pracy. Właśnie miałam brać się do sprzątan.

Przykryła pledem łóżko, zgarnęła ze stołu nakrycia i zanieśła je do kuchni. Głowę przewiązała chusteczką.

Skarbek obserwował ją dyskretnie w czasie tej krzątaniny. Miała około pięćdziesięciu pięciu lat. Twarz zachowała ślady dawnej urody. Skojarzył ją sobie ze zdjęciem Anieli Butrym, wygrzebanym w archiwum dowodów osobistych. Między obiema kobietami było wyraźne rodzinne podobieństwo. Tego podobieństwa można się było dopatrzeć także na zdjęciu Małgorzaty Rembielińskiej.



- Proszę, niech pan usiądzie - gestem wskazała stary klubowy fotel. - Czy coś się stało? Milicja do mnie, i to tak od samego rana?

- Chciałem z panią pogadać o sprawach rodzinnych. Można powiedzieć historyczno-rodzinnych. Chodzi mi o pani siostrę, Anielę.

- Anieli? - Na twarzy Witakowej wyraz zdumienia. - Przecież ona od dawna nie żyje!

- Wiem o tym. Nie żyje też jej córka, Małgorzata.

- Co takiego? Małgosia nie żyje? - Maria Witak patrzyła na niego z niedowierzaniem. - Czy to możliwe?

- Niestety. Od jej śmierci minęło już parę lat.

- Biedactwo. - Pani Witakowa była poruszona tą nowiną. - A myśmy myśleli, że dlatego tak długo nie daje znać, bo wciąż się na nas gniewa. Od Romusia także nie mamy żadnej wiadomości.

- Dlaczego państwo sądzili, że Małgorzata się gniewa?

- Ech, takie tam różne sprawy rodzinne. - Pani Maria najwyraźniej nie miała ochoty poruszać tego tematu. - Chodziło jeszcze o Anielkę. Co tu gadać. Było, przeszło, niech już tak zostanie. Jeden Romuś coś z tego naprawdę zrozumiał.

- Zajmuję się, między innymi, wyjaśnieniem przyczyn śmierci Małgosi. Ona nie umarła śmiercią naturalną. Niewiele wiemy o jej życiu. Pewne jest, że miała przyjaciela.

- Przyjaciel? Przecież wyszła za mąż. Właśnie ostatni raz widziałam ją na jej ślubie. Wtedy pokłóciliśmy się o Anielkę i od tej pory kontakty się urwały.

- Rozwiodła się z mężem z powodu tego przyjaciela. Pani go chyba знаła...

- Ja? A któż to taki?

- Wiktor Kościanko - obserwował reakcję Witakowej.

Gwałtownie poczerwieniła na twarzy.

- Ten stary? Wiktor Kościanko? Niemożliwe. Czy pan wie, co pan mówi?! - Była wstrząśnięta. Ręce jej drżały, w oczach błysnęły łzy. - To nieprawda, to jakaś pomyłka.

- Niestety, to prawda. Wiem, czemu tak to panią poruszyło. Właśnie dlatego przyszedłem. Pani wiedziała, że Kościanko i pani siostra, Aniela... - nie dokończył zdania. - Czy mi pani pomoże?

- Ten stary łajdak. Nie dał spokoju nawet Małgosi. Pyta pan, czy pomogę? Tak, niech go pan wsadzi do więzienia, to człowiek bez serca, to bydlę! - Wstrząs wywołany wiadomością o śmierci Małgosi zamienił się w gniew i oburzenie. - Jak on mógł dotknąć Małgosi? Biedna Aniela. Dobrze, że tego nie dożyła.

- Rozumiem, co pani czuje, ale musi pani być spokojna, jeżeli chce mi pani pomóc. Proszę opowiedzieć mi wszystko po kolei.

- Już dobrze. - Otarła oczy rękawem szlafroka. Stariała się opanować, ale nie przyszło jej to łatwo.

- Przed wielu laty mąż Anieli pracował u Kościanki. Kościanko był jego szefem. Właśnie przyszła na świat Małgosia. Aniela w tajemnicy przed mężem wybrała się do Kościanki prosić, żeby im pomógł w załatwieniu większego mieszkania. Sama ją do tego namówiłam. Mieszkali wówczas we troje w jednym ciasnym pokoiku, ale że Butrym nie lubił nikogo o nic prosić, więc mu nie powiedziałyśmy.

Kościanko był wówczas ważną figurą. Siostra opowiadała mi potem, że przyjął ją uprzejmie i obiecał załatwić sprawę. Kazał jej przyjść znowu za parę dni. Poszła. Wtedy zawiózł ją samochodem do kilku mieszkań. Od jednego miał nawet klucze. Podobno było umeblowane. To wszystko tam się właśnie zaczęło.

Mieszkanie podobało się Anieli, więc Kościanko wyjął butelkę. „Trzeba to oblać” - powiedział. Wtedy doszło między nimi do zbliżenia.

Później Kościanko wezwał Butryma, kazał mu napisać podanie o przydział mieszkania i sam sprawę załatwił. Tyle że przedtem wywiózł meble.

Od tej pory Aniela spotykała się z Kościanką i w miarę upływu czasu przywiązywała się do niego coraz bardziej. Mówiła mi, że nie może bez niego żyć, że chętnie odeszłaby od męża, ale żal jej dziecka. W rok później urodził się Romuś. Ojcem Romusia chyba nie był Butrym.

On zresztą zaczął coś podejrzewać. Nawet radził się mnie, co ma robić. Nie miał niezbitych dowodów, że Aniela go zdradza, ale, jak każdy mężczyzna, miał wątpliwości. Widać wołał oszukiwać sam siebie, niż pogodzić się z faktem. Nawet ja go okłamywałam. Wiedziałam, jak sprawy się mają, ale chciałam ratować rodzinę. Tłumaczyłam mu, że jest zanadto podejrzliwy, przewrażliwiony i robi z igły widły. Wierzyłam, że Aniela w końcu się opamięta, że wreszcie Kościanko zostawi ją w spokoju. Niestety, trwało to dość długo.

Nagle aresztowali Butryma. Oskarżono go o kradzież jakichś kosztowności. Była sprawa, został skazany. Butrym i kosztowności! Niech mi pan wierzy, to było poczciwe chłopisko. Nie ruszyłyby cudzych zapalek.

Kościanko był świadkiem na tej sprawie. To on najbardziej obciążył Butryma. Poprosiłam o widzenie. Byłam u Butryma w więzieniu. Zaklinał się, że jest niewinny, co więcej, twierdził, że Kościanko dobrze wie, gdzie się podziały te kosztowności. Wierzyłam mu. Zresztą nadal jestem przekonana, że mąż Anieli nie miał z tą kradzieżą nic wspólnego.

Rozmawiałam o tym z siostrą, ale ona była zaślepiona. Mówiła, że Wiktor jest szlachetnym człowiekiem, że musiał zeznać zgodnie z prawdą. Pomagał jej wtedy finansowo. Nawet opłacił obrońcę, więc jak mógłby szkodzić Butrymowi?! Biedaczka! Była omotana przez Kościankę.

Przed sprawą dostałam list od Butryma z aresztu. Zaklinał się, że jest niewinny, a Kościanko wrabia go, bo żyje z Aniela.

Poszłam wtedy do żony Wiktora. Chciałam z nią pomówić, jak kobieta z kobietą. Myślałam, że może ona coś pomoże i Kościanko odczepi się wreszcie od Anieli. Przyjęła mnie, a jakże. Przy tej rozmowie był Kościanko. Nawet nie czuł się zażenowany czy zawstydzony. Przyznał, że istotnie, kiedyś łączyło go coś z Anielą, a Butrym dowiedziawszy się o tym, teraz próbuje go oczerniać. Mści się za zdradę żony. Mówił, że będzie próbował pomóc Butrymowi, ale w sądzie musiał zeznać prawdę. Bo co innego sprawy prywatne, a co innego państwowe. Tak jakoś składnie to wszystko zakręcił, że w pierwszej chwili i ja zgłupiałam, i ta jego żona też mu uwierzyła. Dopiero po widzeniu z Butrymem i potem, jak on powiesił się w więzieniu, zrozumiałam, że Kościanko to wielki drań i łajdak.

Staralam się przekonać o tym Anielę, ale nie udało mi się. Ona nawet w Małgosię wpoila wiarę w szlachetność i bezinteresowność Wiktora. Biedna dziewczyna, nie orientowała się zupełnie w ich wzajemnym stosunku. Właśnie o Wiktora pokłóciłam się z siostrzenicą na jej weselu. Uważałam, że skoro wychodzi za mąż, to powinna wreszcie dowiedzieć się, kto spowodował to nieszczęście w rodzinie.

Małgosia zdenerwowała się, ale mi nie uwierzyła. Oczywiście bardziej ufała matce niż mnie. „Czy ciocia wie - spytała - że właśnie Kościanko, chcąc nam pomóc, kupił portret Romusia za grube pieniądze, jakby to był Bóg wie jaki skarb?” Próbowałam jeszcze coś jej tłumaczyć, ale ona wstała i powiedziała, że nie pozwoli szargać pamięci matki, ani oczerniać ich dobroczyńcy. Od tej pory nie widziałyśmy się. Kiedyś wybrałam się do Małgosi w odwiedzinę, ale okazało się, że już tam nie mieszka. Sąsiedzi mówili, że wyprowadziła się z mężem gdzieś pod Warszawę. Aż tu dziś dowiaduję się od pana, że ona nie żyje! Bóg go pokarze, jeśli pan tego nie zrobi.

- A Romuś? Co z nim się stało?

- Po śmierci Anieli został z Małgosią. Potem przez jakiś czas przebywał w internacie. Czasami zatrzymywał się u nas. Kiedyś wygrzebał list, który dostałam od jego ojca z więzienia. Przeczytał go. Chciał wiedzieć, jak to naprawdę było. Rozmawiałam z nim Ostrożnie. Nie wiedziałam, jaki jest jego stosunek do Kościanki, może on też uważa tego człowieka za dobroczyńcę?! Poza tym z rozmów z Anielą, z jej aluzji i niedomówień wywnioskowałam, że Romuś nie jest synem Butryma, że ojcem chłopca jest prawdopodobnie Kościanko. Dlatego było mi niezręcznie mówić o wszystkim wprost. W miarę upływu lat Romuś zamknął się w sobie, przestał się zwierzać.

Cztery lata temu przyszedł bardzo zdenerwowany. Coś chował pod szafą. Kiedy usnął, zajrzałam pod szafę. W paczuszce zawiniętej w papier znalazłam medalion z łańcuszkiem, chyba złoty. Położyłam go z powrotem w to samo miejsce, ale z niepokojem nie mogłam spać przez całą noc. Myślałam, że może wdał się w złe towarzystwo i coś przeskrobał. Z rana chciałam go wysondować. W końcu zapytałam wprost, skąd ma ten klejnot. Wtedy on się zdenerwował. „Na pewno nie ukradłem” - powiedział. Oświadczył, że ponieważ mu nie ufam, więc się wyprowadza. Był ambitny! No i pełnoletni, nie mogłam trzymać go siłą. Poszedł i więcej się nie odezwał.

Kochałam moją siostrę i jej dzieci, a jednak jakoś się to wszystko rozlazło. Może ja nie potrafiłam im pomóc?

Czy powiedzieć jej o śmierci Romusia - zastanawiał się Skarbak. - Powiem jej przy innej okazji - zdecydował. Spojrzał na zegarek, dochodziła godzina dziesiąta trzydzieści. O jedenastej był umówiony z Anną.

- Dziękuję pani za rozmowę. Jeżeli będę miał jeszcze jakies pytania, przyjadę, dobrze?

- Dobrze, niech pan przyjedzie. I niech mnie pan zawiadomi,

co pan ustalił. Chciałbym wiedzieć, dlaczego Małgosia nie żyje. Czy Romuś wie o jej śmierci?

- Nie rozmawiałem z nim - wykręcił się od odpowiedzi.

Znowu medalion - myślał w drodze powrotnej. - Rembielińska, Irmina, teraz Romuś. Czy to ten sam medalion? A medalion, który zginął Kościance? Może to jest klucz do rozwikłania tej sprawy?

Annę Kościanko spotkał przy wejściu do komendy. Ucieszyła się wyraźnie na jego widok.

Skarbek nie pozwolił jej dojść do słowa, dopóki nie weszli do gabinetu. Bał się, że jej zaloty zwrócą uwagę kręcących się po gmachu znajomych funkcjonariuszy, którzy będą potem mu dogryzali, że podrywa wyliniałe kociaki.

Pani Anna od razu przystąpiła do rzeczy.

- Zadzwoił wczoraj do mnie - mówiła podekscytowana. - W pierwszej chwili chciałam mu wygarnąć, że ukrywał przede mną znajomość z Irminą, ale pomyślałam, że pan mógłby być niezadowolony. Dlatego umówiłam się na telefon jutro po południu. Chciałam zyskać na czasie, żeby się pana poradzić.

- Postąpiła pani bardzo rozsądnie. Sądzę, że powinna się pani z nim umówić. Najlepiej gdzieś w kawiarni. Ot tak, żeby porozmawiać. I prosba, niech pani w ogóle nie wspomina o Irminie ani o tym, że pani wie o ich znajomości. Czy może to pani dla mnie zrobić?

- Oczywiście, wszystko, co pan zechce, kapitanie. Spotkam się z Robertem i nie powiem ani jednego słowa na temat Irminy - popatrzyła na Skarbka zalotnie.

- I jeszcze jedno. Gdyby Robert nalegał na intymne spotkanie u pani lub w jakimś mieszkaniu, proszę się sprytnie wykręcić i zaproponować inny termin. Zależy mi, by po tym spotkaniu w kawiarni państwo się pożegnali.

- Nie chce pan, abym została z nim sam na sam? - Anna

była wyraźnie ucieszona. - Może pan być spokojny. Pożegnaj się zaraz po wyjściu z kawiarni. Powiem, że się gdzieś jeszcze spieszę. Wymyślę coś.

- Doskonale. Jest pani bardzo miła. Proszę chwilę zaczekać, coś jeszcze załatwię, a potem odwiozę panią.

Okazja do rozmowy z Pustakami - pomyślał.

Zaszedł do pułkownika. W paru zdaniach zreferował, o co chodzi.

- Dobrze, zgadzam się. Będziesz miał jutro od dwunastej do dyspozycji grupę obserwacyjną - obiecał Walewicz.

Skarbek wrócił do gabinetu po Annę. W samochodzie czuł się trochę głupio. Kierowca zerkając dyskretnie w lusterko, uśmiechał się pod nosem. Anna była ciągle w ataku. Poprawiła mu krawat twierdząc, że źle zawiązany, potem zaczesala włosy. Cóż za cholerny babsztyl - myślał ze złością, ale był bezradny. Sam to spowodował.

Odetchnął z ulgą, gdy zajechali przed willę Kościanków. Szybko wyskoczył z wozu w obawie, że szykuje się czułe pożegnanie.

- Zaczekaj tu - polecił kierowcy. - Wracam za kilka minut. Muszę pomówić z Pustakami - wyjaśnił Annie i szybko się pożegnał. - Aha, byłbym zapomniiał, proszę mnie zawiadomić, kiedy, gdzie i o której godzinie spotka się pani z Robertem. Czekam na ten telefon - uśmiechnął się jeszcze raz całując ją w rękę.

Ruszył szybkim krokiem w kierunku góralskiego domku. Marcina nie było. Pani Kazimiera przywitała go jak swego.

- Proszę, niech pan siada. Zaraz czymś pana ugoszczę. - Wyjęła z kredensu ciasteczka, nastawiła czajnik. - To domowe, nie kupne.

- Pycha! - pochwalili z pełnymi ustami. - Pani jest świetną gospodynią.

- Ten przepis dała mi moja nieboszczka matka. Ona też nauczyła mnie, jak je piec.

- Pani Kazimiero droga, a ja znów do pani jeszcze w tej samej sprawie.

- A co nowego? Byli tu niedawno jacyś z milicji, coś tam spisywali. Pan był rozeźlony. Mówił, że pan kapitan za dużo sobie pozwala.

- Właśnie chciałem z panią o tym pogadać. W schowku pod schodami trzyma pani odkurzacz, froterkę i różne rupiecie?

- Ano tak.

- Oprócz tego widziałem tam kufry z zastawą stołową...

- I to z jaką zastawą! - westchnęła. - Same srebra.

- Od jak dawna są tam te srebra?

- Zaraz, pomyślę. Najpierw, jak starsza pani dostała dom, nie było schowka. Dopiero później, mieszkaliśmy już parę lat, pan kazał go zrobić. To było wtedy, kiedy urządzali winiarnię w piwnicy.

- To znaczy, kiedy?

- No, już po rozwodzie z panią Jadwigą i po ślubie z panią Anną. Tak, to było zaraz po tym ślubie.

- A gdzie przedtem Kościanko trzymał te srebra?

- Przedtem to ich u nas nie było. Pan je przywiózł w dwa, może trzy lata po ślubie z Anną. A właściwie nie pan tylko Marcin. On będzie najlepiej wiedział, skąd je zabierał. Zaraz przyjdzie i powie panu wszystko, jak było.

Na Pustaka nie czekał długo.

- Przywiozłem skrzynie wynajętą bagażówką na polecenie pana. Pan Kościanko powiedział, że ma mieszkanie w Warszawie, które sprzedaje i trzeba zabrać stamtąd rzeczy. Pojechaliliśmy razem. To było gdzieś na Saskiej Kępie. Były i meble, ale pan mówił, że sprzedał je razem z mieszkaniem. Zabraliśmy tylko kufry. Taksówkarz pomógł mi znieść kufry do samochodu, a potem tu, do domu. Były bardzo ciężkie. Zajrzałem do środka. Same srebra.

- Czy pamięta pan ten adres?



- Nie, ale trafić to może bym i trafił.  
- Panie Marcinie - Skarbek uśmiechnął się prosząco. - Jestem samochodem. Jedźmy zaraz, może się panu uda. Zaczekam na pana przy szosie. Po co mają w domu widzieć, że pan się ze mną wypuszcza.

Pustak miał świetną pamięć wzrokową. Bez trudu odnalazł budynek, wskazał nawet drzwi mieszkania, w którym był wówczas.

Skarbek kazał kierowcy odwieźć go do domu i przyjechać po siebie w to samo miejsce. Sam wybrał się do ADM-u. Przejrzał książki meldunkowe. W tym mieszkaniu - jak z nich wynikało - była wtedy zameldowana Małgorzata Sokolich, ówczesna przyjaciółka Wiktora Kościanko, a mieszkanie należało do Kościanki. Przypomniały mu się rozmowy z sędzią Karpowiczem i mecenasem Kotlarskim. Prosil go o informację, jeśli uda mu się wyjaśnić do końca sprawę skazanego Butryma. Być może, uda mi się - pomyślał.

## *Rozdział 26*

**P**rzyjechał do komendy wcześniej niż zwykle. O dziewiątej umówił się z funkcjonariuszem kierującym grupą obserwacyjną, żeby omówić z nim sposób przeprowadzenia obserwacji Roberta Małysza, z którym dziś właśnie miała się spotkać Anna. Zdecydował, że zanim dojdzie do bezpośredniej rozmowy czy przesłuchania on, Skarbek, musi zdobyć możliwie najwięcej informacji o tym człowieku. Przygotował odbitki zdjęć Anny Kościanko i Roberta Małysza dla funkcjonariuszy z obserwacji. Chciał uniknąć pomyłki. Zdarzało się bowiem, że podejmowano inwigilację niewłaściwej osoby. Postanowił, że Annę wskaże sam. Od tego momentu obserwatorzy mieli śledzić ją aż do chwili spotkania z Robertem Małyszem. Dla pewności grupa otrzymała polecenie objęcia obserwacją wszystkich mężczyzn, z którymi spotka się Anna od wyjścia z domu aż do

powrotu. Z chwilą powrotu Anny do domu zostanie przerwana obserwacja jej osoby, będzie zaś kontynuowana obserwacja mężczyzn, z którymi się zetknęła.

Po wskazaniu Anny Skarbek zamierzał kierować akcją ze swego gabinetu, kazał więc wstawić tam radiostację, za pomocą której miał kontaktować się z dowodzącym grupą obserwacyjną. Ten zaś oprócz radiostacji dysponował także radiotelefonem, umożliwiającym łączność z pozostałymi członkami grupy. W ten sposób mógł być informowany o wszystkim na bieżąco.

Zadzwoił do Anny Kościanko, aby sprawdzić, czy Robert nie odwołał spotkania ustalonego na godzinę dwunastą w kawiarni hotelu „Bristol”.

- Spotkanie dojdzie do skutku - upewniła go Anna. Robert dzwonił niedawno, pytał, czy mi nic nie wypadło. - Przy okazji przypomniała o obietnicy zaproszenia jej na kawę.

- Zadzwoię do pani po południu - powiedział wymijająco. Było mu trochę głupio, że wykorzystuje jej naiwność i głupotę. Kiedy już skończę tę sprawę, zaproszę ją gdzieś do kawiarni i wyleczę ze złudzeń co do mojej osoby - postanowił.

Punktualnie o dziewiątej wszedł do jego gabinetu dowodzący grupą obserwacyjną, po czym obaj przeszli do innego pokoju, gdzie już czekali wszyscy uczestnicy akcji. Skarbek krótko, ale wyczerpująco, omówił zadania i system łączności, a następnie rozdał przygotowane fotografie. Na koniec uzgodniono, że grupa pojedzie swoimi samochodami w rejon rozpoczęcia obserwacji, tzn. w rejon zamieszkania Anny, a oficer dowodzący pojedzie tam ze Skarbkim.

Dwie godziny przed spotkaniem w „Bristolu” zatrzymali się w pobliżu domu Kościanków. Tu dopiero Skarbek mógł ocenić talenty swojej grupy. Tak „wkomponowali” się w otoczenie, że byli prawie niezauważalni. Któryś majstrował przy silniku

zaparkowanego samochodu, zasłonięty podniesioną maską, na ławce jakaś parka „zakochanych”, przeszło kilku przechodniów, przejechały dwa samochody, jeszcze inni tak się zamaszkowali, że nawet Skarbek ich nie spostrzegł.

Piętnaście po jedenastej Anna Kościanko wyszła z domu.

- To ona - szepnął Skarbek do szefa grupy. Stał za kępą krzewów w dużych przeciwsłonecznych okularach.

Oficer dowodzący ruszył w ślad za nią. Przyspieszył kroku. Podszedł blisko i chyba coś powiedział, bo Anna odwróciła się. Z jej gestykulacji można się było zorientować, że wskazuje mu drogę. On skłonił się grzecznie, po czym udał się we wskazanym przez nią kierunku. Anna poszła dalej, zapewne na przystanek tramwajowy.

Z przeciwnej strony nadjechała taksówka. Zatrzymała się w odległości stu metrów przed idącą kobietą. Wsiadł z niej mężczyzna.

Anna przyspieszyła kroku i machnęła ręką na taksówkarza. Dobiegła do taksówki. Wsiadła. Taksówkarz zawrócił w stronę Warszawy.

Skarbek przyjrzał się pasażerowi. Nie było wątpliwości. Widział go dzisiaj z rana na odprawie.

- Wszystko w porządku - odetchnął i ruszył do samochodu.
- Do komendy, ale odrzutowo! - zadysponował.

Po drodze minęła taksówkę wiozącą Annę. Skarbek zasłonił się gazetą. Cała ta akcja - pomyślał - jest, być może, trochę „na wyrost”, ale mam dziwne przeczucie, że właśnie zebrane o Robercie informacje, rozmowa z nim, pchną sprawę naprzód, zdecydują o jej wyjaśnieniu. A jeśli okaże się, że trzeba zacząć szperać w innym kierunku, szukać innych tropów?...

Informacje zebrane o Irminie nie pomogły w wyjaśnieniu sprawy. Podobnie z Kościanką. Jego kontakty i miłośki - poza czysto spekulatywnymi rozważaniami - nie naprowadziły

jeszcze na żaden ślad. To samo dotyczyło kontaktów Anny Kościanko. Skrupulatnie je posprawdzał, także pod kątem alibi na krytyczny wieczór. W tej grupie jedynym niesprawdzonym dotąd człowiekiem był Robert Małysz. On znał obie kobiety, Annę i Irminę. To mógł być jakiś punkt zaczepienia. Dlatego Skarbek tak precyzyjnie przygotował grupę obserwacyjną. Jeśli i ten ślad wiedzie donikąd, trzeba będzie z powrotem zająć się mieszkańcami willi, czyli zacząć wszystko od początku. Wtedy pozostaje już tylko wizja lokalna - próba odtworzenia wydarzeń owego tragicznego wieczoru z udziałem wszystkich mieszkańców posesji Kościanków. Eksperyment ten traktował Skarbek jako ostateczność, nader rzadko dającą pozytywne rezultaty.

Na razie zasiadł przy radiostacji. Włączył ją na odbiór i czekał niecierpliwie na pierwsze wieści.

## *Rozdział 27*

- **T**u „Bristol”, słyszy mnie pan, kapitanie?

- Słyszę, proszę mówić - odezwał się Skarbek, włączając równocześnie magnetofon. Chciał dokładnie zarejestrować wszystkie meldunki.

- Obserwowana jest w kawiarni. Sama. Mamy wygodną pozycję. Będą zdjęcia. Niech pan trzyma stale na „odbiorze”. Może uda się nam przekazać bezpośrednią rozmowę. Oczywiście, jeśli ten kochaś nadejdzie.

- Zrozumiałem. Czekam na „odbiorze”. - Skarbek nie był zdziwiony swobodą wypowiedzi swojego rozmówcy. Wiedział, że siedzi w samochodzie zaparkowanym gdzieś na ulicy i utrzymuje łączność radiową z tymi, którzy są w kawiarni. Wiedział, że dysponują aparatami radionadawczymi bliskiego zasięgu. Przy odrobinie szczęścia transmisja rozmowy Anny z Robertem mogła się udać.

- Tu „Bristol”. Uwaga! Chyba już jest. Stanął w drzwiach.

Pomachał Annie ręką na przywitanie. Poszedł do szatni, chyba po papierosy, jest bez płaszcza.

- W porządku. Czekam - odezwał się Skarbek. Wyregulował magnetofon do nagrywania.

- Dzień dobry, Anno - z głośnika radiostacji rozległ się głos mężczyzny. - Dawno cię nie widziałem, stęskniłem się za tobą, a ty odwlekasz spotkanie.

- Nie mogłam się wtedy z tobą umówić. Jak udała ci się podróż?

- A tak jakoś. Bez większych rewelacji. Nie mówmy o mojej podróży. Wypijmy szybko kawę i zwijajmy manatki. Chodźmy gdzieś, gdzie będzie przyjemniej i gdzie będziemy sami.

- Przykro mi, ale dziś nie mogę. Zresztą za godzinę i tak cię pożegniam. Przyjechała moja krewna i muszę poświęcić jej trochę czasu. Spotkamy się innym razem.

- To po co umówiłaś się ze mną na dzisiaj? Trzeba było wyznaczyć inny dzień.

- Chciałam cię zobaczyć. Sprawdzić, czy się nie zmieniłaś. Widzę jednak, że jesteś w dobrym nastroju i dobrej kondycji. Zadzwon do mnie za dwa dni, umówimy się na dłużej, zgoda?

- Jeśli nie można inaczej. Nie chcę ci psuć rodzinnego spotkania.

- Co dla państwa? - inny damski głos, kelnerki.

- Dla mnie kawę ze śmietanką i torcik orzechowy - głos Anny.

- Dla mnie to samo - powiedział jej rozmówca.

- Co u ciebie w domu? Czy nic nie uległo zmianie? Co z mężem? Widzę, że budzą się w tobie rodzinne uczucia...

- Nie bądź złośliwy. Co się mogło zmienić?! - Anna mówiła to naturalnie, udała nawet oburzenie.

- Nie gniewaj się. Tak jakoś tajemniczo rozmawiałaś ze mną. Złakłem się, że pogodziłaś się z mężem.

- Wiesz, że to niemożliwe. Dlaczego akurat teraz zainteresował cię mój mąż?

- Wydajesz się jakaś inna. Myślałem, że może zaszły jakieś zmiany w układach twojego męża. Obchodzi mnie to tylko o tyle, o ile miałyby wpływ na nasze wzajemne stosunki.

- Dajmy spokój. Nic się między nami nie zmieniło. Niech ci to wystarczy - Anna zręcznie ominęła rafy.

- Dobrze. Nie mówmy już o tym. Nie mogę jednak oprzeć się wrażeniu, że coś przede mną ukrywasz. Nie będę pytał. Powiesz mi sama, jeśli zechcesz.

- Muszę już iść, Robercie. Nie mogę pozwolić, żeby ciotka na mnie czekała.

- Chodźmy zatem. Pieniądze zostawię na stoliku. Odprowadzę cię.

- Jest już późno. Lepiej pomóż mi złapać taksówkę.

Głosy ucichły. Po chwili odezwał się oficer dowodzący.

- Wyszli z kawiarni. Prowadzimy dalszą obserwację.

Teraz będzie dłuższa przerwa w komunikatach - pomyślał Skarbek. Zadzwoił do sekretarki prosząc o kawę, parę kanapek i coca-cola. Poczul głód. Nie zdążył zjeść rano śniadania, a teraz już pora obiadowa.

- Tu „Bristol”. Jest pan na odbiorze, kapitanie?

- Tak. Słucham.

- Obserwowany pomógł swej towarzyszkę złapać taksówkę. Pożegnali się. Poszedł piechotą w stronę Nowego Świata. Idziemy za nim. Za Anną posłałem samochód.

- Odwołać obserwację Anny. Nie traćcie z oczu tego mężyczyny. W miarę możliwości postarajcie się identyfikować osoby, z którymi się zetknie. Ale nie za wszelką cenę. Chcę wiedzieć, gdzie mieszka, gdzie pracuje. Teraz przerwiemy łączność. Następnym komunikatem za dwie godziny, zgoda?

- Tak jest. Zrozumiałem. Odezwę się za dwie godziny.

Mają go. Skarbek odetchnął z ulgą. - To najważniejsze. Chodziło mu tylko o Małysza.

Odwołany radiowóz i siedzący w nim pasażerowie będą mogli włączyć się do obserwacji Roberta Małysza. Ułatwi to zadanie pozostałym obserwatorom i zapobiegnie ewentualnemu „zgubieniu” go. Teraz nie ma już sensu ciągle nasłuchiwanie meldunków. Wystarczą te okresowe - zdecydował Skarbek. Wyjął z szafy budzik, nastawił go na 10 minut wcześniej przed ustalonym połączeniem z dowodzącym obserwacją.

Do pokoju weszła sekretarka. Przyniosła kawę, śmietankę, górę kanapek i trzy butelki coli.

- Po co tyle tego? - spytał wskazując oczyma dostarczone wiktuały.

- Myślę, że poradzi pan sobie jakoś z tym problemem. Nie takie trudności udawało się już panu pokonywać. Życzę sukcesu. - Dziewczyna uśmiechnęła się i wyszła z pokoju.

Zabrał się do jedzenia. Sam był zdumiony, kiedy spałaszował ostatnią kanapkę. Nie przypuszczałem, że wrąbię to wszystko - pomyślał. - A więc pierwszy sukces. Oby życzenie sukcesu okazało się prorocze.

Nieźle to rozegrała - pierwszy raz z uznaniem pomyślał o Annie. Mam pewien pomysł i będę musiał poprosić ją o jeszcze jedną przysługę. Chyba nie odmówi.

Przyniesiono pocztę. Znalazł w niej ekspertyzy pisma i zdjęć. Studiowanie ich przerwał mu przeciągły sygnał budzika. Uruchomił radiostację i przygotował się do odbioru.

- Tu „Bristol”. Obserwację Anny przerwałem w rejonie Biełan. Pojechała taksówką w stronę domu. Obecnie stoimy na Kruczej. Mężczyzna wszedł do budynku, w którym mieści się prywatne laboratorium analityczne. Gdy po jakimś czasie wszedł tam jeden z naszych, zastał obserwowanego ubranego w biały kitel. Chyba tam pracuje. Kiedy przekazać następny meldunek?

- Jutro rano o dziewiątej. Jeśli uda się wam ustalić, gdzie mieszka, a w każdym razie gdzie będzie spał, zawiadomcie

mnie o tym jeszcze dziś. Ale już telefonicznie. Dzwońcie do komendy albo do domu.

- Zrozumiałem. Dziś telefonicznie podać adres, a jutro o dziewiątej łączność radiowa.

Skarbek wyłączył radiostację. A więc Małysz pracuje w prywatnym laboratorium na Kruczej. To już jest coś. Ustala jeszcze adres i ewentualne kontakty. Reszta należy do mnie. Żeby tylko znowu nie okazało się, że to pudło - westchnął zabrając się do ekspertyz.

Znów telefon. Tym razem Anna.

- Widziałam się z Robertem. Rozmawiałam z nim tak, jak pan sobie życzył. Nic mu nie powiedziałam i nie poszłam z nim, chociaż bardzo nalegał. Jest pan zadowolony?

- Ależ tak. Zadowolony i wdzięczny, pani Anno. Będzie się pani jeszcze widziała z Robertem?

- O! Zazdrosny? To mnie cieszy. Nie wiem, czy będę go widziała. To zależy tylko od pana. Ma do mnie pojutrze zadzwonić. No więc jak? Znów jest pan zapracowany? - Anna wracała uporczywie do interesującego ją tematu.

- Mam do pani jeszcze jedną, naprawdę już ostatnią prośbę - wymigał się znowu.

- Jaka to prośba? Słucham. Szkoda, że ostatnia.

- Kiedy Robert się zgłosi, niech go pani zaprosi do siebie na pojutrze wieczór, o dwudziestej pierwszej.

- Naprawdę pan tego chce? - spytała zawiedziona. - Nie musiałam tego sam na sam odkładać do pojutrze...

- Pani mnie źle zrozumiała. Proszę, żeby go pani zaprosiła na pojutrze wieczór i to wszystko. Ja też tam będę. Robert powinien wiedzieć tylko tyle, że ma randkę u pani w domu. Nic ponadto. Zgadza się pani?

- No cóż... Jeśli panu na tym zależy i jeśli pan także będzie, zgadzam się. Dobrze. Pojutrze o dwudziestej pierwszej Robert będzie u mnie. Oczywiście, jeżeli przedtem ze mną się skomunikuje. Mam nadzieję, że spełnieniem tej prośby zasłużę na względy.

- Dziękuję. Jest pani wspaniałą kobietą. I jeszcze jedno.



Nikt z domu nie powinien wiedzieć o wizycie Roberta.

Równa baba, tyle że erotomanka - zakonkludował odkładając słuchawkę. - Postawię jej cały kocioł kawy, zasłużyła na to, ale nie będę się poświęcać.

Zabrał się ostro do roboty. Musiał opracować w szczegółach zamierzoną „próbę prawdy”, jak nazwał w myślach planowane spotkanie w willi Kościanków. Przygotował harmonogram zajęć na dzień następny.

Wrócił do domu późnym wieczorem. Mył właśnie naczynia po kolacji, kiedy zadzwonił telefon.

- Mówi „Bristol”. Obserwowany mieszka na Żoliborzu - oficer dowodzący podał dokładny adres. - Nazywa się Robert Małyśz. Właściciel mieszkania przebywa za granicą. Małyśz opiekuje się lokalem. Dozorca jest o tym poinformowany. Na noc zostawiam samochód i dwóch ludzi przed domem, O piątej rano podejmie obserwację cała grupa.

- W porządku. Do jutra do dziewiątej rano.

Jutro. Czekał go dzień wytężonej pracy.

## *Rozdział 28*

Zastał na biurku dwie koperty. W jednej był stenogram kawiarnianej rozmowy, z dołączonym do niego sprawozdaniem grupy obserwacyjnej. Z drugiej wysypały się zdjęcia z „Bristolu”. Obejrzał je uważnie. Przy stoliku obok Anny siedział młody mężczyzna. Robert. Tak więc poszukiwania Małyśza dobiegły końca. Czy jest to równoznaczne z wyjaśnieniem przyczyny śmierci Adamskiej? Może jutro, podczas eksperymentu i to się wyjaśni. Może... - westchnął. - Powinno.

Zagłębił się w notatkach z planem akcji. Uznał za niezbędne, aby podczas eksperymentu znaleźli się w willi sędziego Karpowicz, mecenas Kotlarski, Wanda Raplewicz i Marta Bońko.

Po namyśle dopisał jeszcze Jacka Morgę i Marię Witak. Poza tym muszą być: Robert Małysz, Wiktor Kościanko, Maria Kościanko, Anna Kościanko, Leon Cieślik oraz Kazimiera i Marcin Pustakowie. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Włączył radiostację. Po paru minutach odezwał się „Bristol”.

- Małysz wyszedł z domu o godzinie siódmej trzydzieści. Autobusem dojechał do placu Trzech Krzyży. Tam wysiadł. Poszedł do baru na Nowym Świecie. Zjadł śniadanie. Ryż ze śmietaną, trzy bułki z masłem, twarożek, kakao, jajka.

Ma chłopisko niewąski apetyt - pomyślał Skarbek. „Bristol” informował dalej.

- Po wyjściu z baru kupił gazetę, papierosy i poszedł do laboratorium. Tam gdzie wczoraj. Stoimy teraz na ulicy. Wypadnie chyba czekać aż do zakończenia pracy. Czy mam meldować na bieżąco, czy łączyć się o oznaczonej godzinie? - spytał na zakończenie dowodzący grupą.

- Od tej pory aż do odwołania tylko łączność telefoniczna, i to w ważnych sytuacjach. Gdybyście nie złapali mnie, dzwonicie do pułkownika Walewicza. Gdyby i jego nie było, decydujcie sami aż do nawiązania ze mną kontaktu. Obserwację prowadzicie do jutra, do godziny dwudziestej pierwszej. Mniej więcej o tej porze obserwowany powinien wejść do willi, spod której zaczęliście obserwację. Potem trzeba będzie dyskretnie obstać willę ze wszystkich stron, ale na zewnątrz posesji. Nie wchodzić na podwórze. Psy. Nikt nie ma prawa opuścić willi do chwili, kiedy ja wyjdę na ulicę. Gdyby do dwudziestej czterdzieści pięć obserwowany nie wybrał się do znanej już wam willi, zatrzymajcie go pod jakimkolwiek pretekstem i przywieźcie tam. Zadzwońcie wtedy do furtki punktualnie o godzinie dwudziestej pierwszej trzydzieści. Będę na miejscu.

- Zrozumiałem. - „Bristol” powtórzył treść otrzymanych instrukcji.

Skarbek wyłączył radiostację. Zameldował się u pułkownika. Zreferował dotychczasowe ustalenia i plan akcji.

Walewicz słuchał z zainteresowaniem.

- Zgoda. Akceptuję twój plan. Dodam ci jeszcze czterech ludzi. Oczywiście, dopiero po południu. Dostaniesz do dyspozycji trzy samochody osobowe i nysę.

Chciałbym także być obecny w kulminacyjnym momencie. Pamiętaj jednak, że będę tam w charakterze nie zwierzchnika, a jednego z twoich ludzi. Możesz więc wydawać mi polecenia.

Skarbek wyszedł z gabinetu pułkownika zadowolony. Mądry i równy chłop - pomyślał o nim z sympatią. - Nie dziwię się, że chce być na miejscu. Ale na to, żeby dobrowolnie zrezygnować z roli zwierzchnika, trzeba czegoś więcej niż rozumu. Trzeba po prostu mieć charakter! Inny na jego miejscu chciałby przechwycić ster, żeby zebrać potem wszystkie laury. Walewicz rozumie, że tylko oficer prowadzący sprawę od samego początku, a więc orientujący się najlepiej we wszystkich jej zawiłościach, może prawidłowo przeprowadzić taką akcję. Jeśli eksperyment da rezultaty, będzie to wyłączna zasługa jego, Skarbka. Warto było zasłużyć na uznanie takiego zwierzchnika. Teraz pozostało już niewiele: dopracować niektóre szczegóły i przygotować miejsce akcji. Kapitan zadzwonił do Kościanków. W słuchawce usłyszał głos Wiktora.

- Dzień dobry panu. Przepraszam, że znów pana niepokoję, ale musimy, niestety, przeprowadzić wizję lokalną. Chciałbym to zrobić jutro wieczorem. Nie ma pan nic przeciwko temu?

- Nie jestem zachwycony, ale cóż... potrzeby śledztwa. Mój dom jest do pana dyspozycji - głos Wiktora Kościanki brzmiał naturalnie.

- Dziękuję. W takim razie jeszcze jedna prośba. Czy może pan postarać się, żeby jutro od godziny dziewiętnastej wszyscy

mieszkańcy posesji byli na miejscu? W przeciwnym razie musiałbym sam prosić każdego z osobna.

- Chętnie oszczędzę panu tej fatygi. Wszyscy będą w domu. Czy mogę im powiedzieć, że takie jest pana życzenie? - W głosie Kościanki jakaś chytra nutka.

- Naturalnie. To nie tajemnica. Chodzi o odtworzenie wydarzeń z dnia śmierci Irminy. - Odłożył słuchawkę nie uprzedzając gospodarza, że w eksperymencie wezmą udział nie tylko domownicy. To i dla niego miało być niespodzianką.

Wezwał kierowcę. Kazał zatankować pełny bak. Chciał pogadać osobiście z każdą z zaproszonych osób. Musiał mieć pewność, że nikogo nie zabraknie o wyznaczonej godzinie.

Z komendy wyjechał około godziny jedenastej. Do domu wrócił przed północą. Jeszcze tylko zimny prysznic i - spać. Jutro musi być wypoczęty.

## *Rozdział 29*

Skarbek, zawsze opanowany i cierpliwy, nie mógł doczekać się wieczora. Jeszcze raz przestudiował zebrane materiały. Porównywał fotografie i analizował protokoły ekspertyz. Dostarczono mu wreszcie informacje, z jakiej przychodni lekarskiej korzystała Irmina. Dysponował fotokopią jej dokumentacji lekarskiej. Dokumentacja ta nie była zbyt obszerna. Irmina nie korzystała często z lekarskich porad. Trzy wizyty u lekarza podczas pobytu w Warszawie. Ostatnia na dwa tygodnie przed śmiercią. Studiował właśnie ten zapis i zalecony jej zestaw leków, gdy zadzwonił telefon.

Zgłosił się „Bristol”. Z informacji o Małysz od dnia wczorajszego do chwili obecnej nie wynikało nic szczególnego. Skarbka ucieszyła wiadomość, że Małysz z automatu telefonicznego na ulicy Kruczej połączył się z jakąś Anną. Na zakończenie rozmowy powiedział: „no to do wieczora”.

W kilka minut później zadzwoniła Anna, by zakomunikować, że telefonował Robert i że, zgodnie z umową, będzie u niej o dziewiątej. Korzystając z okazji Skarbek chciał wyjaśnić jeszcze jedną okoliczność, której, jak się zorientował, dotychczas nie ustalili.

- Pani Anno, proszę powiedzieć, jak pani poznała Roberta.

- Nie jest pan zbyt delikatny, kapitanie. To są bardzo osobiste sprawy. Ale trudno, skoro już zdecydowałam się nie mieć przed panem tajemnic... Nikt nas sobie nie przedstawiał. Kiedyś po wyjściu z domu, w drodze do przystanku tramwajowego, starałam się złapać taksówkę. W tymże czasie i miejscu polował na taksówkę Robert. Pojechaliśmy razem do Warszawy. Po drodze rozmawialiśmy. Wysiedliśmy także razem. Zaproponował kawę. Podobał mi się. Przyjęłam zaproszenie. Czy jeszcze coś pana interesuje z tego zakresu? - w głosie pani Anny wyczuł ironię.

- Nie, dziękuję. To mi wystarczy. A więc do zobaczenia dziś wieczorem.

Sięgnął do notatek. Dokonał paru uzupełnień w scenariuszu.

Do pokoju wszedł porucznik Sikora. Zameldował, że wraz z trzema ludźmi został przez pułkownika Walewicza odkomenderowany do dyspozycji Skarbka. Kapitan poprosił, żeby zgłosili się do niego wszyscy czterej.

Kiedy Sikora wrócił z trzema funkcjonariuszami, Skarbek rozłożył przygotowany specjalnie dla nich plan sytuacyjny posesji Kościanków. Wskazał miejsca, w których mieli się ustawić, określił zadania.

- Musicie mieć na oku te, zakreślone czerwonym ołówkiem punkty. - Wręczył plan Sikorze. On miał dowodzić grupą zabezpieczającą teren.

Zadzwonił jeszcze do sekretarki prosząc, aby dziś, wyjątkowo, została w pracy dłużej oraz przygotowała kawę. Spakował się. Do przygotowanej teczki włożył dokumentację sprawy,

dowody rzeczowe i mały magnetofon. Zapakował w papier karabinek. Teraz dopiero uznał, że jest gotów. Poszedł na obiad. Potem wybrał się na krótki spacer do Saskiego Ogrodu, żeby się trochę odprężyć.

Wrócił do komendy około siedemnastej. Zaszedł do pułkownika Walewicza. Uzgodnili, że obaj wraz z „zaproszonymi gośćmi” pojedą nysą. Inne wozy wyruszą kilka minut wcześniej.

- Od chwili wejścia do nysy, jestem twoim podkomendnym - przypomniał mu pułkownik.

Jako pierwsi stawili się w komendzie sędzieja Karpowicz i mecenas Kotlarski. W chwilę później zgłosiła się Wanda Rapplewicz, a potem kolejno Jacek Morga, Marta Bońko i Maria Witek.

Zebrał ich w swoim gabinecie. - Dziękuję państwu, że zechcieliście wszyscy tu przybyć. Pojedziemy na miejsce, gdzie zamierzam przeprowadzić pewien eksperyment, mogący przyczynić się do wyjaśnienia sprawy gwałtowej śmierci młodej kobiety. Większość z państwa jej nie znała, nie wszyscy znacie też teren, gdzie rozegrała się ta tragedia. Przekazane mi przez państwa informacje, dotyczące różnych epizodów, stanowią ogniwa w łańcuchu wydarzeń, związanych ze śmiercią tej kobiety. Proszę nie zadawać mi teraz żadnych pytań.

Na twarzach obecnych widoczne było nieklamane zainteresowanie.

Najbardziej przejęty wydawał się najmłodszy, Jacek Morga. Z wypiekami na twarzy wiercił się na krześle. Ale nawet tak doświadczeni ludzie, jak sędzia Karpowicz i mecenas Kotlarski, także nie kryli ciekawości. Może każdy z nich liczył na to, że wyjaśni się nurtująca ich od lat sprawa Butryma? Na twarzy Marii Witek ciekawość i nadzieja. Zapewne myśli, że sprawcę nieszczęścia jej rodziny dosięgnie wreszcie ręka sprawiedliwości. Osobą najbardziej zaskoczoną niezwykłością sytuacji była

Wanda Raplewicz. W jej spokojnym, unormowanym życiu prowincjonalnej nauczycielki wydarzenia, w których miała odegrać jakąś rolę, urastały do rangi sensacji. Jedynie Marta Bońko zachowywała powściągliwość. Ów pozorny spokój był zapewne wynikiem umiejętności aktorskich. Niemożliwe przecież, by nie interesowało ją, kto zabił jej przyjaciółkę.

Skarbek spojrzął na zegarek. Dziewiętnasta trzydzieści. Zadzwoił do pułkownika Walewicza.

- Już wychodzimy - zameldował.

Nysa stała na podjeździe. W tyle wozu siedział już pułkownik Walewicz w cywilnym ubraniu. Skarbek usadowił swoich „gości”. Sam zajął miejsce obok kierowcy. W milczeniu przebyli całą drogę. O godzinie dwudziestej dziesięć stanęli przed bramą posesji. Skarbek wysiadł i nacisnął dzwonek przy bramie.

W domku góralskim odchyliła się firanka. Po chwili brama otworzyła się. Nysa wjechała na podwórze. Skarbek poprosił, aby przez chwilę jeszcze nie wysiadano z samochodu. Sam wszedł do willi. W hallu przywitał go Wiktor Kościanko.

- Przywiozłem ze sobą kilka osób. Sądzę, że zgodzi się pan ich przyjąć.

- Naturalnie. Gdzie zamierza pan dokonać planowanych czynności? - w głosie Kościanki nutka niepokoju.

- Chciałbym zebrać wszystkich w pokoju stołowym. Na razie z wyjątkiem pani Anny.

- Proszę więc wprowadzić swoich gości do stołowego, a ja zaproszę tam domowników.

Skarbek wyszedł na podwórko. Kierowcy polecił zaparkować nysę za domkiem góralskim, tak by wóz nie był widoczny ani z ulicy, ani z willi, i poprowadził przybyłych do domu.

## *Rozdział 30*

Skarbek poprosił wszystkich o zajęcie miejsc. Okazało się, że brakuje paru krzesel. Przyniósł je Pustak z innych pokoi.

Skarbek poprosił go jeszcze o trzy dodatkowe krzeselka.

- Na zapas - wyjaśnił żartobliwym tonem.

Obzucili zgromadzonych baczny spojrzeniem. Brakowało tylko Anny. Skarbek wiedział, że jest na górze w swoim pokoju. Tam czeka na Roberta.

Podszedł do okna i zaciągnął zasłony, po czym zwrócił się do zebranych:

- Wybaczę państwo, że nie przedstawiam was nawzajem. Na razie. Zaprosiłem tu państwa, żeby wyjaśnić okoliczności zabójstwa młodej aktorki, Irminy Adamskiej, popełnionego w tym domu, w pokoju na piętrze, znajdującym się tuż nad nami.

- Ależ Irmina Adamska popełniła samobójstwo! - przerwał mu Wiktor Kościanko. - Pan zaś sugeruje obecnym, że to było zabójstwo.

- Przykro mi, że muszę odebrać panu głos. - Skarbek powiedział to uprzejmym, ale kategorycznym tonem. - Od tej chwili spotkanie nasze ma charakter udziału w eksperymencie śledczym, który ja będę prowadził. Proszę zatem wszystkich obecnych o zabieranie głosu tylko wtedy, kiedy go będę im udzielał.

Jak już wspomniałem, spotkanie nasze - kontynuował Skarbek - ma posłużyć wyjaśnieniu okoliczności zabójstwa Irminy Adamskiej i ustaleniu sprawcy tego czynu.

Wiktor Kościanko wyciągnął papierosa, zapalił. Tym gestem zwrócił na siebie uwagę. Szczególnie natarczywie przyglądała mu się Maria Witak.

Ciche pukanie do drzwi. Skarbek wyszedł z jadalni do hallu. Wrócił po kilkunastu sekundach.

- Czy pozwoli pan - zwrócił się do Wiktora Kościanki - że na kilkanaście minut poproszę cztery z obecnych tu osób do pańskiego gabinetu?

- Oczywiście.

Maria Witak, Marta Bońko, Wanda Raplewicz i Jacek Morga przechodzą do gabinetu gospodarza z pewnym ociąganiem.



Zadają sobie w duchu pytanie: co też będzie się działo pod ich nieobecność? Dlaczego właśnie ich oddzielono od pozostałych?

Teraz Skarbek zwraca się do Wiktora Kościanki, aby zechciał mu towarzyszyć na górę, do pokoju pani Anny. Wchodzą na schody prowadzące na galerię. Zatrzymują się pod drzwiami Anny. Skarbek gestem zaprasza Kościankę, by wszedł pierwszy. Wiktor puka lekko do drzwi.

- Proszę - rozlega się kobiecy głos.

Kościanko naciska klamkę i wchodzi do środka. Za nim Skarbek, obserwujący z napięciem wnętrze pokoju.

Anna siedzi na pufie przed lustrem. Czesze włosy. Za nią stoi młody mężczyzna. W tej chwili odwraca się twarzą w stronę drzwi. Skarbek nie ma wątpliwości. To Robert ze zdjęcia Marty Bońko.

Robert i Kościanko patrzą na siebie oniemiaли. Milczenie przerywa Skarbek.

- Chcielibyśmy zaprosić panią na dół. Do jadalni. Na ogólnie spotkanie - lekki ukłon w jej stronę.

- Nie wiedziałem, że dzisiaj jest u państwa przyjęcie. Wpadłem na chwilę odwiedzić panią Annę. Pójdę już. - Robert kieruje się w stronę drzwi.

- Skoro już pan tu jest, to i pana zapraszamy - mówi Skarbek, jak gdyby to on był tu gospodarzem. - Sądzę, że pani Anna jest tego samego zdania?

- Ależ tak, oczywiście. Zostań, Robercie, idziemy do jadalni.

Wiktor Kościanko rzuca w stronę żony niespokojne spojrzenie. Nie odzywa się. Nie wie, jak ma się zachować.

Schodzą razem do jadalni, a kiedy już znaleźli się w stołowym, Skarbek zaczyna swój monolog:

- Ponieważ na początku nie było z nami pani Anny Kościanko i pana... - zawiesił głos pytająco.

- Nazywam się Robert Małysz - oświadczył gość pani Anny kłaniając się obecnym.

- ... przypomnę cel naszego spotkania. W pokoju nad nami dokonano zabójstwa młodej aktorki, Irminy Adamskiej. Dobro śledztwa wymaga przeprowadzenia eksperymentu, w którym wszyscy państwo uczestniczycie. Zebrałem państwa na miejscu zbrodni w przekonaniu, że pomożecie mi znaleźć odpowiedź na pytanie: kto zabił?

Robi krótką przerwę. Otwiera teczkę, wyjmuje z niej skoro-szyty z aktami, stawia na stole magnetofon, odwija z papieru karabinek Irminy.

Robert Małysz gorączkowo przeszukuje kieszenie, wreszcie zwraca się do Anny Kościanko:

- Przepraszam. Muszę wyjść na chwileczkę. Zostawiłem w twoim pokoju papierosy.

- Bardzo proszę, niech pan zapali - Wiktor Kościanko podsuwa mu swoją papierośnicę.

Skarbek podejmuje monolog:

- Sprawa, o której mówię, sięga korzeniami dalekiej przeszłości, pierwszych lat powojennych. Obecny tu gospodarz domu, pan Wiktor Kościanko, piastował wówczas dosyć wysokie stanowisko w Urzędzie Repatriacyjnym. Jednym z podległych mu pracowników był nieżyjący już dziś Zygmunt Butrym.

Do obowiązków Butryma należało m.in. prowadzenie magazynu-przechowalni przedmiotów wartościowych. Z tej przechowalni zginęła srebrna zastawa stołowa o muzealnej wartości oraz złote sztuce. O kradzież tych przedmiotów oskarżono Zygmunta Butryma. Koronnym świadkiem oskarżenia był nasz gospodarz, pan Wiktor Kościanko. Sprawę sądził obecny tu sędzia Karpowicz, Butryma bronił znajdujący się wśród nas mecenas Kotlarski.

Oskarżony Zygmunt Butrym twierdził, że pan Wiktor Kościanko, romansujący z jego żoną, wsadził go do więzienia. Twierdził także, że pan Kościanko dobrze wiedział, co stało się z tymi rzekomo przez niego ukradzionymi srebrami i złotem.

Wiktor Kościanko blednie. Usiłuje przerwać opowieść Skarbka. Ten osadza go gestem ręki, przypominając, że jeszcze nie udzielił mu głosu.

- Z dokonanych przeze mnie ustaleń wynika, że zarzut Zygmunta Butryma dotyczący utrzymywania przez pana Kościanko intymnych stosunków z Anielą Butrymową był prawdziwy. Również prawdziwe okazało się twierdzenie skazanego dotyczące losów skradzionych sreber. Ustaliłem, że tu, w tym domu, znajdują się srebra, ściśle odpowiadające tym rzekomo skradzionym przez Butryma. Zabrał je pan Kościanko. Od niego dowiemy się później, co się stało ze złotymi sztuccami. Jest to zresztą odrębny, niewchodzący w zakres moich zainteresowań problem i sądzę, że w oddzielnym postępowaniu pan Wiktor Kościanko wyjaśni te kwestie prokuratorowi.

Wprawdzie nastąpiło przedawnienie, jeśli chodzi o ewentualną odpowiedzialność za fałszywe zeznania i przywłaszczenie, ale posiadanie nadal przywłaszczonego niegdyś mienia wydaje się mieć charakter przestępstwa trwałego i, moim zdaniem, nie może prowadzić do nabycia prawa własności zagrabionych przedmiotów. Ale to na marginesie.

Nas ta sprawa interesuje tylko o tyle, o ile ma ścisły związek z losami rodziny Butrymów.

Aniela Butrym, żona Zygmunta, do końca życia uważała Wiktora Kościankę za człowieka szlachetnego, a nawet za dobroczyńcę jej rodziny. Faktem jest, że dzięki niemu uzyskała przydział większego mieszkania. On też udzielał jej pomocy finansowej, kiedy Butrym został aresztowany i później, po jego skazaniu i samobójczej śmierci. Czynił to w taktowny sposób. Kupił od Anieli Butrym portret jej syna, Romualda, płacąc wyznaczoną przez siebie samego cenę, wielokrotnie przewyższającą rzeczywistą wartość obrazu. Portret ten do dnia dzisiejszego wisi w gabinecie pana Wiktora Kościanki.

Aniela Butrym wpoila swojej córce, Małgorzacie, przekonanie, że pan Wiktor Kościanko jest człowiekiem szlachetnym. Ich prawdziwym przyjacielem i opiekunem. Tylko syn Butrymów, Romuald, nie podzielał tego poglądu. Uważał Kościankę, podobnie jak jego ciotka, Maria Witak, za sprawcę wszystkich nieszczęść, które spadły na tę rodzinę.

Skarbek dostrzega narastające napięcie i zainteresowanie zebranych. Jedynie Wiktor Kościanko siedzi blady, z opuszczoną nisko głową. Robi wrażenie człowieka załamane go. Robert Małysz patrzy na niego z niechęcią, a może z nienawiścią?!

- Po paru latach - kontynuuje Skarbek - Aniela Butrym zmarła. Romuald ukończył szkołę laborantów. Małgorzata wyszła za mąż i już jako pani Rembielińska zamieszkała pod Warszawą. Wydawać by się mogło, że drogi pana Wiktora Kościanki i rodziny Butrymów rozeszły się raz na zawsze. Przypadek zrządził inaczej. Małgorzata Rembielińska zatrzymała kiedyś jakiś samochód, prosząc o podwiezienie. Kierowcą okazał się pan Wiktor Kościanko.

Małgorzata była ładną, młodą kobietą. Tak to się zaczęło. Małgorzata rozwiodła się z mężem, który bardzo ją kochał i nie mógł pogodzić się z faktem, że żona zdradzała go z panem Wiktorem.

Pan Kościanko także na swój sposób kochał Małgorzatę. Był opiekuńczy, hojny. Wśród prezentów, które od niego otrzymała, był i ten oto złoty medalion. - Skarbek wyjmuje z teczki klejnot i kładzie go sobie na dłoni. - Medalion ten był własnością pana Wiktora Kościanki. Czy tak? - zwraca się do Kościanki.

- Tak. Dałem ten medalion Małgorzacie. Nie mówiłem panu tego dotąd - odparł zmęczonym głosem postarzały nagle gospodarz domu.

- Dziękuję za to wyjaśnienie - Skarbek skłania lekko głowę.  
- Jak już mówiłem, jedynie syn Butrymów, Romuald, nie uważał Wiktora Kościanki za dobroczyńcę. Pewnego dnia

Romuald odwiedził Małgorzatę. Była już wówczas żoną Rembielińskiego. Niewątpliwie zwierzała się bratu, że kocha Wiktora Kościankę. Pokazała też medalion z fotografią ukochanego. Nie rozumiała, że nie tylko nie znajdzie u brata zrozumienia dla swoich uczuć, ale przeciwnie, podsyci w nim nienawiść do Kościanki. Romuald już wówczas wiedział, że Kościanko doprowadził do skazania jego ojca i w konsekwencji do samobójstwa. Wiedział, że był kochankiem matki. Myśl, że pan Wiktor Kościanko sięgnął także po jego ukochaną siostrę, musiała być nie do zniesienia.

Za wiedzą czy bez wiedzy Małgorzaty zabrał ów medalion z fotografią. Ukrył go pod szafą w mieszkaniu swej ciotki, Marii Witak, u której wówczas był zameldowany. Ale ciotka odkryła schowek. Zaniepokojona, czy aby Romuald nie wdał się w jakieś ciemne interesy, zaczęła go indagować. Młody Butrym był skryty i ambitny. Zabrał wszystkie swoje rzeczy i wyprowadził się od ciotki.

Pracował na Wybrzeżu. Później wyjechał z kolegą do Londynu. Przed wyjazdem ukrył medalion lub oddał go komuś na przechowanie. Po powrocie z zagranicy nienawiść Romualda do Kościanki odżyła, ponieważ chłopak dowiedział się, że siostra popełniła samobójstwo. Był pewien, że z powodu Wiktora. Zaczął go szukać. Zdołał ustalić adres. Próbował dowiedzieć się o nim wszystkiego, rozpytując wśród sąsiadów.

Małysz słuchał uważnie.

- Ból po utracie siostry i nienawiść do Kościanki nieco przyćmiła nowa znajomość z ładną, młodą aktorką, Irminą Adamską.

Wydawało się, że Skarbek nie zwraca uwagi na zachowanie i reakcję słuchaczy, jednak jego uwagi nie uszedł żaden szczegół. Widział narastające napięcie, niepokój malujący się na twarzach niektórych gości w miarę, jak rozwijał swoją opowieść.

- Irmina podobała mu się, a zarazem onieśmiałała. Była aktorką, a on tylko skromnym laborantem. Kochał ją i chyba zabrakło mu odwagi, aby jej wprost o tym powiedzieć. Starał się bywać w jej towarzystwie, czuł się już prawie szczęśliwy, kiedy nagle coś zaczęło się psuć. Nie rozumiał, że dla Irminy był tylko kolegą, towarzyszem... Stworzył sobie iluzję i żył nią. Kiedy zorientował się, że w życiu Irminy istnieje ktoś jeszcze, potraktował to niepowodzenie jak kataklizm życiowy. Odkrył, że Irmina przebywa często w towarzystwie jakiegoś starszego pana. Zapewne widział, jak wsiadała do samochodu i zanotował numer rejestracyjny. Próbował dowiedzieć się czegoś od samej Irminy, prawdopodobnie starał się przekonać ją, by zerwała. Dziewczyna poczuła się urażona tym wtrącaniem się w jej osobiste sprawy i na jedno z kolejnych spotkań nie przyszła. Przez koleżankę przysłała list zrywający znajomość.

Dla Romualda był to cios. Nie mógł się z tym pogodzić. Tropiąc Irminę odkrył wreszcie, że mieszka w tej właśnie willi. Nietrudno było już potem ustalić, kim jest jej właściciel, nietrudno go było zidentyfikować z owym starszym panem, z którym Irmina jeździła samochodem. I tak Wiktor Kościanko raz jeszcze stanął na drodze młodego Butryma. Żądza zemsty stała się jedynym motorem działania Romualda. Rozpoczął penetrację terenu. W czasie jednej z takich wypraw poznał...

- Ależ to bzdura! - Robert Małysz błądy i dygocący ze zdenerwowania zrywa się z krzesła. - Jestem kolegą Romualda Butryma. Ze mną był w Londynie i w Londynie zginął w wypadku samochodowym. Jakże mógł uczynić to wszystko, o co pan go podejrzewa? - opada bezsilnie na krzesło.

Słuchacze oniemieli. Więc ten młody człowiek jest przyjacielem Romualda Butryma? Butrym nie żyje. O kim więc mówi

kapitan Skarbek? Jedyne Wiktor Kościanko nie wygląda na zdziwionego.

- Nie żyje? I ja zrazu tak sądziłem - Skarbek mówi spokojnie, z powagą. - Trzeba trafu, że koledzy: Romuald Butrym i Robert Małysz, byli do siebie podobni. Nieraz ich brano za bliźniaków. Nie jest prawdą, że Romuald Butrym zginął w Londynie. Wrócił do kraju zdrów i cały. Penetrując teren wokół tej właśnie willi, w której zamieszkała Irmina, przez przypadek poznał panią Annę Kościanko. Widział, że stąd wychodziła. Sądził, że będzie źródłem informacji. Złapał dla niej taksówkę, pojechał z nią razem do śródmieścia. Zaproponował kawę. Był młody, przystojny. Propozycja została przyjęta. W kawiarni zorientował się, że siedzi przy stoliku z żoną Wiktora Kościanki. Wówczas, zapewne, wpadł na pomysł uwiedzenia żony panu Kościance. Miał to być akt zemsty w stosunku do niego i jednocześnie odegranie się na Irminie. Kontynuował znajomość z panią Anną. Wiele razy był w jej domu. Udaowało mu się tak manewrować, by nie spotkać Irminy.

Przy bezwiednej pomocy pani Anny poznał rozkład domu, zwyczaj mieszkańców. Wiedział, kto jaki pokój zajmuje. Uwiedzenie pani Anny przestał traktować jako zemstę, gdy zorientował się, że męża nie interesują jej romanse. Poczul się ośmieszony. Wzmogło to w nim nienawiść i gwałtowną potrzebę pomszczenia krzywdy.

Tropiąc Irminę zaczął ją przy jakiejś okazji i wówczas właśnie zauważył ich pan Wiktor Kościanko. Teraz Kościanko poczul się oszukany i zażądał od Irminy wyjaśnień. W efekcie tej rozmowy pan Wiktor przeprowadził się na dół, do gabinetu, a Irmina z kolei dała anons do prasy, że poszukuje pokoju. Chyba wówczas zdecydowała ostatecznie zerwać ze starszym od niej człowiekiem. Na tydzień przed śmiercią zatelefonowała do Roberta Małysza. Pod tym nazwiskiem знаła Romualda Butryma. To pan jest Romualdem Butrymem - zwraca się Skarbek do Małysza. - Robert Małysz zginął w Londynie w

wypadku samochodowym. Do kraju powrócił Romuald Butrym z paszportem Małysza. Przy zabitym zostawił pan swoje dokumenty, a zabrał jego. Wasze podobieństwo sprawiło, że dotąd nikt na to nie wpadł.

Siedzący obok pani Anny młody człowiek jest blady jak papier.

- To nieprawda! - krzyczy. - Jak pan to udowodni?

Skarbek patrzy na Annę. Jest równie jak Małysz przerażona. Odsuwa dalej swoje krzesło. Wiktor Kościanko wpatruje się w gościa żony z niedowierzaniem i jakby lękiem. Robert Małysz podnosi się.

- Muszę wyjść na chwilę - mówi drżącym głosem.

Wychodzi. W ślad za nim opuszcza jadalnię Skarbek. Za chwilę wprowadza cztery osoby czekające dotychczas w gabinecie.

Kiedy wszyscy już zasiedli przy stole, Skarbek prosi o chwilę cierpliwości.

- Zaczekajmy na powrót znajomego pani Anny - dodaje.

Nieobecność Roberta przedłuża się, wśród obecnych czuje się zniecierpliwienie.

Za drzwiami odgłosy szamotania. Drzwi otwierają się gwałtownie. Stoi w nich Robert. Jest zadyszany jak po dłuższym biegu. Nieomal jednocześnie pada okrzyk z ust pani Marii Witak:

- Romuś?! Skąd, się tu wzięłeś?

Marta Bońko, dotąd najbardziej opanowana, podnosi się z krzesła, ale zaraz opada na nie z powrotem.

- Proszę. Niech panowie wejdą - zwraca się Skarbek do stojących w drzwiach mężczyzn. Jeden z nich popycha Roberta do przodu i zamyka drzwi. Zastawia je krzesłem, na którym siada.

Robert patrzy osłupiałym wzrokiem na Marię Witak i Martę Bońko. Ich obecność jest dla niego zaskoczeniem.



- Zechce pan usiąść - zwrócił się do niego Skarbek, wskazując wolne krzesło.

Młody człowiek siada jak manekin.

- Proszę nam wyjaśnić, jak to się stało, że pan Małyśz wyszedł sam, a wrócił w towarzystwie - pytanie to Skarbek kieruje do mężczyzny, który siedzi przy drzwiach.

- Mieliliśmy czuwać, aby nikt nie opuścił willi, zanim pan stąd nie wyjdzie, kapitanie. Ten pan - wskazuje na Roberta - zamierzał opuścić posesję. Zauważyliśmy go, jak wychodził z podziemi okienkiem. Okienkiem piwnicznej łazienki. Potem przebiegł przez ogród i usiłował przeskoczyć ogrodzenie od strony Wisły. Tam go zatrzymaliśmy i zgodnie z dyspozycją przyprowadziliśmy z powrotem.

- Tak było? - zwraca się Skarbek do Roberta.

- Tak - pada krótka odpowiedź.

- Czy teraz przyznaje się pan - pyta dalej Skarbek - że nazywa się pan Romuald Butrym i że od powrotu z zagranicy posługuje się pan przywłaszczonymi dokumentami Roberta Małyśza?

Zapytany spojrział na Martę Witak i nisko zwiesił głowę.

- Tak. Przyznaję się. Jestem Romuald Butrym. Robert Małyśz zginął w wypadku samochodowym w Londynie.

- Czy przyznaje się pan do znajomości z Irminą Adamską?

- Tak.

Skarbek kładzie na stole karabinek, medalion z breloczkiem oraz list, który oddał mu Leon Cieślik.

- Czy przyznaje się pan, że z tego oto karabinka zastrzelił pan Irminę Adamską?

Romuald Butrym unosi się z krzesła i poszarzały na twarzy mówi:

- Tak, przyznaję się. Zastrzeliłem Irminę. - Stoi trzymając się kurczowo krawędzi stołu. Nie jest w stanie wykrztusić ani

słowa więcej. Nie jest w stanie się poruszyć.

Skarbek sięga po karafkę i nalewa wody do szklanki.

- Proszę wypić - podaje szklankę Butrymowi.

Ten pije. Dygocą mu ręce, oblewa przy tym ubranie, w końcu odstawia szklankę i siada.

- Postaram się teraz odtworzyć państwu przebieg wydarzeń w dniu zabójstwa. Proszę, niech mnie pan uważnie słucha i koryguje, jeśli popełnię jakąś nieścisłość. - Skarbek zwraca się do Romualda Butryma.

- Upewnił się pan, że Irmina została przyjaciółką znienawidzonego przez pana człowieka. Bliska znajomość z panią Anną nie zaspokoila pragnienia zemsty, nie zdołała zagłuszyć miłości do Irminy. Próbował pan ponownie nawiązać kontakt z Irminą, zaczepiając ją na ulicy. Ona jednak odmówiła panu spotkania i rozmowy. Wzmogło to poczucie krzywdy. Został pan ośmieszony i wzgardzony. Nienawiść, którą żywił pan do Wiktora Kościanki, objęła także i Irminę. Po tym zdarzeniu oświadczył pan Annie Kościanko, że wyjeżdża z Warszawy na miesiąc. Chciał pan mieć swobodę działania. Krytycznego dnia postanowił pan przeprowadzić z Irminą decydującą rozmowę. Tu, w willi. Znał pan rozkład domu i zwyczaje mieszkańców. Wiedział pan, w którym pokoju mieszka Irmina. Zabrał pan ze sobą medalion oraz list Irminy, doręczony panu przez Martę Bońko. List, w którym zawiadamiała pana, że uważa waszą znajomość za skończoną.

Od rana obserwował pan willę. Widział pan, że Irmina wyjechała z panem Wiktorem. Przez cały dzień czekał pan na jej powrót. Kościanko wrócił sam. Irmina zjawiała się znacznie później. Miał pan klucz od furtki. Wszedł więc pan na podwórze przez nikogo niezauważony. Psy też już pana znały. Bywał pan u pani Anny.

Wciąż niezauważony, przemknął się pan do pokoju Irminy. Spała, a może zasypiała. Próbował jej pan wyjaśnić, że Wiktor

Kościanko to łajdak, który doprowadził do zguby pańską siostrę, Małgorzatę. Na dowód pokazał pan Irminie medalion, który siostra otrzymała od Kościanki. Irmina wzięła medalion do ręki, ale nie zareagowała na te informacje. Uznał pan to za demonstrację pogardy i obojętności. Być może, powiedziała także sennym głosem, że to wszystko nic ją nie obchodzi, i kazała panu opuścić pokój.

- Rzeczywiście, tak było - potwierdził Romuald Butrym, patrząc z podziwem na Skarbkę.

- Otóż to. Senność Irminy i brak zainteresowania uznał pan za przejaw pogardy, lekceważenia, obojętności w stosunku do siebie. Nie wiedział pan, że kilkanaście minut wcześniej zażyła tabletkę luminalu. Widocznie ostatnio źle sypiała, skoro na kilka tygodni przed śmiercią lekarz zapisał jej środek nasenny, właśnie luminal. Pan o tym nie wiedział. Luminal już zaczął działać, Irmina zasypiała. Ogarnęła pana rozpacz. Nie takiej reakcji pan oczekiwał. Zdjął pan ze ściany karabinek i wymierzył w Irminę. Nacisnął pan spust.

- Nie od razu - przerwał Skarbkowi Romuald Butrym. - Celowałem do niej, chciałem ją tylko nastraszyć, zmusić do rozmowy. Ona nie reagowała. Uśmiechnęła się tak jakoś dziwnie i powiedziała: „idź już sobie”, po czym zasnęła. Nie wiem, jak i kiedy nacisnąłem spust. - Butrym mówi niemal szeptem, w jego oczach błyszczą łzy.

- Wierzę panu - kiwa głową Skarbkę i ciągnie dalej. - Po tym strzale rzucił pan karabinek na łóżko i podbiegł do Irminy. Złapał ją pan za rękę, była bezwładna. Mimo przerażenia zadziałał w panu instynkt samozachowawczy. Już raz, w Londynie, wykazał się przytomnością umysłu. Wówczas kiedy obaj z Małyszem maszerowaliście jezdnią. On został nagle uderzony i upadł. Padając złamał sobie podstawę czaszki. Kierowca nawet się nie zatrzymał. W pobliżu nie było nikogo. Wówczas pan widząc, że Małysz nie daje znaku życia, zabrał

mu dokumenty, a zostawił przy nim swoje. Od tej chwili Romuald Butrym miał przestać istnieć. Pozostał Robert Małysz.

- To nie było całkiem tak - przerywa mu Butrym. - Rzeczywiście, wypiliśmy z Robertem sporo whisky. Wychodząc z domu zamieniliśmy się marynarkami. Stąd w mojej kieszeni znalazły się dokumenty Małysza, a przy nim pozostały moje. Kiedy samochód potrącił Roberta, a ja zorientowałem się, że on nie żyje, po prostu uciekłem. Nie chciałem być ciągnący przez policję. Obaj byliśmy nietrzeźwi i szliśmy środkiem jezdnii. Od tej pory z konieczności stałem się Robertem Małyszem. Miałem tylko jego dokumenty.

- Nawet to wyjaśnienie, sądzę, że prawdziwe, świadczy, iż w chwilach największych napięć i wzburzenia potrafi pan zachować umiejętność logicznego rozumowania. Tak też było po oddaniu strzału do Irminy. Otóż pomyślał pan, że i tę sytuację można wykorzystać przeciwko Wiktorowi Kościance, pozorując samobójstwo popełnione z jego powodu. Karabinek ułożył pan przy zwłokach. Na stoliku obok lichtarza położył pan list. Ten sam list, który doręczyła panu pani Marta Bońko. Ponieważ nie był zaadresowany, mógł posłużyć jako list samobójczy pisany do Kościanki. Odehodząc zapalił pan świecę w lichtarzu. Zapewne był to gest przeznaczony już tylko dla Irminy. Jednego tylko nie rozumiem. Zostawił pan medalion w jej ręku. Dlaczego zatem łańcuszek od tego medalionu wyrzucił pan do ogrodu? Czyżby chciał pan skierować podejrzenia na kogoś z domowników?

- Nie. W ostatniej chwili przyszło mi do głowy, że odnaleziony przy Irminie medalion, ofiarowany kiedyś przez Kościankę mojej siostrze, może naprowadzić na mój ślad. Irmina zaciśnęła dłoń na medalionie, tylko breloczek zwiisał na zewnątrz. Szarpnąłem za breloczek. Nie zauważyłem, że przy tym szarpnięciu odpiął się od medalionu. Najpierw chciałem uciec przez taras. Zeskoczyć. Ale gdy nachyliłem się nad balustradą,

przestraszyłem się. Było za wysoko. Wtedy niechcący upuściłem breloczek. Zawróciłem do pokoju, wyszedłem z domu przez podziemie.

- Tą samą drogą, którą chciał pan dzisiaj opuścić willę? - spytał Skarbek.

- Tak - potwierdził krótko.

- I jeszcze jedno. Dlaczego ponownie nawiązał pan kontakt z panią Anną?

Butrym spuścił głowę.

- Myślę, że zna pan odpowiedź i na to pytanie. Bałem się. Bez przerwy się bałem. Nie wiedziałem, co się stało po śmierci Irminy, czy chwyciła wersja samobójstwa. Anna była jedyną osobą, od której mogłem uzyskać informacje. Tym razem zawiadła mnie.

- To na razie wszystko. Jutro zostanie pan szczegółowo przesłuchany. - Skarbek wyłączył magnetofon. - Proszę odwiedzić pana Romualda do aresztu - zwrócił się do siedzącego przy drzwiach mężczyzny.

- Może teraz mi pan wreszcie wyjaśni, dlaczego tyle czasu zabrał panu dojazd do komendy w dniu śmierci Irminy? - zwrócił się do Kościanki.

- Dobrze. Dojazd zabrał mi nie więcej niż piętnaście minut. Sporo czasu spędziłem w pokoju Irminy. Szukałem czegoś, co rzuciłoby światło na przyczynę tego desperackiego kroku. Byłem przekonany, że popełniła samobójstwo. Znalazłem tylko kalendarzyk i fiolkę ze środkami nasennymi. Zaraz oddam panu te przedmioty. - Podeszedł do ściany, odchylił jeden z kinkietów i wyjął ze skrytki kalendarzyk i mały słoiczek z trzema białymi tabletkami.

- Dziękuję państwu. To wszystko - zwrócił się Skarbek do obecnych. - Pomogliście mi. Wasza obecność zdecydowała o wyjaśnieniu sprawy.

Ludzie zaczęli się rozchodzić. Maria Witak podeszła do Skarbka.

- Co mam zrobić, żeby pomóc Romusiowi? Wziąć adwokata?

- Proszę zostawić to mnie. Ja zorganizuję obronę. Wybiorę najlepszego obrońcę - powiedział Wiktor Kościanko.

- Obejdzie się bez pana pomocy - Romuś to mój siostrzeniec. Syn mojej siostry. Pan spowodował już dość nieszczęść w rodzinie Butrymów. Nie musi pan teraz udawać zainteresowania jego losem - oburzyła się Maria Witak.

- Nie udaję zainteresowania. - Kościanko mówił spokojnie i stanowczo. - Mam prawo i obowiązek zająć się jego losem. To mój syn.

Maria Witak w milczeniu opuściła pokój.

## *Rozdział 31*

Wracali tą samą nysą i w tym samym składzie osobowym. Tylko Jacek Morga poszedł piechotą. Początkowo panowało milczenie. Przerwał je Skarbek.

- Oddaję panu akta sprawy Zygmunta Butryma - zwrócił się do mecenasa Kotlarskiego. - Dołączyłem do nich fotokopię spisu sreber znajdujących się w willi pana Wiktora Kościanki i przekazanych mu w depozyt.

- To straszne - powiedział Kotlarski. - Romuald Butrym poniesie odpowiedzialność za wieloletnie łajdactwa Kościanki. Kościanko straci srebra, ale nie widzę żadnej możliwości pociągnięcia go do odpowiedzialności karnej.

- Sądzę - wtrącił się sędzia Karpowicz - że kapitan Skarbek skrupulatnie przygotowuje dokumentację sprawy Romualda Butryma, żeby sąd mógł we właściwy sposób rozważyć wszystko, co przemawia na jego korzyść. Miałeś, Bronku, rację - zwrócił się do Kotlarskiego. - W jakimś sensie czuję się współodpowiedzialny za nieszczęścia rodziny Butrymów. Skazując Zygmunta oparłem się przede wszystkim na zeznaniach Wiktora Kościanki, które, jak się dziś okazało, były całkowicie

kłamliwe. Niestety, już za późno, żeby naprawić wyrządzone zło. Trzeba wyciągać z takich spraw wnioski. Zastępowanie prawdy obiektywnej prawdą formalną grozi wynaturzeniem całego wymiaru sprawiedliwości. Sąd musi dociekać prawdy rzeczywistej, a nie gromadzić formalne argumenty, wystarczające do wydania wyroku skazującego. Lepiej, by winowajca uszedł kary, niż żeby człowiek niewinny miał ponosić konsekwencje niesprawiedliwego wyroku. Cieszę się, że wśród pracowników śledczych są tacy jak pan, kapitanie - zwrócił się do Skarbka. - Mądrzy, skrupulatni, dociekliwi, z głębokim poczuciem odpowiedzialności.

- Jak pan doszedł do tego, że Robert Małysz to w istocie Romuald Butrym? - spytała Marta Bońko.

- Najpierw gospodyni Kościanków zwróciła moją uwagę na podobieństwo jednego z gości pani Anny do portretu wiszącego w gabinecie jej męża. Odnalazłem malarza. Dowiedziałem się, że modelem był Romuald Butrym. Szukając go natrafiłem na informacje, że zginął w wypadku samochodowym w Londynie, gdzie przebywał z kolegą, Robertem Małyszem. Udało mi się zdobyć pocztówkę wspólnie napisaną przez nich obu. Kazałem porównać to pismo z pismem w ich ankietach paszportowych. To samo zrobiłem ze zdjęciami. Ekspertyzy porównawcze pisma i zdjęć pozwoliły ustalić, że tym, który wrócił do kraju, jest Romuald Butrym. Gdy ustaliłem, że medalion znaleziony w dłoni Irminy był darem Wiktora Kościanki dla siostry Butryma, Małgorzaty, kółko się zamknęło. Dlatego właśnie zaaranżowałem spotkanie w willi. Zakładałem, że jeśli Butrym jest sprawcą zabójstwa, ujawnienie jego tożsamości spowoduje jego przyznanie. Nie omyliłem się.

Dysponujemy jeszcze innymi dowodami rzeczowymi w postaci odcisków stóp pozostawionych przez sprawcę zabójstwa w ogrodzie Kościanków, odciskami linii papilarnych pozostawionych na liście położonym w pokoju Irminy. Dokonałiśmy

identyfikacji. Myślę, że gdyby nie nieszczęśliwy zbieg okoliczności, że zastał Irminę zasypiającą po luminalu, nie doszłoby do tego zabójstwa. W mojej ocenie jego moralnym sprawcą jest Wiktor Kościanko. Ale nasz system prawny nie przewiduje kary za sprawstwo moralne.

Dojeżdżali właśnie do ulicy, przy której mieszkał Skarbek.

- Ja tu wysiadam. Kierowca odwiezie wszystkich państwa do domów. - Kapitan pożegnał się z pasażerami i wyciągnął rękę do Walewicza siedzącego z tyłu samochodu.

- Ja też tu wysiądę - oświadczył pułkownik. - Skąd u licha wiedziałeś, że Butrym spróbuje ucieczki przez piwnicę - zapytał, kiedy byli już sami.

- Nie miałem pewności. Uciekł z miejsca wypadku, kiedy zginął Małysz. Uciekł po zabójstwie Irminy. Zakładałem, że choć jego intelekt jest sprawny nawet w sytuacjach dramatycznych, to silnie rozwinięty instynkt samozachowawczy i pewne skłonności panikarskie popchną go do takiej próby. Znał rozkład willi i pomieszczeń. Ale ja też go znałem. Po prostu trafiłem. Miałem szczęście.

- Nie tylko szczęście. Miałeś „nosa” i głowę na właściwym miejscu - powiedział z uznaniem Walewicz. - No i pomógł ci także ów tajemniczy, złoty medalion.

- Czy mógłbym jutro nie przychodzić do pracy? Mam trochę zaległych spraw osobistych - spytał Skarbek.

- Ależ oczywiście. Jutro masz wolny dzień. Należy ci się.

Skarbek, pożegnawszy się z pułkownikiem, wszedł do mieszkania, postawił czajnik na gazie i poszedł do łazienki.

Jutro będę mógł wreszcie wszystko wyjaśnić Beacie - pomyślał dygocąc pod strumieniem lodowatej wody.